

L. DEKADA Literacka

MIESIĘCZNIK KULTURALNY Nr 1/2 (193/194) Rok XIII styczeń/luty 2003 KRAKÓW

KULTURA POLSKA BEZ JAŁTY

TERESA WALAS	Historia w trybie przypuszczającym	2
Rozmowa	ze ST. I. WITKIEWICZEM	7
CZESŁAW MIŁOSZ	Po dyktaturze	13
TADEUSZ DREWNOWSKI	Historia do poprawek	21
RYSZARD MATUSZEWSKI	Bez Jałty – bez zmian?	28
JACEK ŁUKASIEWICZ	Gdyby nie było Jałty...	34
ANDRZEJ WERNER	Gdyby mogło być	38
BRONISŁAW ŁAGOWSKI	Zyski i straty	44
ANDRZEJ ZAWADA	Wyobrażam sobie...	46
JERZY JARZĘBSKI	Bez sielanki	50
INGA IWASIÓW	Odbiorca zamiast świadectwa	54
ROBERT OSTASZEWSKI	Nieodrobiona lekcja	60
STANISŁAW PISKOR	Co by było gdyby...	64
MACIEJ URBANOWSKI	Więcej prawicy	70
JAN PROKOP	Pan Bóg strzela, człowiek kule nosi...	73
TOMASZ GRYGLEWICZ	Sztuka bez Jałty	76
ALINA MADEJ	Nasza maleńka, kinematograficzna Jałta	81
MACIEJ URBANOWSKI	Zaginione biografie	85
ANNA NASIŁOWSKA	Kilka haseł z encyklopedii <i>Literatura polska</i>	88
JANUSZ SZUBER	POEZJE	91
KRZYSZTOF LISOWSKI		
PIOTR MATYWIECKI		
DOROTA WOJDA	Rymkiewicz encyklopedia. „Tego nie ma na świecie”?	98
JAKUB MOMRO	Nasłuchiwanie	104
MARIA KOLENDA	Niemcy bez Jałty	110
JOANNA PAZYRA	<i>Wigilia może być codziennie</i>	114
Camera obscura 118	Książki nadesłane 119	
Przegląd prasy 121	Gielda talentów (8) 124	

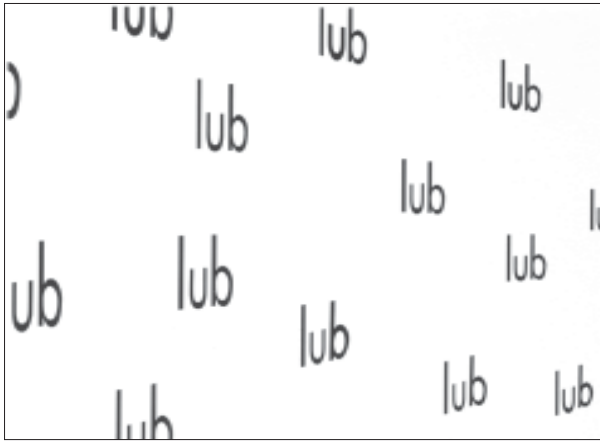


Historia w trybie przypuszczającym

Fotografia Grażyna Borowik

Do niedawna historia (także historia literatury) czerpała swoją siłę i pewność z przekonania, że zajmuje się tym, co rzeczywiste, że wspiera swój gmach na twardym fundamencie faktów, pozostawiając poetom fantazjowanie. Z tego też powodu jej status jako nauki nie budził zastrzeżeń, z jakimi spotykały się niekiedy inne dziedziny humanistycznej wiedzy. Ta pewność historyków bywa dziś naruszana przez pogląd mówiący, że wszelka historiografia jest fikcją w tej mierze, w jakiej bywa fabularyzacja, fakty zaś, z tego względu, że wyłaniają się ze świadectw, mają w istocie naturę dyskursywną i podlegają prawom figuratyw-

ności. Co więcej, ów mocny grunt historiografii jako dziedziny twardych faktów podmywany jest też przez właściwą naszym czasom tendencję do myślenia w kategoriach alternatywności, wirtualności, symulacji. Wiele również wskazuje na to, że nieistnienie wydaje się dziś bardziej fascynujące niż istnienie, nieobecność bardziej niż obecność, że milczenie ciekawsze jest od mówienia, a skrytość od jawności. Zainteresowanie wszakże dla „historii niebyłej”, by posłużyć się sformułowaniem Alexandra Demandta, autora książki pod takim właśnie tytułem, niekoniecznie wiązać się musi z tamtymi upodobaniami. Celem bowiem pytania „co by było, gdyby...” nie zawsze bywa podważenie znaczenia tego, co w istocie miało miejsce. Pytanie to może także służyć lepszemu zrozumieniu i pełniejszemu oświetleniu zaistniałych faktów. *Rozmyślań o wymagowanej historii* – powiada Demandt – nie



Stanisław Dróżdz, *Lub* Reprodukacja Kartka pocztowa

należy traktować jako bezużytecznej straty czasu. Bez konstruowania hipotez na temat niezaistniałych ewentualności nie można rekonstruować historycznej rzeczywistości. Rozważanie alternatywnych rozwiązań jest nieodzownym składnikiem historii jako nauki. W innym zaś miejscu stwierdza: Hipotezy na temat zdarzeń niebyłych są podstawą wszelkich obrachunków.

*

Wielka zmiana historyczna, jakiej byliśmy i wciąż jesteśmy świadkami, skłania do podsumowań, bilansów, rewizji. Ich przeprowadzanie służy zazwyczaj ujawnianiu strat poniesionych przez kulturę, której naturalny rozwój został najpierw gwałtownie przerywany, potem poddany działaniu różnych mechanizmów i praktyk dostosowawczych, wymuszanych na kulturze przez sytuację polityczną. Pełny wszakże obraz powojennej kultury uchwycić można wtedy jedynie, jeśli ów znany nam stan faktyczny nałożyć na alternatywny projekt, stworzony przez historyczną wyobraźnię, która, posługując się innymi uwarunkowaniami, powołuje do życia nową rzeczywistość. Dopiero przy-

wienie się obu tym wizerunkom przeszłości – realnemu i możliwemu pozwala w pełni zdać sobie sprawę z tego, co naprawdę się zdarzyło. Ich porównanie może pogłębić nasze poczucie straty, ale może też przeciwnie – prowadzić do wniosku, że kultura zyskała coś w tym trudnym doświadczeniu. Bo gdy przed laty Kazimierz Wyka zastanawiał się nad skutkami rozbiorów dla polskiej literatury, odpowiedź, jakiej udzielił, wielu mogła się wydawać zaskakująca. Pisał wtedy: *Gdyby literatura polska dawniejsza, z jej całym praktycyzmem, ostrożnością wyobraźni i intelektu, gospodarskim a nie tyle cywilizacyjnym stosunkiem do świata, pozostawiona została normalnym warunkom rozwoju we własnym państwie – byłoby źle, byłoby znacznie gorzej, aniżeli jest naprawdę. Zaradny racjonalizm, gospodarczy utylitaryzm, praktyczne znoszenie i urządzanie rzeczywistości bez postawienia jej pytania: po co jest i czemu służy? – takie byłyby cechy i taka byłaby droga owego piśmiennictwa. Więc i pytanie, jaka byłaby kultura w Polsce bez Jałty, traktować trzeba jako ryzykowne, nie zaś jako zawierające w sobie znaną odpowiedź.*

*

Pomysł, by rzeczywisty bieg dziejów literatury czy szerzej – kultury skonfrontować z jej przebiegami możliwymi, nie jest nowy i nawiedzał już wcześniej badaczy i krytyków. Zaproszony do wzięcia udziału w ankiecie „Życia Literackiego” Kazimierz Wyka puścił wodze intelektualnego marzenia i zaprojektował wirtualną Księgę – historię literatury polskiej „nie taką, jaka jest naprawdę, lecz taką, jaka być powinna”. Tekst ten zatytułowany *Wyznania uduszonego* wszedł potem do zbioru *Łowy na kryteria*, skąd pochodzi wcześniej przytoczony cytat. Także Jan Błoński niejednokrotnie zastanawiał się nad niezrealizowanymi wa-

riantami pisarskich biografii i literackich wydarzeń. Ale dopiero teraz, gdy historia Polski Ludowej stała się zamkniętym epizodem, można wprost zapytać, jak ukształtowałyby się polska kultura, gdyby traktaty kończące II wojnę światową przybrały inną, korzystniejszą dla polski postać i pozostawiły ją w orbicie wpływów Zachodu lub stworzyły jakąś inną polityczną przestrzeń dla swobodnego jej rozwoju. Z tym właśnie pytaniem zwróciliśmy się do historyków, badaczy literatury i kultury, znawców teatru i filmu, by zechcieli podjąć wysiłek zrekonstruowania niebyłej rzeczywistości, jako zachętą posługując się słowami Demand-

ta: *Niech dziejopis zastanawia się nad nieurzeczywistnionymi działaniami, badacz architektury nad architekturą, która nie powstała, filolog niech rozmyśla nad nienapisanymi tekstami, filozof – nad ideami, których nie sformułowano.*

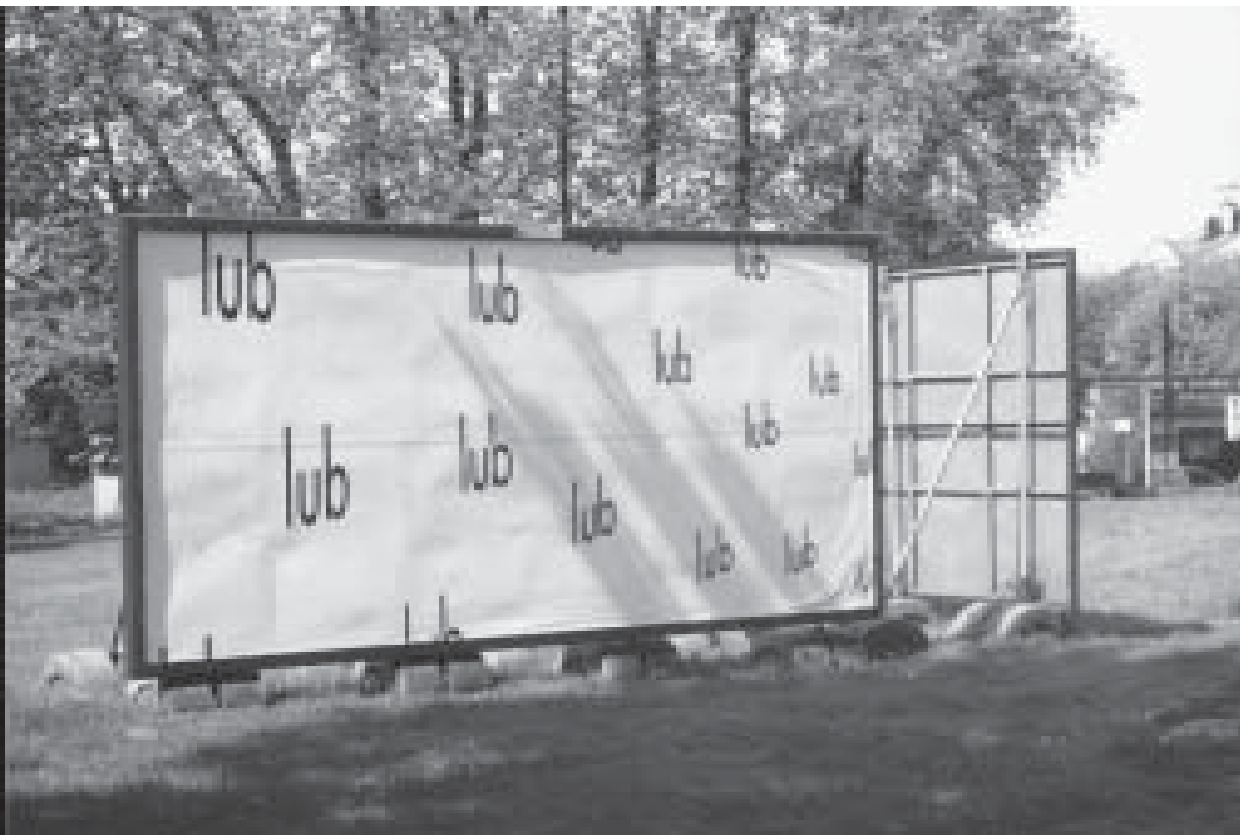
Nie wszyscy, na których głosie nam zależało, wzięli udział w naszym przedsięwzięciu; tym bardziej więc jesteśmy wdzięczni tym, którzy podjęli wyzwanie. Mamy też nadzieję, że to spojrzenie w „historię niebyłą” pozwoli nam lepiej zrozumieć nie tylko przeszłość, lecz i teraźniejszość naszej kultury.

Teresa Walas

TERESA WALAS historyk i teoretyk literatury, pracuje w Instytucie Polonistyki UJ. Obecnie przygotowuje dla Wydawnictwa Literackiego książkę poświęconą kulturze współczesnej.

Billboard z pracą Stanisława Dróżdża

Fotografia Grażyna Borowik





ROZMOWA ZE STANISŁAWEM IGNACYM WITKIEWICZEM W 80. URODZINY

(część druga, okres powojenny)
„Ilustrowany Kurier Codzienny”, 25 lutego 1965, s. 3

Szanowny Panie, w poprzednim numerze doszliśmy do przełomowego momentu w Pańskim życiu i w Pana twórczości, kiedy to 5 września w towarzystwie Czesławy Oknińskiej, opuszcza Pan bombardowaną Warszawę i udaje się Pan z falą uciekinierów na Wschód.

Po różnych, mniej lub bardziej dramatycznych perypetiach docieramy wieczorem 13 września do wsi Jezioro na Polesiu, gdzie zatrzymuję się u znajomych. Jestem załamany i myślę o samobójstwie. Dopiero dobre wiadomości wojenne wyprowadzają mnie z depresji. Zostawiam Czesławę w Jeziorach, a sam wracam 18 września do Warszawy, gdzie wreszcie zostaję zmobilizowany, wprowadzie nie do oddziałów frontowych, lecz do Sztabu Generalnego, w którym pracuję cały okres wojenny.

[Informacja: Początkowe sukcesy armii niemieckiej zostają przerwane przez wkroczenie armii francuskiej i korpusu wojsk angiel-

skich do Nadrenii i utworzenie frontu zachodniego oraz zwycięską dla Polaków bitwą nad Bzurą. Pod wpływem tych wydarzeń 17 września Rosja Sowiecka zrywa pakt Ribbentrop-Mołotow. Tego samego dnia wkracza do Polski przez Zaleszczyki entuzjastycznie przyjmowany korpus wojsk rumuńskich, idących armii polskiej na pomoc zgodnie z traktatem sojuszniczym. Do koalicji antyhitlerowskiej włączają się dalsze państwa europejskie, w tym również po obaleniu dyktatury Mussoliniego Włochy, oraz Stany Zjednoczone Ameryki. II wojnę światową kończy udany zamach na Hitlera, przeprowadzony przez grupę oficerów Wehrmachtu, oraz bezwarunkowa kapitulacja, podpisana przez utworzony przez nich Rząd Tymczasowy].

Po wojnie otwierają się przed Panem nowe perspektywy.

Rektorem na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie zostaje Józef Czapski, który zatrudnia mnie jako profesora. Mając zapewnioną stałą pensję, rozwią-

ROZMOWA

zuję „Firmę Portretową”, chociaż nadal maluję portrety, utrzymane wyłącznie w typie C. Nie rezygnuję też ze swoich eksperymentów narkotycznych.

Powraca Pan także do Czystej Formy.

Zaraz po wojnie, dzięki stypendium rządowemu, wyjeżdżam na rekonosans do Paryża i do Nowego Yorku, gdzie stynam się ze sztuką abstrakcji niegeometrycznej Fautriera i Wolsa, a w Stanach Zjednoczonych z abstrakcyjnym ekspresjonizmem m.in. Jacksona Pollocka. Odnajduję w mojej wcześniejszej twórczości analogiczne dążenia, chociaż nie idę w kierunku informelu. Nie rezygnuję z mojego dawnego płaszczyznowego stylu z czasów kompozycji formistycznych i napięć kierunkowych, maluję dużych formatów kompozycje całkowicie pozbawione tematu i przedmiotu.

Natomiast w obecnej dekadzie lat 60. zbuntowana młodzież artystyczna okrzyknęła Pana prekursorem, a zarazem patronem sztuki psychodelicznej, a Pana Narkotyki stały się rodzajem biblii.

Zwłaszcza po mojej wystawie retrospektywnej w 1960 roku w Museum of Modern Art. Wtedy zresztą powracam do figuracji w malarstwie. Maluję moje portwory i inne wizje narkotyczne, rozwijając pomysły z czasów przedwojennych.

Spotkał się wówczas Pan z Marcelem Duchampem, Johnem Cagem i Allenem Kaprowem.

Z Kaprowem zrobiłem w Nowym Yorku 622 *happeningi* w 20 częściach. Zainteresowania happeningiem wiązało się

zresztą z moim teatrem. Jak Pan wie, po wojnie zaczynam ponownie pisać sztuki w duchu Czystej Formy, obok powieści i traktatów filozoficznych. Inscenizuję je w reaktywowanym w Zakopanem Teatrze Formistycznym. Także wystawia je teatr *Cricot* prowadzony po wojnie przez Józefa Jaremcę i Tadeusza Kantora.

[*Informacja: Po wojnie Tadeusz Kantor zostaje profesorem ASP w Krakowie. Z jego inicjatywy zostaje zorganizowana I Wystawa Sztuki Nowoczesnej w krakowskim Pałacu Sztuki, która dzięki wsparciu ówczesnego Ministra Kultury w rządzie Mikołajczyka Czesława Miłosza objechała całą Europę (Paryż, Praga, Budapeszt, Rzym, Londyn), a także Stany Zjednoczone (Nowy York, Chicago, Los Angeles), przyczyniając się walcie do międzynarodowego sukcesu sztuki polskiej. Od tego czasu w Krakowie odbywa się Międzynarodowe Biennale Sztuki Nowoczesnej, jeden z najważniejszych przeglądów artystycznych na świecie. Po krótkim okresie fascynacji surrealizmem, większość malarzy z reaktywowanej Grupy Krakowskiej oraz z innych środowisk artystycznych (Tadeusz Brzozowski, Tadeusz Kantor, Aleksander Kobzdej, Maria Jarema, Jonasz Stern, Jerzy Tchórzewski, Andrzej Wróblewski i in.) zaczyna uprawiać różne odmiany tzw. gorącej, niegeometrycznej abstrakcji – informel, taszyzm itp., wystawiając swoje prace w czołowych galeriach światowych i otrzymując liczne nagrody. Natomiast już na przełomie dekad lat 50. i 60. pojawiają się nowe tendencje – oczywiście nie tylko w środowisku krakowskim – zapowiadające zerwanie z tradycyjnym pojmowaniem obrazu, charakterystycznym dla aktualnej sztuki. Z kolei łódzkie środowisko pozostaje wierne awangardzie konstruktywistycznej. Po wojnie rząd powierza Władysławowi Strzemińskiemu funkcję rektora nowopowstałej Akademii Sztuk Pięknych*

ZE ST. I. WITKIEWICZEM

w Łodzi. Strzebiński i Stażewski wystawiają regularnie w galerii Denis René w Paryżu, a po roku 1960 stają się głównymi prekursorami i liderami odnowy tzw. abstrakcji pomalarskiej, opartej na kanonie geometrycznym. Po wojnie następuje gwałtowny rozwój nowocze-

S.I. WITKIEWICZ

génie multiple de Pologne



L'Age d'Homme

ROZMOWA

snej polskiej architektury, gdyż właśnie w duchu skrajnie modernistycznym zostaje odbudowana zniszczona nalotami Warszawa. Centrum Kultury w Warszawie – dar narodu amerykańskiego dla stolicy – projektuje sam Frank Lloyd Wright].

A co się dzieje po wojnie z pańskim przyjacielem a zarazem adwersarzem Leonem Chwistkiem.

Robi dalej karierę naukową na Uni-

wersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, przy tym nie przestaje malować swoich „motywistycznych” obrazów, naśladując dzieci lub Nikifora. Nadal pozostaje kryptorealista, nie porzuca jednak swojej teorii o wielości rzeczywistości w sztuce, którą ja od początku pryncypialnie krytykuję. Po wojnie jego malarstwo i teoria „motywizmu” stały się bardzo aktualne, biorąc pod uwagę chociażby koncepcję *Sztuki surowej* Jeana Dubuff-

St. I. Witkiewicz, *Martwa natura z zegarem*, 1921, olej na płótnie, 79x78,5, Muzeum Narodowe w Krakowie



Reprodukcje Album © Interpress Publishers, Warszawa, 1990

feta. Jego relatywizm zapowiadał modny postmodernizm. Toteż nie tylko w logice matematycznej, ale też w sztuce doceniono go na świecie, co mu się należy jako geniuszowi intelektu – przyznając to mimo naszego odwiecznego sporu. Równocześnie patronuje on kolejnym lwowskim awangardom o lewicowym nastawieniu. Obecnie popiera on ruch zwany lwowskim pop-artem, bazujący do pewnego stopnia na jego teorii wielości rzeczywistości oraz idei sztuki populistycznej i ludycznej.

Od Chwistka różni Pana zasadniczo inna, wręcz przeciwstawna koncepcja światopoglądowa. Przed wojną kreślił Pan skrajnie katastroficzną wizję upadku cywilizacji zachodniej, przewidując zwycięstwo komunizmu. Sztuka miała także przestać istnieć wraz z zanikiem uczuć metafizycznych w zmechanizowanym, komunistycznym społeczeństwie przyszłości. Jednak Pana proroctwa nie zrealizowały się.

[Informacja: Po śmierci Józefa Stalina w 1953 roku, Nikita Chruszczow przeprowadza radykalną destalinizację i pierestrojkę. W roku 1956 Związek Radziecki rozpada się, a Rosja oraz inne republiki zrywają z ideologią komunistyczną, wprowadzając gospodarkę wolnorynkową].

Nic podobnego. Wprawdzie komunizm upadł jako system polityczny, to jednak jego antyindywidualistyczny duch przetrwał i rozpowszechnił się. Jednostka ludzka nie ma nic do powiedzenia, liczy się tylko masa. Zmechanizowanie społeczne osiągnęło swoje stadium skrajne, chociaż przyszłość może spłatać nam jeszcze niejednego figla, ta-

kiego jak zwycięstwo sztucznej inteligencji nad ludzką i dyktaturę androïdów. Sterroryzowane przez media i reklamę, a zwłaszcza telewizję, społeczeństwo masowej konsumpcji wyznaje jedynie kult pieniądza, techniki, gwiazd sportu zawodowego i pop-kultury. Zmechanizowały się i umasowiły w swojej formie popularnej i szczątkowej religia, nauka, filozofia oraz sztuka, przez co wyzbyły się wszelkiej tajemnicy i metafizyki. Dlatego też resztki artystów obecnej neoawangardy zmuszone są do sztucznego potęgowania w niespotykanym dotąd stopniu wszelkich dostępnych perwersyjnych środków wyrazu, do prowokowania odbiorców skandalami obyczajowymi, dewiacjami seksualnymi i bluźnierstwami, aby przebić się poprzez papkę dziennikarską i wzbudzić chociaż na moment rodzaj dreszczu metafizycznego, bez którego nie może istnieć prawdziwa sztuka przez duże S.

Zacytujmy zatem na koniec napisany jeszcze przed wojną Pana proroczy wiersz:

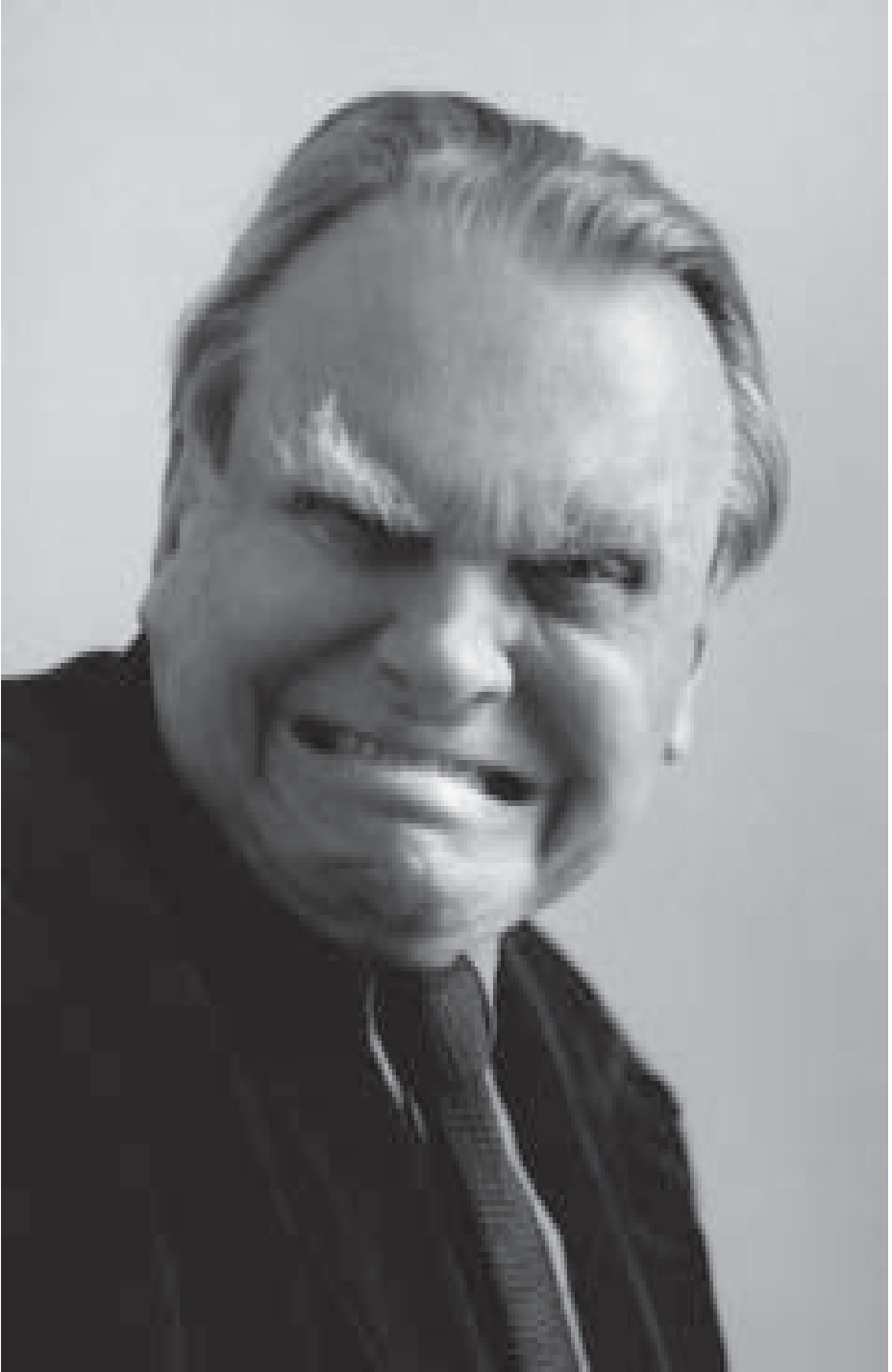
*Nie zabrną me twory popod żadne
strzechy,
Bo wtedy, na szczęście, żadnych
strzech nie będzie.
W ogóle z tego żadnej nie będzie
uciechy,
I tylko świństwo równomiernie
rozpełźnie się wszędzie.*

Dziękujemy za interesujący wywiad i życzymy w 80. Pana urodziny dalszych sukcesów.

Odszukał i spisał Tomasz Gryglewicz

TOMASZ GRYGLEWICZ historyk sztuki, autor książek: *Groteska w sztuce polskiej* (1984) i *Malarstwo Europy Środkowej 1900-1914* (1992) oraz licznych artykułów, dotyczących sztuki od przełomu wieku XIX i XX aż po sztukę najnowszą. Uprawia również krytykę artystyczną, jest członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków AICA. Pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie kieruje Zakładem Historii Sztuki Nowoczesnej w Instytucie Historii Sztuki.

Fotografia Judyta Papp



Czesław Miłosz

PO DYKTATURZE

Nareszcie możemy swobodnie odetchnąć!

Jako felietonista „Monitora” starałem się trzymać literatury, stale ubolewając nad jej uwikłaniami w politykę, co jednak w warunkach dyktatury było zapewne nieuniknione. Wreszcie oto jesteśmy bez Wodza Narodu.

Wielki Bolcio, jak go niekiedy nazywano: „Bolcio I”, powtórnie sięgnął po władzę. Poprzednio, było to w 1937 roku, kiedy znalazł się o krok od niej, ale nie poparło go wojsko. Osiągnął swój cel w dziesięć lat po zakończeniu II wojny światowej, tym razem oczywiście z poparciem wojska zdominowanego przez weteranów armii Andersa, do których trafiało hasło obrony Wilna i Lwo-

wa. Jego rządy nie były dobrą dekadą dla literatury. Ukazała się tutaj cała kulturalna jałowość prawicy, która, utrzymując podział na białe i czarne, zawsze potrzebowała wroga. Czym dla Bolesława Piaseckiego przed wojną byli Żydzi, tym później stali się Litwini i Ukraińcy. Według jego ideologii Polska mocarstwowa musiała sięgać na Wschód, nie tylko do granic Polski przedwrześniowej, ale nawet dalej. Oczywiście, kiedy zaczął grać kartą „odwiecznie polskich miast, Wilna i Lwowa” – wygrywał. Warto jednak dodać, że Bolcio I nie miał łatwego życia także na prawicy, skoro Stronnictwo Narodowe wyszło z wojny w dobrym stanie i krzywiło się na niektóre inicjatywy Wodza.

Pisarze i polityka

Zanim pojawił się na scenie, pierwsze dziesięciolecie po wojnie przyniosło triumf autorów mało przed wojną znanych, a więc powieściopisarzy: Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Teodora Parnickiego, Czesława Straszewicza oraz Sergiusza Piaseckiego, a także wykwintnego prozaika Zygmunta Haupta. Witold Gombrowicz nie wrócił z emigracji, a to głównie z powodu skandalu, jakim stało się wydanie *Trans-Atlantyku*. Książka ta była oskarżona o obrazę narodu polskiego, co stało się pretekstem do napaści prawicowych bojówek na księgarnie, którym tłuczono szyby, jeżeli znaleziono tam egzemplarz tego dziełka, zresztą piętnowanego również z ambon. Niekwestionowany był prymat powieści Józefa Mackiewicza. Jego renoma, jako że był też zażartym publicystą, zależała od losu wojny, bo jednak zamach na życie Hitlera w 1944 roku udał się i generałowie niemieccy dogadali się z zachodnimi aliantami. Czyli być może Mackiewicz w swojej publicystyce niechętniej Armii Krajowej miał rację, skoro zalecał raczej przeczekanie i oszczędzanie sił niż pomaganie mimo woli Armii Sowieckiej. Mackiewicz miał naturalnie wrogów, ale jego sława została wsparta przez potężne wileńskie kluby i łóże, choć jego popularność niewątpliwie kolidowała z przybierającą falą nacjonalizmu, którego był otwartym wrogiem. Piasecki i jego hufce występowali przeciwko głównym postaciom powojennej literatury, oczywiście wietrząc wśród nich Żydów i demaskując, jak to nazywali, judeo-mesjanizm Krzysztofa Baczyńskiego, oskarżanego przez nich o to, że na

Wielkanoc 1943 roku napisał kilka wierszy o walce swojego tj. żydowskiego narodu.

Wilno i Litwa

Nie można powiedzieć, że głównym przeciwnikiem mocarstwowości były „Wiadomości Literackie”, skoro Grydzewski, świadomy zmierzającej w prawo opinii publicznej, nie obnosił się ze swymi poglądami liberalnymi i lawirował. Główne ataki ekipy Piaseckiego były skierowane przeciwko „Kulturze” Jerzego Giedroycia i współpracownikom pisma, a przede wszystkim przeciwko osobie jej redaktora naczelnego, kilkakrotnego ministra spraw zagranicznych, przedstawianego w prawicowej prasie jako postać diabelska, jako zamaskowany wróg Polski i polskości, w istocie nacjonalista litewski. Co prawda szerzący się na Litwie ruch powrotu do tradycji arystokratycznych uważał księcia Giedraytisa za swojego, podobnie zresztą jak przyznawał się do rodziny szlacheckiej Gombrysów, wslawionej przez ich potomka Witolda. Jerzy Giedroyc wspólnie z Józefem Mackiewiczem i tak zwanym Klubem Włoczęgów Seniorów w Wilnie głosili konieczność rozwiązania kwestii Wilna, oczywiście przez oddanie Wilna Litwie, co narażało go na liczne ataki prasy.

Zamazanie

Polska przeżywała przewrót gospodarczy wskutek starannie przeprowadzonej reformy rolnej i emancypacji wsi. Sprzyjało to wzrostowi nowych potęg: prasy w masowych nakładach i telewizji. W ten sposób powstawała potężna baza dla populizmu wszelkiego rodzaju.

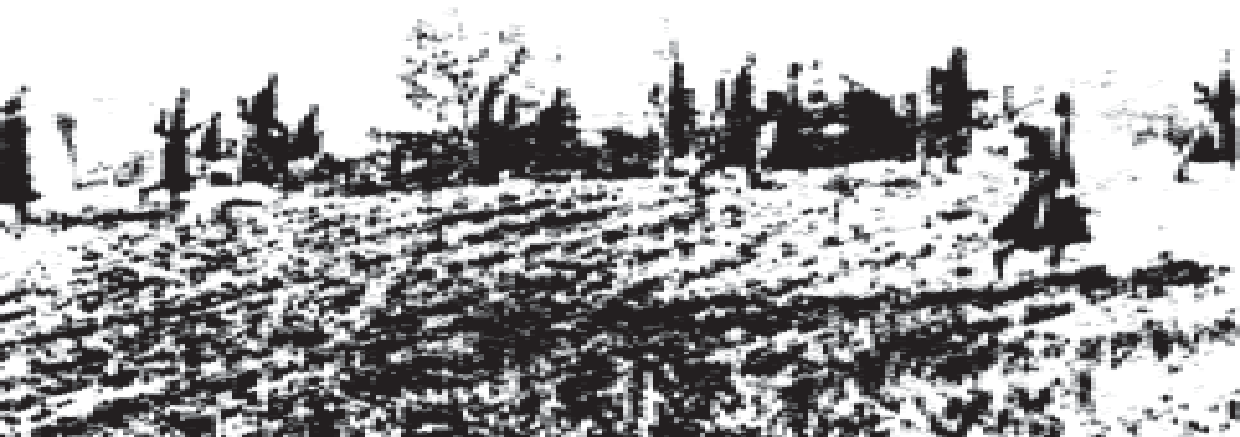
Zaangażowanie polityczne pisarzy należy uważać za nieszczęśliwe, ale nieuniknione. Bo powiedzmy sobie szczerze, że dyktatura, jak to zwykle u nas, zamazywała się, traciła wyraźne kontury. Przedwojenne stronnictwa wyszły jako tako z wojny, a pisarze angażowali się w działalność opozycyjną, której ośrodkiem była potężna PPS. Kiedy Kościół tradycyjnie wspierał prawicę i Bolcio I zjawiał się w otoczeniu biskupów, lewica miała używanie, apelując do nie-
 źle w Polsce ugruntowanego antyklerykalizmu. Zresztą nie ma co się dziwić rozmazaniu najwyraźniej faszystowskich pomysłów Wodza, skoro cała sytuacja światowa po II wojnie wyglądała tak, jakby chciano wierzyć w nowy początek, i nie udawało się to. W Niemczech rządził ci sami gauleiterzy w niezbyt kompletnym demokratycznym przebraniu, podobnie jak w Związku Sowieckim ten sam aparat służb specjalnych. Zresztą sytuacja w Rosji była dość chaotyczna wskutek popieranej

przez Chińczyków rewolucji na Syberii w imię prawdziwego komunizmu.

Papież Jan XXIV

Literatura polska wiele zawdzięcza „Tygodnikowi dla Wszystkich” i jakby wyspie stworzonej przez Jerzego Turowicza oraz jego współpracowników, którzy raczej szli z antyklerykałami i byli niemal wyklęci przez hierarchię kościelną. Wybór na Stolicę Piotrową arcybiskupa Paryża – Jean-Marie Lustigera, który przyjął imię Jana XXIV, nie sprzyjał dobrym stosunkom pomiędzy Watykanem i polskim episkopatem. Opór przeciwko Vaticanum Secundum był w Polsce tak silny, że w niektórych diecezjach zachowano liturgię trydencką i Polska była uważana w Watykanie za kraj niemal schizmatyczny. Od otwartej schizmy uchroniła Polskę jedynie energiczna mniejszość biskupów pod wodzą arcybiskupa krakowskiego – Wojtyły. Głośnym skandalem stało się publiczne wystąpienie Jerzego Zawiejskiego,

Reprodukcja Archiwum



oskarżającego polskich biskupów o konserwatyzm, co rozpętało kampanię osobistych zniesławień tego pisarza, w czym celował „Mały Dziennik”.

Krucjata Biskupa Golonki

Biskup chełmski Tadeusz Golonka napisał dzieło pod tytułem *Sobór prześwietlony*, w którym dowodził, że liberalowie, opanowując poszczególne komisje Soboru, nie tylko przeprowadzili reformę liturgii, ale, pod jej pretekstem, zasadnicze przemiany w dogmatach Kościoła, zmieniając niepostrzeżenie dla wiernych same podstawy rzymskiego chrześcijaństwa. „Otwarcie na świat” było w istocie ukorzeniem się przed światem i otwarciem drzwi nowej moralności społeczeństwa konsumpcyjnego oraz przyzwalającego. *Zaczynjcie tylko reformować* – pisał – *uchylcie drzwi światu,*

a oto wtargnął on swoimi filmami, telewizją i mnóstwem kolorowych magazynów, szerząc tzw. tolerancję, to znaczy odrzucenie zakazu stosunków seksualnych przed małżeństwem, powszechność środków antykoncepcyjnych, aborcję na żądanie kobiety, eutanazję i brak potępienia homoseksualizmu, aż do małżeństw homoseksualnych włącznie. W myśl tych zasad biskup Golonka rozpoczął w Polsce krucjatę, która stopniowo rozszerzała się na sąsiednie kraje, przyciągając zarówno katolików, jak protestantów i prawosławnych zrozpaczonych nową moralnością młodzieży, której dawne przepisy i zakazy nie tylko nie interesowały, ale były porzucane bez jawnego protestu, po prostu zbywane wzruszeniem ramion. Krucjata biskupa Golonki święciła triumfy już po śmierci Bolcia I i stopniowo podbiła ogromny elektorat znacznie liczniejszy niż ten, który



skłonny był opowiadać się za zwolennikami Vaticanum Secundum: Jerzym Turowiczem i Karolem Wojtyłą. Co ciekawe, biskup Golonka przyciągał również młodzież, która przecież w praktyce nie stosowała się do tradycyjnych norm zachowania. Wyrażała się w tym potrzeba autorytetu, ta sama, która niedawno przyniosła władzę Bolciowi I. Nie ulega zresztą wątpliwości, że biskup Golonka skutecznie podsycił nieufność wobec mass mediów opanowanych finansowo przez korporacje amerykańskie i zachodnioeuropejskie.

Książę Giedroyc

A jednak historia zależy w tak wielkim stopniu od nieprzewidzianych przez nikogo wydarzeń, bo gdyby Wódcz nie miał pasji jeżdżenia szybkimi wyścigowymi samochodami, mógłby rządzić

Polską przez długie lata, choć o jego śmierci w wypadku samochodowym różnie mówiono, przebąkując o pękniętej kierownicy.

I oto mamy dalszy ciąg tego, co zaczęło się zaraz po wojnie, zupełnie jakby dziesięć lat dyktatury było przemijającym epizodem. Skupieni dookoła Giedroycia dawni współpracownicy „Buntu Młodych” i „Polityki” zbierali teraz laury skutecznego oporu, a na przykład Xawery Prószyński montował nowy front, wynik przymierza antyklerykałów giedroyciowców i katolików Turowicza przeciwko Stronnictwu Narodowemu. To stronnictwo miało, co prawda, u siebie zdolnych poetów i publicystów, którzy nie dochowali wierności Bolciowi I. Walkę toczyli teraz dwaj pisarze: Włodzimierz Pietrzak i Tadeusz Gajcy po stronie prawej i Krzysztof Kamil Baczyński po stro-

Reprodukcja Archiwum



CZESŁAW
MIŁOSZ
ur. w 1911, poeta,
eseista, tłumacz.
Ostatnio wydał
Orfeusz
i Eurydyka (WL,
2002). Od roku
1999 wychodzą
jego *Dzieła
zebrane*.

nie lewej. Ostatecznie sednem wszelkich sporów była kwestia Wilna i Lwowa. Nie to, żeby Giedroyc zajmował się jakimiś merytorycznymi roszczeniami Litwinów do Wilna, skoro uważał, że po prostu zaklinowali sobie głowę mitem stolicy historycznej, ale przecie był dziedzicem federacyjnych marzeń Piłsudskiego i uważał, że dopóki Litwini nie dostaną Wilna, nigdy nie będą zdolni do partnerstwa na równych prawach. Co prawda przeszkody istniały nie tylko ze strony polskiej opinii publicznej, również na Litwie działało stronnictwo, które kategorycznie sprzeciwiało się wzięciu Wilna, jako że polskie miasto z polskim uniwersytem w granicach Republiki Litewskiej byłoby oczywiście koniem trojańskim polonizacji. Kiedy był ministrem spraw zagranicznych, Giedroyc dogadywał się już z Ukraińcami co do Lwowa i teraz, po upadku Bolcia I, musiał na nowo podjąć wysiłki, przekonując wszystkich, że jeszcze jedna wojna polsko-ukraińska była by zgubna dla obu krajów.

Losy pisarzy

Nastał czas rozkwitu satyry i satyrycznych kabaretów. Zaraz po wojnie wznowiono „Cyrulika Warszawskiego”, którego ostoją byli poeci Skamandra po ich powrocie z emigracji: Słonimski, Tuwim, Wierzyński, Lechoń. Niegdyś było to środowisko nieco pochlebne wobec sanacji, teraz jednak hulało na całego, oczywiście wrogie Bolciowi I i tylko w miarę hamowane przez cenzurę. Układ konstelacji poetyckich ulegał bezustannym zmianom i niewątpliwie pierwszym nazwiskiem wśród poetów stał się Bogumił Andrzejewski, były żołnierz spod Tobruku. Wielki poemat Wła-

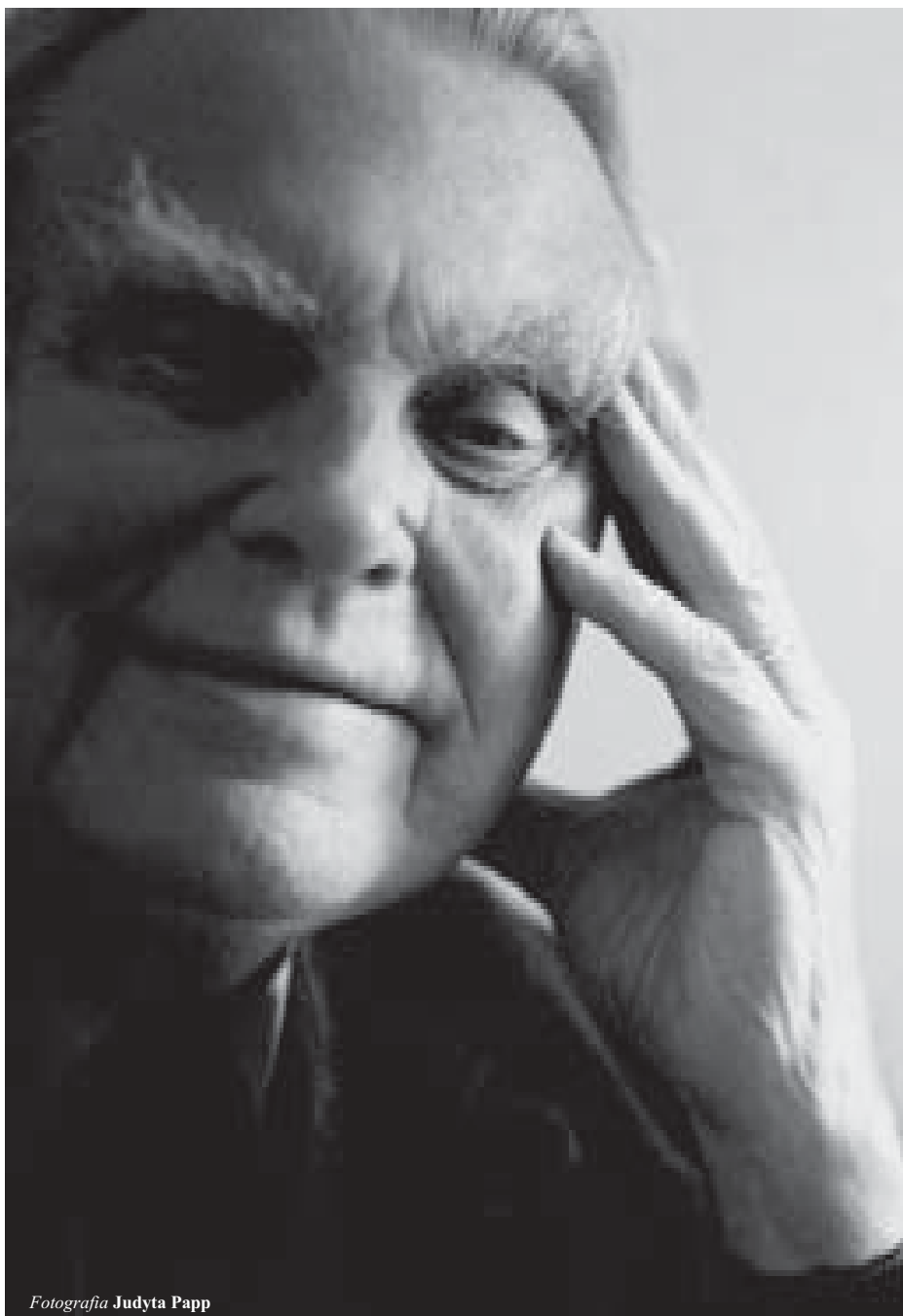
dysława Broniewskiego ślawiący wojsko polskie na Bliskim Wschodzie należał do lektur szkolnych. Pośród podziałów, jakie dałoby się przeprowadzić nie najmniej ważny był podział na literaturę warszawską, wileńską, krakowską i zakopiańską.

Czesław Miłosz zaszył się w Wilnie, a raczej w jego bibliotekach. Wynikiem czego była dziwaczna powieść w kilku tomach, której akcja działa się na Litwie w końcu XVIII wieku, a bohaterowie należący do tzw. łóz mistycznych, wśród nich hrabia Cagliostro, podróżowali po całej ówczesnej Europie, wszędzie mając koneksje wśród bratnich łóz.

W 1985 roku „Tygodnik dla Wszystkich” celebrował 100. urodziny swego długoletniego współpracownika – Stanisława Ignacego Witkiewicza. W ciągu 10 lat dyktatury powieści jego były zabronione, ponieważ Bolcio I dopatrywał się w postaci Gnębna Puczymordy swego portretu, toteż Witkiewicz opublikował parę powieści za granicą, tym razem wstępujących w ślady *Nowego wspaniałego świata* Huxleya, bo przedmiotem ich była globalizacja, kultura masowa i całkowity pod jej wpływem zanik uczuć metafizycznych. Cenzura nie ingerowała jednak w artykuły, które systematycznie umieszczał w „Tygodniku dla Wszystkich”.

Bilansując cały ten okres należy wspomnieć o bezustannej kontrowersji dookoła postaci i dzieła Jarosława Iwaszkiewicza. Niekwestionowana wielkość jego jako pisarza kolidowała z oskarżeniami o niewłaściwą postawę polityczną. Jego przymierze z Młodymi Lechitami zaprowadziło go na dwór Bolcia I, który nawet powoływał się na niego w swoim fundamentalnym dziele *Dusza polska*.

Czesław Miłosz



Fotografia Judyta Papp

W maju ukaże się na rynku album fotografii *To Miłosz* autorstwa Judyty Papp, Wydawnictwo Pruszyński i s-ka.



Tadeusz
Drewnowski

HISTORIA
DO POPRAWEK
(Z POSTSCRIPTUM)

W Państwa zaproszeniu, prócz wzywanej po imieniu *Historii niebyłej* Alexandra Demandta, poczułem natychmiast dawniejsze tchnienie *Wyznań uduszonego* Kazimierza Wyki, który w podobnym do proponowanego stylu wypowiedział się w ankiecie „Życia Literackiego” o „Książce nienapisanej” przed czterdziestu laty. Zajmując się literaturą polską XX, a po trosze już i następnego wieku niepodobna do *Wyznań uduszonego* nie wracać i nie nawiązywać. I ja nieraz to robiłem, a nie byłem odosobniony.

Ale Wyka w 1964 roku ze zrozumiałych zapewne względów potraktował to zadanie generalnie, otworzył ogromne pole dla swej fantazji i erudycji, sięgające *Bogurodzicy*. „Dekada Literacka” swój zakres, co zdrowe i ponętne, radykalnie

ograniczyła, ustalając *terminus a quo* ankiety za progiem Jałty. Istotnie Jałta stała się w Polsce złowrogim symbolem, używanym dość często w retoryce politycznej i nagłówkach książek – nie całkiem jednakże zasłużenie. Jeśli miałbym pisać o alternatywie Jałty – odłożyłbym zaproszenie. Dla mnie alternatywą Jałty, a raczej zerwania potwierdzonych tam zobowiązań, była już tylko „trzecia światowa”, nie tylko niechętnie widziana przez zgromadzone tam strony, lecz i nie stanowiąca „korzystnej dla Polski wersji dziejów” (co zakładacie) i nie zachęcająca do fantazjowania. Proszę więc przyjąć w mojej wypowiedzi drobną poprawkę.

W gruncie rzeczy kości zostały rzucone kilkanaście miesięcy wcześniej,

w Teheranie (28 XI – 1 XII 1943). Tam bowiem dzielono już skórę na nieubitym jeszcze do reszty zwierzu. W gorących sporach o otwarcie przez zachodnie mocarstwa – obok zachodniego – trzeciego frontu na Bałkanach, o granice przyszłej Europy i rekonfortujących rozważaniach o okupowaniu powojennych Niemiec (razem czy osobno?) – strona sowiecka podjęła sprawę „odpowiedzialności strategicznej” (jeśli chodzi o nas, wówczas przeniesiono ją z barków Wielkiej Brytanii na ZSRR); „odpowiedzialności”, która w miarę dyskusji Wielkiej Trójki przeobrażała się coraz bardziej formalnie w sprawę wpływów mocarstw, a więc i „sferę interesów” ZSRR. Mocarstwa zachodnie opierały się wówczas przed rozstrzygnięciem tych kwestii, ale prawdę powiedziawszy brakowało im argumentów. Gdyby na konferencji w Teheranie Roosevelt i Churchill zgodzili się na otwarcie południowego frontu, zakomunikowali zgodę Polski na „linię Curzona” i – prócz odpowiednich rewindykacji za poniesione w tej wojnie przez ZSRR ciężary i ofiary – Ameryka zapowiedziała perspektywę powojennej pomocy gospodarczej, a może i wizytę Generalissimusa w Stanach, zaś w sprawach generalnych okazali się twardzi – być może Stalin byłby się skusił...

Oczywiście o pertraktacjach w egzotycznym Teheranie zwykli śmiertelnicy niewiele w mrokach końca strasznego w kraju roku 1943 wiedzieli, ale polskie czynniki polityczne były zawczasu nimi alarmowane. W *Dziennikach* Dąbrowskiej zwróciłem uwagę na jej dziwny sen o podróży do Włoch, zapisany latem 1943 roku po wizycie u niej Jarosława Iwaszkiewicza, który zwykle przynosił

jej wiadomości z Delegatury Rządu na Kraj. Oto w nocy z 2 na 3 lipca tego roku podróżuje ona we śnie pociągiem, w którym zegar idzie o dwie godziny później i po przebudzeniu z przerażeniem uświadamia sobie, że jedzie do Wenecji sowieckim pociągiem. To już był sygnał, że grozi nam przehandlowanie, przejście na czas wschodnioeuropejski.

Tak więc Polska nie „bez Jałty”, lecz bez Teheranu... Jeszcze wówczas byliśmy wolni od przyporządkowania do „sfery sowieckich interesów”. Jeszcze nie wisiała nad nami, wydana przed wstąpieniem w dawne jej granice, ustawa o uprawnieniach Armii Czerwonej na zapleczu frontu (co wtrąciło wielu do łagrów, a ją zatrzymało przez roztargnienie w Polsce na lat czterdzieści kilka). Nie ma jeszcze w polskim podziemiu „dwuwładzy” (delegatura – KRN) i co się z tym wiąże, nie ma planu „Burza”. A przede wszystkim w Warszawie nie wybije godzina W...

Uff, wyobraźnia może nieco odetchnąć... Warszawa istnieje (było gdzie mieszkać), choć nieco poturbowana jeszcze we wrześniu i podczas wyzwalań. Armia Krajowa wyszła z podziemia, dołączyła do niej Armia Ludowa i armia Berlinga; armię Andersa po drodze skierowano na front bałkański. Wszystkie te niewyobrażalne fakty nie znaczą, że nie odczuwa się nędzy i nie ma sprzeczności oraz konfliktów. Toteż zaraz po Poczdamie, gdzie zamiast prowizorycznych ustaleń zawarto regularny pakt pokojowy, rząd przybyły z Londynu ogłasza wolne wybory.

Zalóżmy, że w ich wyniku pierwszym premierem zostaje Stanisław Mi-

kołajczyk (darowane byłoby mu upokarzające podanie się w Londynie do dymisji, by pertraktować na Kremlu z Rządem Tymczasowym). Do rządu Mikołajczyka po raz pierwszy w historii wchodzi też komuniści, a nawet jeden z nich, Władysław Gomułka, samodzielny działacz krajowy (a nie – zrzucony ze spadochronem), który upominał się bezskutecznie o ten akces przed utworzeniem KRN-u, zasłużony w rozmowach z Moskwą w sprawie granic, zostaje ministrem ziem zachodnich (dokąd obok repatriantów ze wschodu powraca część polonii ze świata, m.in. amerykańskiej). W związku z nastrojami w kraju, a szczególnie w licznych Batalionach Chłopskich, Mikołajczyk przeprowadza spóźnioną w Polsce o całe ćwierćwiecze radykalną reformę rolną. Niebawem w związku z pertraktacjami co do planu Marschalla i wojną domową, jaka rozgorzała na pograniczu polsko-ukraińskim, następuje zmiana gabinetu. Obejmuje go Jerzy Giedroyc, uważany za najzdolniejszego z młodej generacji polityków (na emigracji rumuńskiej zawdzięczano jego refleksowi zachowanie ciągłości legalnej państwowości polskiej). Porzuca on, niestety, już rozkręconą w Paryżu „Kulturę” (nie chce jej przekazać nikomu) i powraca do kraju. Dzięki porozumieniom teherańskim plan Marschalla nie koncentruje się na Niemczech, rozkłada się proporcjonalnie i szybko uruchamia w Polsce koniunkturę gospodarczą (niemały ma też w niej udział powojenny polski witalizm). W kwestii ukraińskiej na tereny zagrożone wprowadza wojsko, a równocześnie nawiązuje do okupacyjnych rozmów między Polską a niepodległościowym

ruchem ukraińskim (właśnie niedawno w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego odnaleziono w zakonspirowanych papierach po Kazimierzu Moczarskim ich żenującą, jeśli chodzi o stronę polską, dokumentację), anuluje stanowisko rządu londyńskiego, proponuje udział ukraiński w samorządzie bieszczadzkiem i obiecuje utworzenie w Przemyślu uniwersytetu ukraińskiego, co uspokaja sytuację. Coraz częściej powraca się w Polsce do popularnej w tajnej prasie okupacyjnej idei Federacji czy Unii Europejskiej. Nie ma na to jeszcze warunków w powojennej Europie, lecz jej godzina się zbliża...

Dość tych dywagacji politycznych! Co się dzieje w kulturze? W literaturze? Dzięki pomyślniejszemu przejściu od wojny do pokoju (bez nagłych zwrotów historycznych i zdumiewających przeobrażeń) nie wytraca się niezwykły potencjał i dynamizm kulturalny z czasów wojny. Pewne rzeczy były zresztą na ten moment przygotowane. W ocalałym Teatrze Polskim odbywa się przygotowana przez tajną Radę Teatralną inauguracja ruchu teatralnego, na którą składa się spektakl – wspomnienia tu się rozchodzą – *Akropolis? Achilleis? Powrotu Odysa?* w inscenizacji Leona Schillera ze specjalnie na tę okazję napisanym przez Czesława Miłosza *Prologiem na otwarcie Teatru Narodowego*. Otwiera go piękna i poruszająca apostrofa:

*Śława, stolico, śława, stolico,
O męstwie twoim nie zginię wieść*

Prolog, korespondujący ze stylem Wyspiańskiego i rozgrywający się między trzema postaciami: Mężem Stanu,

TADEUSZ DREWNOWSKI

Poetą, Matka oraz Chórem, został napisany przed Powstaniem Warszawskim. Ale Poeta jakby przed nim przestrzegał. Obwinia on Męża Stanu i pociesza matkę szukającą w ruinach szczątków syna, jakby już wystarczyło tego, co było...

Na inaugurację gotowi też byli wydawcy. Imponującego dzieła dokonał Zbigniew Mitzner (ps. Marian Zawadzki), uruchomił podczas okupacji wydawnictwo „Wisła”. Zebrałszy kapitały rodzinne, zgromadził on i przechował pod Warszawą zasób 216 pozycji (w większości gotowych), i to na warunkach wyjątkowo dla literatów korzystnych. Prócz powstających zaraz po wojnie nowości, jak *Dymy nad Birkenau*, *Medaliony* czy *Czarny potok*, natychmiast zaczęły się więc ukazywać takie pozycje przedwojenne i okupacyjne (w rzeczywistości całe przedsięwzięcie doprowadziło Mitznera do upadłości, a zgromadzone teksty wydano gdzie indziej z opóźnieniem albo nie wydano w ogóle), na przykład Rembeka *Opuszczone działo*, debiut Kazimierza Brandysa *Urodziny* i debiut Trzebińskiego *Aby podnieść różę*, Wyki *Pesymizm i odbudowa człowieka (z progu II wojny)*, Schillera *Teatr żywy*, Kadena Bandrowskiego monografia *Karol Szymanowski*, Mauersbergera *Anegdoty historyczne* itd. Kończono też dzieła rozpoczęte: Kaden, który nie zginął, skończył *Jedwabny węzeł*, Dąbrowska – powieść o dwudziestolecu międzywojennym (w rzeczywistości *Przygody...* zablokowały ją na lat dwadzieścia), Andrzejewski – *Natchnienie świata*, powieść o wojennej Warszawie (tak gorzko zarzuconą), a Irzykowski, też ocalały, *Literaturę polską lat dwudziestu jeden*.

Największy jednak potencjał tworczy zawierało młode pokolenie. Jemu zawdzięczano życie literackie pod okupacją, ale też straty poniosło kolosalne. Jeśliby mu oszczędzono przynajmniej śmierci powstańczych (przeżyłby Krzysztof Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy, Zdzisław Stroiński, Wojciech Mencil, żeby się ograniczyć do strat warszawskich), czy w wolności beżtańskiej przetrwałaby więź pokoleniowa? Co właściwie łączyło Baczyńskiego, Różewicza, Borowskiego i Kępińskiego, J. J. Szczepańskiego, Herlinga-Grudzińskiego i Strzeleckiego, Edelmana, Konwickiego, Międzyrzeckiego, Zalewskiego i Bartoszewskiego? Jak sądzę, doświadczenia zbrojnego i intelektualnego ruchu oporu przeciw jednemu pokonanemu, a drugiemu triumfującemu totalitaryzmowi epoki. Ich legitymacją była *Polska jesień*, *Pożegnanie z Marią*, *Inny świat*, *Niepokój*, *Rojsty*, tworzące zręby „polskiej szkoły” w literaturze i filmie.

Czy to pokolenie stworzyłoby jakąś wspólną platformę literacką, która z czasem przetworzyłaby się w płaszczyzną szerszą, myślową, ustrojową, polityczną? Myślę, że najbardziej nadawałaby się na nią poszukująca okupacyjna „Droga”, gdzie debiutowali Baczyński, Szczepański i Borowski, i o której wznowienie po wojnie walczyli bezskutecznie Marczak z Borowskim. Czy dołączyliby do niej ocaleni z wojny SiNowcy? Może zbuntowałiby się przeciw nieuleczalnemu okupacyjnemu wodzowi Konfederacji? Nie miałyby się na co powoływać dzisiejsza „Frona”.

Do Warszawy ściągnął też Mieczysław Grydzewski i po „Wiadomościach” paryskich i londyńskich wrócił do „Wia-

domości Literackich”. Ta kolejna metamorfoza (bo każda z nich była uzależniona od miejsca postoju i autorskiej bazy) już mu się jednak nie powiodła. Pisywali tam klasycy przybyli z emigracji (głównie skamandryci, ale i Broniewski) i krajowi (Parandowski, Iwaszkiewicz, Dąbrowska, Hertz), ale to pismu nie pomogło. Niepostrzeżenie „Wiadomości Literackie” przetworzyłyby się w „Nowiny Literackie” pod redakcją Jarosława Iwaszkiewicza, świeższą ich kontynu-

ację, bliżej korespondującą z krajem, w którym „był już koniec świata”.

Wciąż kręcę się w tych niepoprawnych fantazjach wokół Warszawy, nie wspominając, o zgrozo, ani słowem o Krakowie. A przecież Kraków zawsze pozostawał sobą. W cieniu Archidiecezji wyrósł tam całkiem nowy i konstruktywny, od początku wrażliwy na ducha nowoczesnego katolicyzmu „Tygodnik Powszechny” (w czym mu dopomógł wileński rodowód), a okupacyjny „Mie-

Fotografia Elżbieta Lempp



siężnik Literacki” przemienił się w „Twórczość”, która pod redakcją doc. Kazimierza Wyki ani nie myślała przenosić się do stolicy. Panował tam przyjacielski tercet spod znaku „tragiczności” (że odwołam się do głównego dłań nurtu tradycji międzywojennej): Wyka – Miłosz – Andrzejewski, wspomóżony przez autorów *Śpiewu z pożogi i Pytań zadawanych sobie*. Nie jest wykluczone, że Miłosz, nie szykując się w żadne podróże, już wówczas osiadłby w Krakowie, a Szymborska widywałaby się w pensjonacie „Astoria” z wciąż twórczym i uroczym Baczyńskim. W „Twórczości” latami Wyka prowadził renomowaną „szkołą krytyki” (od Flaszena i Błońskiego po Jerzego Kwiatkowskiego), z którą jedynie próbowała konkurować warszawska (zakazana w PRL) „Krytyka” Andrzeja Stawara.

Ale atmosferę miasta, podobnie jak przed wojną, kształtowało coś jeszcze: na starożytnym tle neoawangarda malarska (Jarembianka, Nowosielski, Tadeusz Brzozowski aż po Andrzeja Wróblewskiego) i teatralna („Cricot II” Kantor). Ku nim lgnęli młodzi poeci-nowatorzy; czytanie wierszy przez Różewicza, Herberta, a potem i Mirona Białoszewskiego towarzyszyło ich prezentacjom.

Mimo tych uroków i przewag krakowskich, zawsze atrakcyjnych, do najważniejszego wydarzenia tych lat doszło w Warszawie. Nie będę tu oryginalny, powołam się na *theatre-fiction* z wywiadu Błońskiego, tyle że trochę je wcześniej umieszczę w czasie. Mianowicie zaraz po napisaniu w 1947 roku w Argentynie dramatu *Ślub*, Witold Gombrowicz przesłał go do Iwaszkiewicza do Warszawy i w początku następnego roku w odbu-

dowanym rok wcześniej Tatrze Narodowym odbyła się w reżyserii Schillera jego światowa prapremiera. Było to prawdziwe „otwarcie Teatru Narodowego” po wojnie, które właśnie naszkicował Błoński „jako rodzaj żartu czy fantazję”:

Zalożyłem – mówił – że nikt z wybitnych pisarzy nie zginął śmiercią gwałtowną. Kogo byśmy tam nie zauważyli wśród gości? Schulz, który Gombrowicza uwielbiał, przyszedłby razem z Nałkowską, która lubiła i Schulza, i życie światowe. Witkacy wszedłby ze swym młodziutkim przyjacielem, Konstantym Puzyńką, a ten na pewno wystarałby się o bilet dla Mrożka. Miłosz, który ogromnie lubił teatr i brak teatru uważa za jedną z najprzykrzejszych stron emigracji, przyszedłby może z Różewiczem, któremu poświęcił właśnie entuzjastyczny wiersz (można sprawdzić w wydaniu zbiorowym). Herbert wszedłby uśmiechając się do bileterki, a może Białoszewski obudziłby się w porę i wdrapał na galerię.

Błoński entuzjazmuje się prapremierą, opisuje ją jednak jak raut, w stylu Klubu ferdydurkistów. Ani słowa o tym, dlaczego to taka ważna sztuka, jakby jej nie pojął. (Potraktował ją też po macoszemu w swej książkowej syntezie. Jako gombrowiczolog długo pozostawał ferdydurkistą, a kiedy to pojął, zaczął go święconą wodą egzorcyzmować). Tymczasem *Ślub* był prapremierą istotnie przełomową, mówił po raz pierwszy w polskiej literaturze wprost o świecie, o historii po drugiej wojnie światowej, „po śmierci Boga”. A zarazem jego „kościół międzyludzki” wskazywał naszej scenie nowe możliwości.

Sam mistrz nie przybył z Argentyny na warszawską prapremierę (prawdo-

podobnie z braku gotówki), lecz kiedy doszły go echa sukcesu bez zwłoki powrócił do Polski na stałe. Wkrótce założył w „Krokodylu” na Starówce własny stolik, mocno oblegany przez młodych. Zainteresowała go nawet powojenna młoda literatura, którą z daleka (jak świadczyły wyraźnie jego *Dzienniki*) znał po łebkach. Z przyzwyczajenia przystał jednak do przedwojennej awangardy, do miesięcznika (w PRL nie dopuszczono go do druku) „Rzecz”, wydawanego przez Przybosa i Sandauera. Wkrótce rozpoczął się w kraju, przed szerokim audytorium (i odmienny niż na emigracji) dialog między esencjalistą Miłoszem a Gombrowiczem-egzystencjalistą. Poza przywiezionym po części *Trans-Atlantyką* i pomysłem na *Operetkę* inaczej też wyglądały jego krajowe powieści. Czy miałby tutaj bodźce do prowadzenia *Dzienników* – a szkoda byłaby...

Za Giedroyciem i Gombrowiczem przybył też po latach do ojczyzny, ku uciesz rodziny, Konstanty Jeleński. I chyba wbrew oporom w gabinecie Giedroycia został ministrem kultury i sztuki. (Początkowo zamieszkał na Mokotowie w pół-bliźniaku, który przed wojną kupili dla niego rodzice, a po wojnie kwaterunek uznał za „dobro porzucone”. Dopiero z *Wypominków* Joanny Siedleckiej skojarzyłem, że to ja zostałem którymś z kolei lokatorem jego dolnej kondygnacji w ruinie. Państwo rozumieją, że nie mogłem od razu pominąć w mych fantazjach tej postaci, która nie raz od tego czasu mnie w domu nawiedza).

Jako minister kultury zresztą Jeleński zapisał się chwalebnie wieloma inicjatywami. Między innymi – być może

natchniony sukcesem *Ślubu* – skorzystał z pracy wrocławskiego profesora Jana Kotta nad *Szekspearem współczesnym* oraz z przyspieszonej przeprowadzki do tego miasta „Teatru-Laboratorium” Grotowskiego i autora obiecującej *Kartoteki* Róźewicza, by zacząć z Wrocławia tworzyć metropolię kulturalną Środkowej Europy. W ogóle Jeleński popierał kontakty polskiej kultury ze światem. Nie ograniczają się one do tradycyjnych związków z Francją, pielęgnowanych przez Nałkowską i Brezę, czy też uoficjalnionych z ZSRR. Po raz drugi polscy pisarze goszczą Tomasza Manna, który u Fukiera wygłasza odczyt o *Doktorze Faustusie*, i tamże Borys Pasternak przedstawia *Doktora Żywago*. Pen-Club polski zaprasza Camusa i Bubera. Rozgłos polskiej literatury po 1939 roku, po Oświęcimiu i po Shoa ściąga do Polski Niekrasowa, Grassa i Lenza, a młodzi pisarze zapraszają młodych prozaików amerykańskich – Jeroma Davida Salingera i Normana Mailera. Gombrowicz nie zrywa swych przyjaźni z młodymi argentyńskimi podopiecznymi, którzy niebawem przyczynią się do boomu latynoamerykańskiej literatury. Słowem – bierzemy, ale i dajemy coś własnego i autentycznego...

Na tym urywam wstęp do mych wyznań. Chyba zaczęły się już toczyć i dalsze łatwo sobie wyobrazić...

Tadeusz Drewnowski

P.S. Byleby „wyznań uduszonego” nie wprowadzono do międzynarodowych słowników terminów literackich jako specyficznie polskiego gatunku literackiego. Przecież już się gromadzą materiały do wyznań „po okrągłym stole”.

TADEUSZ DREWNOWSKI ur. w 1926 r., krytyk i historyk literatury, eseista, autor między innymi zarysu literatury powojennej *Próba scalenia...* (1997).

Ryszard
Matuszewski
BEZ JAŁTY –
BEZ ZMIAN?



Fotografia Marek Gardulski

W zabawę zaproponowaną przez redakcję „Dekady Literackiej” mogę się dać wciągnąć, ale tylko uwzględniając własne predyspozycje psychiczne, które nie skłaniają mnie do jakiegoś absolutnego fantazjowania. Wydaje mi się, że nie jestem w stanie wyjść poza kategorie logiczne, które np. każą mi założyć, że „kultura polska bez Jałty” mogłaby się rozwijać tylko w świecie politycznym „bez Jałty” tzn. takim, w którym układ sił politycznych pomiędzy aliantami w wojnie z Hitlerem byłby inny. Można sobie teoretycznie wyobrazić, że Stany Zjednoczone, które w jakimś stopniu dozbrajały i dokarmiały Rosję, aby posłużyć się jej materiałem ludzkim, jej „mięsem armatnim”, by unicestwić hitleryzm, wcześniej z udziałem Anglii zaczynają ofensywę na Zachodzie, wkraczają do Polski przed Armią Czerwoną, wraz z formacjami polskimi z Zachodu i przysłowiowym „Andersem na białym koniu”. Czy przyjmując, że istniał i działał Stalin, taki jaki był, można przypuszczać, że do tego by dopuścił, nawet pozbawiony amerykańskiego wsparcia? Myślę, że w odpowiednim momencie wszedłby w jakiś rodzaj porozumienia z bitymi od Zachodu Niemcami, nawet z jeńców niemieckich stworzyłby formację, którą by zwrócił przeciw zachodnim aliantom, czyli starał się raz jeszcze zagrać tą kartą, którą zagrał w 1939 roku (pakt Ribbentropp-Mołotow). Poza tym, ponieważ w Polsce nie ma ropy, nie jesteśmy ani Irakiem, ani Arabią Saudyjską, Amerykanie nie mieliby żadnego interesu, żeby nas wyzwalać i antagonizować

Rosję. Inaczej mówiąc, polityczna Polska „bez Jałty” była w roku 1944 czymś zupełnie nierealnym i raczej mielibyśmy wtedy „trzecią światową”, i to zapewne rozgrywającą się na naszym terenie. Jak wyglądałaby wtedy nasza kultura nawet nie ośmielam się sobie wyobrazić. Może uniknęlibyśmy niefortunnej decyzji rozniecania Powstania Warszawskiego, ale nie uniknęlibyśmy innych analogicznych tragedii i zniszczeń. Tylko kompromis, czyli jakieś dogadanie się aliantów, mógł nas uratować i jeśli nie byłaby to „Jałta”, to byłoby coś innego w tym rodzaju.

Oczywiście można sobie wyobrazić jakiś udany zamach na Stalina czy jego naturalną, wcześniejszą śmierć oraz totalny burdel na Wschodzie, z którego moglibyśmy odnieść jakieś korzyści. Ale jakie? Zakładamy warunki, w których powstaje Polska nierządzona przez stalinistów popieraną przez Kreml, mniej lub bardziej demokratyczna (raczej mniej, bo w latach 30. zwyciężała pogarda dla demokracji). Z Londynu wracają nie tylko Anders i rząd londyńskim *in corpore*, ale i nasi pisarze: Wierzyński, Lechoń, nawet Gombrowicz (choć z wariatami nigdy nie wiadomo, może wolałby zostać w Argentynie?). Wraca Herling-Grudziński – na pewno, i Jerzy Giedroyc, który tworzy pismo nie w Rzymie i Maisons-Laffitte, ale – dajmy na to – w Krakowie albo w Warszawie.

Komuniści nie mają ani w polityce, ani w kulturze żadnego znaczenia, może jakiś głupi Leon Pasternak żyje mrzonkami o odrodzonej KPP, przypominając wszystkim jak go bili w Berezie, ale dla

Obok: Jerzy Bereś, *Taczki polskie*, 1966, drewno, sznur, juta, tempera, 225 x 260 x 600 cm, Muzeum Sztuki w Łodzi.

odrodzonej KPP nie ma żadnej bazy społecznej. Nie ciągną do niej chłopi, korzystający z Planu Marschala, nie ma wymordowanych Żydów, więc nie ma zaplecza nie tylko dla komunizmu odrzucanych z powodów religijno-rasowych, ale także tak ważnego przed wojną kulturalnego zaplecza wspaniałej polskiej inteligencji pochodzenia żydowskiego, czyli nie ma zaplecza dla „Wiadomości Literackich”, i Grydzewski, który wrócił z Londynu, jeszcze bardziej niż tam opiera się na polskich konserwatystach i endekach. Powstaje oczywiście obóz demokratycznej lewicy, bardzo antysowieckiej, na którego czele stają ludzie typu Ciołkoszów i Puzaków, a w kulturze Gustaw Herling-Grudziński, razem – powiedzmy – z Kazimierzem Brandysem, któremu nawet do głowy by wtedy nie przyszło wstępować do jakiegось tam PPR czy PZPR, które w ogóle wówczas by nie istniały.

Nawet Żółkiewski by się tam przyłepił, a może mój przyjaciel Janek Kott, choć z tym nigdy nie wiadomo, bo może zostałby katolikiem i razem z Turowiczem kleiłby jakiś odpowiednik „Tygodnika Powszechnego” czy „Verbum”. Ale nie cieszcie się panowie postępowi katolicy: wasze życie wcale by nie było lekkie. Jak mi wiadomo, nawet od mego przedwojennego prefekta, Kościół rozwija się najlepiej, kiedy jest trochę prześladowany. Wtedy w walce rosną charakter i rozwija się myśl. Nie wiem więc, czy w powojennej Polsce „bez Jałty” nie rozpaliby się od razu znane nam dziś piekielko, w którym w Kościele wbrew podejrzanym francuskim modernistom, czy „postępowcom” z „Tygodnika” w kulturze katolickiej nie trium-

fowałoby znacznie bezwzględniej „Radio Maryja” i różne niedzielne dzwonki. Ktoś powie: no tak, ale Sobór Watykański II i Jan XXIII, przemiany w kościele ogólnościatowym. Owszem. Ale my w ogniu. U nas po bożemu: ksiądz Janowski, ksiądz Rydzyk, a z tym podejrzanym Turowiczem raczej ostrożnie. Co więcej: czy na konklawe w 1978 roku wybrano by Karola Wojtyłę, „polskiego papieża”? A po co? Przecież ten mądry papież-Polak mógł wydać się człowiekiem odpowiednim na Stolicę Piotrową kardynałom-elektorom głównie dlatego, że to był dla Kościoła klucz do walki z komunizmem. Ale w innych warunkach? Po co?

Byłaby więc w Polsce bez Jałty – jak przed rokiem 1939 – literatura katolicko-narodowa z Dobraczyńskim, Żukrowskim, którzy nie oczkowałiby w stronę żadnej partii, lecz szli w przymierzu z ojcem Rydzykiem. A Turowicz ze swoim zespołem pozostawałby na uboczu, może współpracował z krajowym koncertem Jerzego Giedroycia, z uporem i konsekwencją lansującego ideę porozumienia z Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami, bardzo jednak niepopularną, bo przecież – bez Jałty – mielibyśmy Lwów i Wilno wraz ze wszystkimi problemami ukraińskimi, białoruskimi i litewskimi, czyli ogólną wrogość tyle, że – jak słusznie napisał Miłosz w *Traktacie poetyckim* – „jest spadkobiercą ONR-u partia, a poza nimi nic nigdy nie było prócz buntu godnych pogardy jednostek”. Byłby więc Gałczyński, taki jak przed wojną: cygański i liryczny fajerwerk w służbie partii któregoś z dynastii Giertychów, Miłosz pisałby oczywiście u Giedroycia, Herling-

Grudziński – jak już wspomniałem – trochę bardziej na lewo tzn. konsekwentniej antykomunistyczny, w przyjaźni z Władysławem Broniewskim, który zamiast *Słowa o Stalinie* napisałby może dłuższy poemat o powrocie „tulaczey armii” Andersa do Polski.

Lechoń inaczej rozegrałby batalię z nękającą go depresją, bo nie byłoby Pałacu Kultury, chyba że w Warszawie za pieniądze amerykańskie powstałyby już przed rokiem 1956 inne wieżowce. Poza tym, jak mawiał Giedroyc, w Polsce nadal walczyłyby ze sobą dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego. Kiedy myślę o endecji w „Polsce bez Jałty” – dreszcz przerażenia mną wstrząsa. Nie, że fanatyczni, czy nadal antysemiccy bez Żydów, w tym i komuniści celowali: tylko w tym, że tacy głupi. Przecież przed wojną prawica nie wydała u nas żadnej war-

tościowej jednostki w literaturze, przyzwoci pisarze byli zawsze „trochę na lewo”, oczywiście z wyjątkami, ale niewielkimi. Myślę o najwybitniejszych naszych pisarzach, żyjących po roku 1945. O ile byliby inni w „Polsce bez Jałty”? Czy Dąbrowska lepiej by wybrnęła z *Przygód człowieka myślącego*? Choć dzienniki jej by były może jeszcze ciekawsze? Iwaszkiewicz pisałby zupełnie tak samo, tyle że nie napisałby *Listu do prezydenta Bieruta*. Różewicz, Herbert, Białoszewski – byliby takimi samymi poetami jak w Polsce pojałtańskiej. Szymborskiej los oszczędziłby kilku wierszy z jej dwu pierwszych tomików i Andrzej Biernacki musiałby sobie znaleźć inną ofiarę. Nie powstałaby garść utworów socrealistycznych, o których dziś już i tak nikt nie pamięta, natomiast świetny gawędziarz Igor Newrly

POLSKA SCENA POLITYCZNA

Rysunek Aleksander Pieniek

Achtung!

ВНИМАНИЕ!



Antoni Miró, *Interludi*, seria *Vivace* 1998, akryl na płótnie, 300 x 300 cm

Reprodukcja Katalog

napisałby może trochę inną fantazję na temat fabryki celulozy we Włocławku i nieco wcześniej ogłosił książkę swego życia tj. autobiograficzne *Zostało z uczt bogów*. Konwicki miałby może nieco inne przeżycia okupacyjne, ale wydaje mi się, że w zasadzie nakreśliłby podobny portret zawitych dróg swego pokolenia i romantyczny wizerunek swojej bliższej, kresowej ojczyzny. Kazik Brandys może wcześniej wylądowałby w Paryżu, tej Mekce narcyzów i estetyków. Lem zostałby Lemem, Adolf Rudnicki – Adolfem

Rudnickim, Marian Brandys tak samo napisałby sagę o szwoleżerach. Nie mówię już o Gombrowiczu, którego z jego tożsamości żadna moc by nie wytrąciła. Anrzejewski byłby jakąś polską odmianą André Gide'a. Nikt nie mógłby mu wytknąć broszur o partii i człowieku radzieckim, ale też nie podpisałby paru szlachetnych listów i memoriałów. Bardzo byłbym niespokojny o mecenat kulturalny w „Polsce bez Jałty”. Może tam na wieszczów forsa by się znalazła, ale kto by wydał 30 wspaniałych tomów

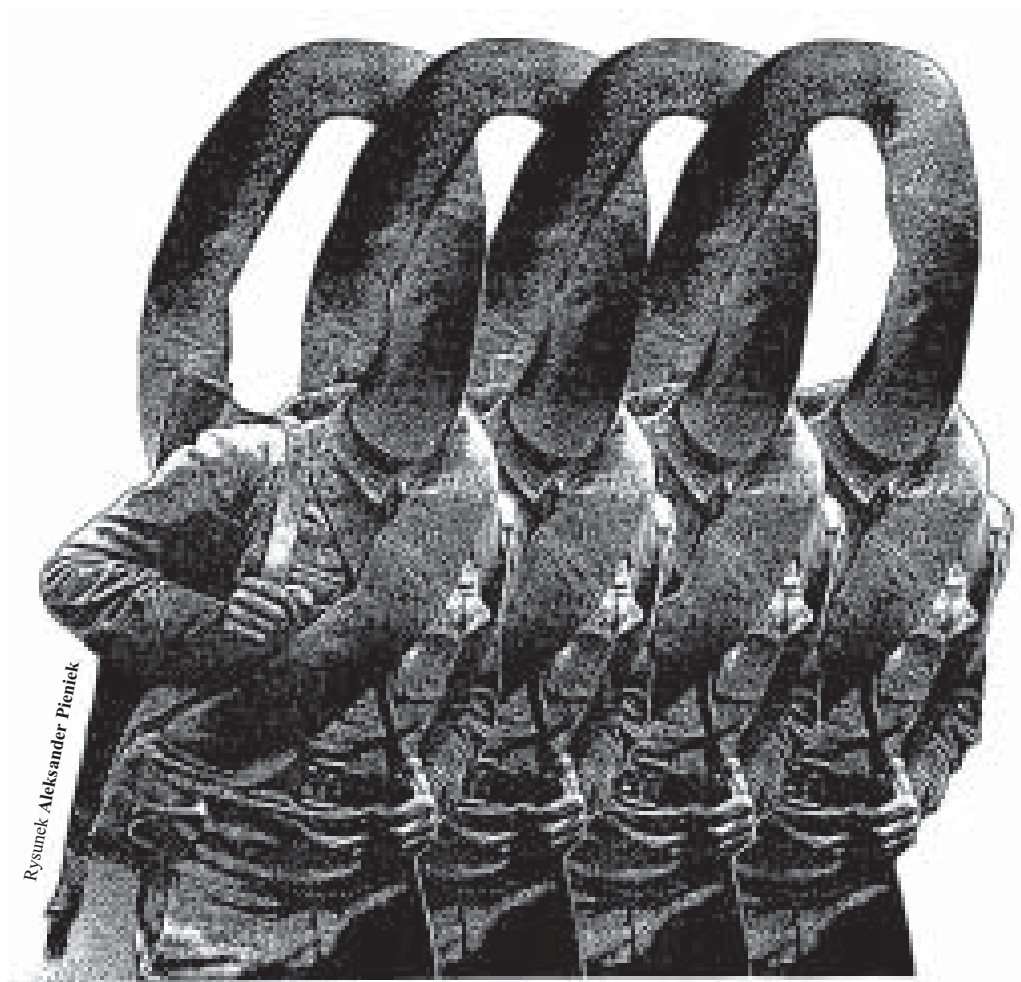
BEZ JAŁTY – BEZ ZMIAN?

Boya-Żeleńskiego? Tandety byłoby oczywiście dużo, tylko innej. Autorzy powieści socrealistycznych pisaliby powieści dla kryminalne lub erotyczno-pornograficzne. Słonimski i Kisiel byli zawsze przeciw, ale przede wszystkim przeciw endecji i Giertychopodobnym. Innych perspektyw jakoś nie widzę. Może jestem zanadto sceptykiem, albo mam zbyt

mało wyobraźni. Oczywiście uważam, że geniusze pojawiają się w literaturze zupełnie niezależnie od zewnętrznych uwarunkowań i gdyby miał się w tym półwieczu pojawić w polskiej poezji jakiś Norwid czy Leśmian, to pojawiłby się niezależnie od tego, czy żylibyśmy w układzie pojałtańskim czy innym.

Ryszard Matuszewski

RYSZARD MATUSZEWSKI
ur. w 1914 r.,
krytyk i historyk
literatury, autor
licznych książek
poświęconych
głównie
literaturze
współczesnej.



Rysunek Aleksander Piernick

Jacek Łukasiewicz

GDYBY NIE BYŁO JAŁTY...

Gdyby nie było Jałty, los Polski mógłby wyglądać różnie. Jeden wariant: wkracza Armia Czerwona, akcja „Burza” i powstanie w Warszawie udają się połowicznie. Sojusznik nie jest lojalny, lecz po roku, po uroczystym podpisaniu traktatu pokojowego z Niemcami w Paryżu wojska radzieckie się wycofują. Następuje finlandyzacja Polski.

Inny wariant: sojusznicy zachodni lądują na Bałkanach i po pokonaniu Niemców w Grecji i Jugosławii, zwycięskim marszu przez Węgry, Rumunię i Słowację oraz przełamaniu rozpaczliwego, silnego oporu wojsk niemieckich na linii Karpat – wkraczają na terytorium Polski. Warszawa ocalała, lecz zniszczeniu uległ Kraków, uporczywie broniony przez Niemców. Uchodźcy z ruin Krakowa przenoszą się do stolicy. Terytorium Polski się zmienia: dostajemy Prusy Wschodnie i granicę na Nysie Kłodzkiej, na wschodzie znaczną część Polski zabiera Związek Radziecki. Lwów należy do nas, o Wilno toczą się spory przez Polskę przegrane.

Oczywiście mogło być inaczej i inaczej – możliwości mnóstwo.

Przyjmijmy pierwszy z wariantów. Na początku powstania zginęli Baczyński i Gajcy. Wielu jednak przeżyło. Szyb-

ko odradza się życie literackie, początkowo na pozór według przedwojennych standardów. Wraca Grydzewski z „Wiadomościami Literackimi”, wraca też w pełnym uzbrojeniu wojsko polskie z Zachodu pod dowództwem gen. Andersa, który na Placu Saskim odbiera z rąk prezydenta marszałkowską buławę. Wracają Skamandryci. Na Zamku Królewskim wielki raut, któremu przyduje Zofia Nałkowska. Obok „Wiadomości Literackich” powstaje ambitny tygodnik „Rzut Pionowy”, gdzie rządzi Julian Przyboś, drukują Peiper, Brzękowski, Ważyk (oskarżenia o lwowską kolaborację zostają ze względów politycznych wyciszone). Choć oba te tygodniki zabiegają o młodych, szybko jednak okazuje się, że przedwojenny model życia literackiego jest nie do odtworzenia, nikt z młodych go nie chce.

Hierarchie się zmieniają. Dochodzi do głosu akowska młodzież, wspierają ją nieco starsi koledzy z II Korpusu. W prozie i poezji następuje moralne rozliczenie, rachunek sumienia wypalonego pokolenia. Słabszy jest nurt tradycjonalistyczny (z młodych Żukrowski). Rozrachunek prowadzony jest do końca i przynosi plon. W sporach między młodymi „czynnikami oficjalne” (silna pozycja

ministra kultury, Jarosława Iwaszkiewicza) wspierają raczej nurt krytyczny, nie zaś postułański. Polska na mocy układów musi być neutralna, zredukować wojsko, nie może się zbroić. Rozwijają się uniwersytety. Triumfują fenomenologia, filozofia analityczna i polski egzystencjalizm. Ważny staje się neotomizm ks. Jakubisiaka. Także marksizm. Następuje radykalizacja postaw. W sporach politycznych wielką rolę odgrywa sięgająca do swych niepodległościowych i socjalistycznych korzeni PPS. Dużo emocji budzi reforma rolna, przeprowadzona jednak szybko i konsekwentnie. Objęcie Polski planem Marshalla prowadzi do szybkiego rozwoju przemysłu – w Centralnym Okręgu Przemysłowym oraz na Śląsku. Tam też powstaje silny ośrodek kulturalny, uniwersytecki w miejsce zniszczonego Krakowa. Wcześniej założono Uniwersytet Śląski. Po reaktywowaniu Uniwersytetu Jagiellońskiego, wielu jego profesorów pozostało w Katowicach, mając dużo lepsze warunki. Tam również rozwija się radykalny syndykalizm, co owocuje powieścią polityczną. Socjaldemokratom z PPS zarzuca się sklerozę. Boje pomiędzy zwolennikami *Nie rzucim ziemi*, *Czerwonego sztandaru* i *Czerwonych maków na Monte Cassino* stanowią jednak w drugiej połowie lat pięćdziesiątych przedmiot kpin młodych gniewnych. Rodzi się literatura walki, o wyraźnie radykalnej wymowie, związana z Polską Partią Komunistyczną, należąca do Trzeciej Międzynarodówki (w której centrali duże znaczenie mają Bolesław Bierut, Włodzimierz Sokorski i Jakub Berman). Na Śląsku trudno przeciwstawić się im słabej prawicy, należą do niej Wilhelm Szewczyk, Zdzisław Hie-

rowski, z poetów Wojciech Bąk i przez pewien czas niezawodny, ogromnie popularny Gałczyński. Radykalne tendencje z obu stron próbuje przejąć Stowarzyszenie PAX, później zaś Syndykat, kierowany przez przywódcę Bolesława Piaseckiego, mimo nazwy syndykat, z syndykalizmem nie ma nic wspólnego.

Ważny jest problem mniejszości. Bardzo trudny, prowadzący do licznych zaognień. Dotyczy to Niemców na ziemiach odzyskanych, dotyczy to Ukraińców, dotyczy – w inny sposób – ocalałych Żydów. Sytuację łagodzi i tutaj plan Marshalla oraz gwałtowny rozwój gospodarczy w latach pięćdziesiątych. Pomocne są też hasła pozytywistyczne. Nacjonalistyczne tendencje okazują się silne, prowadzą do rozruchów.

Z przedwojennych prozaików powieści polityczne piszą Ferdynand Goetel i Maria Dąbrowska. Przełamała chwilowy impas w swojej twórczości. W 1952 roku wyszła jej nowa, wielka powieść. Główne Wydawnictwo Mitzner, później zaś wielka oficyna Mitzner i Syn staje się ogromną konkurencją dla Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza” i odnowionego Gebethnera i Wolffa (specjalizującego się w literaturze martyrologicznej). Z poetów starej generacji nowego przyływu sił twórczych doznaje Julian Tuwim. Kontynuuje poemat *Kwiaty polskie*, a potem daje kilka zbiorów wirtuozowskiej liryki. Obok niego rozwija się muza Kazimierza Wierzyńskiego. Obaj żyją długo. Obiecującym prozaikiem okazuje się młody lekarz Stanisław Lem, który, rozpoczynając od powieści o likwidacji przez Niemców pacjentów szpitala psychiatrycznego, rozwija swoje pasje filozofującego po-

wieściopisarza polityczno-obyczajowego. Są to często filozoficzne przypowieści, czasem w kostiumie futurologicznym. Mógłby zostać wziętym autorem literatury fantastyczno-naukowej, ale krytycznie nastawiony do kultury masowej nie ulega tej pokusie.

I można tak ciągnąć. Każdy bowiem wybór jakiegoś wariantu szczegółowego rodzi następne możliwości. Jasność wywodu będzie zmaćwał wszechobecny przypadek. Próbowujemy tylko odgadnąć, co by było „bez Jałty”? Co potoczyć by się mogło, jak potoczyło się w rzeczywistości? Co poszłoby innymi ścieżkami? Co zaś w ogóle by nie mogło zaistnieć? Im bliżej naszych czasów, tym mniej pewnych przesłanek i wszystkie hipotezy stają się dowolniejsze. Można by świetnie przewidzieć, że rozrachunek pokolenia wojennego, roczników dwudziestych z dziedzictwem AK dokonałby się we właściwym czasie, konsekwentniej i przyniósł oczyszczenie. Że proza Tadeusza Borowskiego, Bohdana Czeszki i Jana Józefa Szczepańskiego, Kornela Filipowicza bez cenzury rozwinęłyby się znakomicie. Można by sobie wyobrazić stolik Gombrowicza w powojennej warszawskiej „Obywatelskiej”, domyślać się, kto by przy nim siadywał i jak wyglądałaby twórczość tej szkoły.

Doświadczenia II wojny stanowią dla przypuszczeń mocny punkt wyjścia.

Później jednak zaczynają się duże niewiadome. Jaka byłaby polska literatura bez doświadczenia socrealizmu? Choćby poezja pokolenia wojennego? Jak bez socrealizmu potoczyłaby się poezja Herberta, Szymborskiej? Czy zostaliby zmuszeni do stworzenia swoich wyrazistych alter ego, zaprojektowania własnych sy-

tuacji komunikacyjnych, które tak bardzo charakteryzują ich poezje? Herbert na przykład mógłby pójść w kierunku poezji wizyjnej, metaforycznej w stylu Baczyńskiego pod dawnym patronatem Słowackiego, do czego – co widać w *Strunie światła* miał słabość. A Szymborska swój „łup wojenny” inaczej z pewnością by wykorzystowała. Białoszewski jednak byłby podobnym Białoszewskim. Dobrze też można by sobie wyobrazić, że twórczość Różewicza „bez Jałty” niewiele odbiegałaby od jego twórczości „po Jałcie”. Nie dlatego, iż pięknoduchowska; odpowiada ona na dwa kompleksy pytań, dwa impulsy – na drugą wojnę i na skutki rozwoju cywilizacji w skali globalnej, te zaś i bez Jałty by pozostały.

W połowie lat pięćdziesiątych weszłaby nowa generacja „dzieci wojny”; byłiby tu Mrozek, Grochowiak i Harasymowicz, Czaykowski i Czerniawski, Głowiński i Sławiński, Bursa i Bryll, Poświatowska, Szmidt, Kozioł, Terlecki, Krzysztoń... Mieliby szansę zaistnieć, stworzyć formację. Grochowiak na przykład wykorzystałby swój talent redaktorski i stworzył silne pismo grupujące najlepszych. Sam rozwinąłby swoją twórczość poetycką i prozatorską znakomicie. Podobne talenty redaktorskie i organizacyjne wykorzystaliby wcześniej Sławiński i Czaykowski. Silny związek z rówieśniczym młodym środowiskiem filozoficznym pozwoliłby wyartykułować program tej generacji, windować standardy. Potem poeci Nowej Fali? Weszliby z pewnością – choć inaczej – do kontrkultury roku 1968, gdyż ona „bez Jałty” w świecie by pewnie zaistniała, choć w innej trochę formie.

JACEK
ŁUKASIEWICZ
ur. w 1934 r.,
krytyk literacki,
poeta, autor m.in.
monografii
twórczości
A. Mickiewicza,
Z. Herberta,
M. Jastruna.

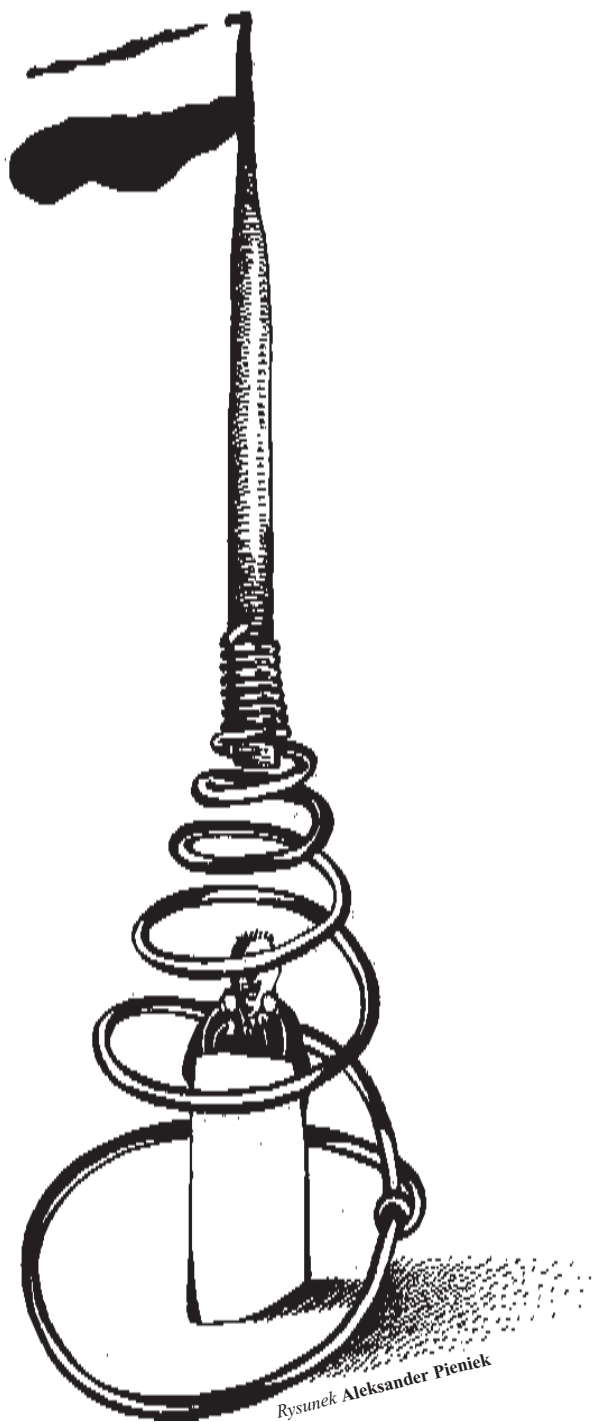
Nie wszystko jednak wyglądałoby optymistycznie. Czy bez mecenatu państwowego w latach sześćdziesiątych mielibyśmy całość powieściopisarstwa Parnickiego albo prozę Leopolda Buczkowskiego? Czy nie leżałyby gdzieś ich utwory jako zwały niewydanych maszynopisów, jeśli w ogóle by zostały napisane?

Wydaje się, że, generalnie biorąc, „bez Jałty”, bez cenzury, bez Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, bez Bermana, Kliszki i Łukaszewicza byłoby w literaturze polskiej lepiej. Oczywiście nie byłoby emigracji politycznej i literatury emigracyjnej. Spór Miłosza z Gombrowiczem toczyłby się na przykład w prasie warszawskiej. Włączyliby się do niego Kazimierz Wyka i Julian Przyboś, z młodszych Flaszyn, Kijowski, Błoński. Ale wiem, o wiele ciekawiej byłoby przypuścić tu i spróbować naszkicować spory, które mogłyby zaistnieć, toczyłby się „bez Jałty” i kierunkowały polską kulturę.

Bez Jałty nie tylko dzieje Polski i dzieje polskiej literatury byłyby inne, także dzieje świata wyglądałyby trochę inaczej. Jak – nie wiem.

Jeśli wykluczmy inne, nie uwarunkowane politycznie przypadki, jak inne uwarunkowania genetyczne, inaczej i kogo innego atakujące choroby, inna kolejność narodzin i zgonów – to w literaturze polskiej pisarze byłiby ci sami, tylko czasy odmienne. Talenty te same, tylko warunki inne. I gdybyśmy mieli pewność, że odgadliśmy trafnie wariant „bez Jałty”, przekonalibyśmy się nareszcie, o ile byt określa świadomość. Lecz – pomimo ankiety – i tym razem się nie przekonamy.

Jacek Łukasiewicz



Andrzej Werner

GDYBY MOGŁO BYŁO BYĆ

Gdybanie – w obrębie historii i historii kultury – tak często jałowe, niesie niekiedy ze sobą oczywistą korzyść. Pozwala jasno wydzielić sferę „długiego trwania”, niezależnego albo zależnego w znacznie mniejszym stopniu od

doraźnych, choćby najmocniej działających determinant czy też okoliczności politycznych. Tak gwałtowna różnica, jaka istnieje pomiędzy faktycznym doświadczeniem komunistycznego totalitaryzmu a domniemanym ominięciem tego

Aleksander Pieniek, *Prolog/Epilog, Topos*, 20:02

zbiorowego nieszczęścia i spokojnym żeglowaniem w towarzystwie krajów zachodnioeuropejskich w kierunku społeczeństwa obfitości, narzuca widzenie drastycznej odmienności kultury wyrażającej w warunkach politycznej swobody i naturalnej komunikacji z własnym dziedzictwem, w tym również dziedzictwem kultury europejskiej. A jednak nie wszystko by się zmieniło: symulacja ułatwia wyodrębnienie „mocnych” tendencji kultury, domagających się spełnienia w każdych okolicznościach, wynikających bądź to z wcześniejszych doświadczeń, bądź też z ciągłości tradycji – i narodowej, i europejskiej. Automatycznie staną się nimi tendencje zauważone w spełnionej historii, a zarazem przewidywalne w szczęśliwszym, „normalnym” porządku zdarzeń. Zestawienie tych dwóch wersji ułatwić może dostrzeżenie, co w kulturze PRL-u było następstwem stworzonych przez system komunistyczny konstelacji politycznej: braku państwowej suwerenności, polityki kulturalnej władz, cenzury, zakazów i nakazów, a co wynikało z „naturalnego” scenariusza kulturowej ciągłości, plus konfrontacja ze zdarzeniami niezależnymi od Jałtańskiego podziału Europy. Ale także założyć trzeba ewentualne korzyści kulturalne, w innych warunkach trudne do osiągnięcia.

Wojna. Tego doświadczenia żadne zmienne polityczne nie mogłyby usunąć z pierwszego planu. Z ludzkiej pamięci, z przeżycia teraźniejszości, a więc i z kultury. Jakim zmianom uległyby jednak jej obraz? Przede wszystkim istotnemu zatarciu uległyby tak charakterystyczny dla literatury, a później i filmu, nastrój klęski, beznadziei, bezowocności ofiar i wy-

siłków. Poczucie niewiarygodnego nieszczęścia, płacz po zmarłych, rozpacz na widok otaczających ruin – tak, to oczywiście by pozostało. Temu *requiem* towarzyszyłyby pytania, a nawet zacięte spory, czy wszystko było potrzebne i konieczne, czy nie można było inaczej. Ale już bez typowej konstrukcji fabularnej i symbolicznej, w której wszystko, od początku, naznaczone jest stygmatem nieuchronnej klęski. Począwszy od obrazu września 1939, z kulminacją powstańczych epepei. Jak w *Kanale* Wajdy i Stawińskiego, gdzie przed pierwszymi kadrami pojawia się przetłumaczona Dantejska inskrypcja: *Lasciate ogni speranza. W Popiele i diamencie*, w filmie, który zapewne nigdy by nie powstał, podobnie jak powieść Andrzejewskiego (bo Szczuka wracałby anonimowo, nie byłoby po co go zabijać, a miłości Maćka i Krystyny niewiele by stało na przeszkodzie), fajerwerki musiałyby rozbłysnąć już na początku i bez gorzkiej ironii, obecnej, gdy pojawiły przed finałem. Przeżyte *katharsis* żalobnego, ale jednak triumfu pozostałoby trwały ślad w zbiorowej psychice, a przez to i w kulturze.

Wojna, okupacja i towarzyszące jej przeżycia zostawiły już wcześniej, przed datą rozpatrywanej zmiany, swój ważny ślad w kulturze, wliczyć w to trzeba także twórczość powstałą nieco później, ale poza granicami kraju, a więc niezależnie od projektowanej przez naszą fantazję zmiany. Ten ostatni przypadek to przede wszystkim trzon opowiadań obozowych Tadeusza Borowskiego (*U nas w Auschwitzu, Dzień na Harmenrach i Proszę państwa do gazu*), które wyznaczają najważniejszy i zarazem najbardziej uniwersalny wzorzec rozliczeń

ze złem najnowszej historii. Dla nas ważniejszy jest inny wątek bardzo silnie obecny w wierszach monachijskich Borowskiego i nieco późniejszej *Bitwie pod Grunwaldem* – jak można oczekiwać znalazłby on bardziej powszechny wyraz i w kraju, w zmienionej sytuacji politycznej. To rozczarowanie do „wszechświatowej demokracji”, a przede wszystkim gwałtowna niechęć do patriotycznych obrzędów odprawianych na pogorzelsku przez wysuwającą się na pierwszy plan przedwojenną kadrę oficerską i przedstawicieli emigracyjnej hierarchii. „Onanizują się Ojczyznę”: należy przypuszczać, że w wolnym kraju zniecierpliwienie wskrzeszaniem przedwojennych capstrzyków, od najprostszych spektakli po bardziej wyrafinowane – choćby w literaturze – byłoby znacznie silniejsze. Nie tylko dlatego, że stałyby się dręcząco obecne – kryją się za nimi poważniejsze wątki, z oczywistych względów hamowane, jako że sprzyjające polityce nowych władz i zarubieżnych mocodawców.

W miększej, ale, jak należy przypuszczać, bynajmniej nie łagodnej formie, byłby to konflikt pomiędzy „tubylcami” a „przybyszami”. To właściwie mylące określenia – miejsce przeżycia wojny i okupacji miało znaczenie, ale niekoniecznie decydujące. Tubylcami byli ci, którzy przeżyli wojnę i okupację na terenie najbardziej zagrożonym, ludzie z lasu, powstańcy, ale także powracający z obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej w Niemczech. Przybyszami – może przede wszystkim przybyszami z czasu przeszłego – ludzie, którym udało się zakonserwować mentalność w postaci niezmienionej, zapewne

nieco zmodyfikowanej, ale w swojej rytualnej, deklaratywnej polskości często-kroć wzmocnionej historycznymi okolicznościami. Naturalnym, ale i potwierdzonym przez doświadczenie, rezerwuarem takich postaw były środowiska emigracyjne. Gombrowicz pisząc *Trans-Atlantyk* czerpał przede wszystkim z przedwojnia, ale ten wzór polskości, zakorzeniony we wcześniejszej historii, przeżył wojnę i gdyby został napisany w Warszawie 1947 miałby swój adres co najmniej równie wyraźny. W drugiej części *Eroiki (Ostinato lugubre)* Andrzeja Munka konflikt ten przebiega według podziału między przedwojenną kadrą oficerską a „cywilami”, czyli rezerwistami. Ale „cywilami” stają się także powstańcy przybyli właśnie do oflagu („zweryfikujemy te awanse” – stwierdza jeden z przedstawicieli zakonserwowanej przez niewolę, a obecnie zagrożonej hierarchii).

Z drugiej jednak strony również cywilne i tubylcze postawy, niechętnie wobec rytualnych manifestacji retorycznego patriotyzmu, były i tym bardziej byłyby jaskrawo widoczne w powojennym pejzażu polskiej kultury. Obok Borowskiego wiele wczesnych świadectw wskazuje jak żywe były to tendencje: choćby wojenne eseje Miłosza, zwłaszcza uzupełnione korespondencją z *Zaraz po wojnie* czy też *Polska jesień* i opowiadania z tomu *Buty* Jana Józefa Szczepańskiego.

Spór o postawy Polaków w historii, o heroizm (bohaterszczyznę) czy realizm (konformizm), wyraźny już w pierwszych latach powojennych, przerwany przez socrealizm i będący bodaj głównym tenorem kultury popaź-

dziennikowej, szczególnie jaskrawo widoczny w kinie, pojawiłby się więc i w nowej konstelacji politycznej, i choć nie byłby wspomagany poczuciem klęski, a i pojęcie realizmu miałyby mniej aktualne znaczenie, należy przypuszczać, że przebiegałby w sposób ożywiony. Oczywiście, wcześniej skończyłby swoją rolę tematu (problemu) dnia. Natomiast rolę tę grałby dłużej i w sposób o wiele bardziej otwarty problem spokrewniony, może nawet wariant wymienionych poprzednio: rozliczenie z Polską przedwrześniową. Było ono obecne i w historii faktycznej, ale w wielu przypadkach stłumione świadomością, iż współbrzmia z kierunkiem oficjalnej propagandy. A przede wszystkim miałyby konkretne ostrze, nie tylko światopoglądowe, ale i polityczne. Uderzałoby w siły istniejące i zapewne odgrywające na scenie publicznej ważną rolę. Często pojawiające się w powojennej literaturze stwierdzenia, iż oto z końcem wojny kończy się pewna epoka: malowanych ułanów, poszlacheckich dworów i zamieszkującej te dworki kulturalnej i społecznej elity, nie były jedynie sprzyjaniem politycznej koniunkturze. Byłyby prawdziwe i bez komunistów, choć oczywiście dworki przetrwałyby znacznie dłużej, tracąc jednak, obwieszane telewizyjnymi antenami, wiele ze swego uroku, a także i znaczenia.

To rozliczenie przeszłości częściowo własnej, częściowo własnych rodziców mogło, ale nie musiało, wiązać się z wnioskami natury politycznej. W sumie z pewnością zawęzłałoby się z wyraźnym przesunięciem nastrojów społecznych w kierunku lewicy. Lewicy, ale w jakim stopniu lewicy komunistycz-

nej? Czy społeczna edukacja na temat Związku Radzieckiego, odbyta, jeśli nie wcześniej, to we wrześniu 1939 i w latach następujących aż do czerwca 1941 na terenach okupowanych przez wschodniego sąsiada i potem od lata 1944 aż do końca wojny, stanowiłaby wystarczającą szczepionkę? Nie podejmuję się bawić w prognozy społeczne, choć jest to ciekawe pytanie. A pisarze, intelektualiści? Czy ulegliby podobnemu zauroczeniu pogromcą faszyzmu, jak ich koledzy z zachodniej Europy? I jak oni sami, nieco później w faktycznym przebiegu historii; entuzjazm ogranicza rolę przymusu. Wąż kusiciel miałby mniej argumentów: ukąszona po heglowsku ofiara inaczej mogłaby widzieć dziejową konieczność. Nie należy jednak wykluczać innych argumentów. Mieliby ich sporo najczęściej doświadczeni i najbardziej rozczarowani światem, który nie potrafił przeciwstawić się w porę faszyzmowi czy nawet sam z siebie zrodził to monstrum. Ta właśnie logika nadal by pchała na przykład Borowskiego ku komunizmowi, mimo całej jego wiedzy o totalitaryzmie, również i tym czerwonym.

A niełatwo byłoby zapewne być komunistą. Pod tym względem demokracja musiałaby się sama ograniczyć, może jeszcze bardziej zdecydowanie niż przed wojną. Nie byłby to kraj spokojny. Rojeniami okazały się w porządku historycznym rachuby na „trzecią wojnę”. Kto wie, czy nie byłaby ona bardziej realna w porządku hipotetycznym? I to właśnie ze względu na Polskę.

Wróćmy do literatury. Czy powrót do kraju emigrantów zmieniłby gruntownie pejzaż życia literackiego? Z pewnością by je wzbogacił. Ale czy tchnąłby

w to życie nowe idee i formy? I czy ten powrót zmieniłby ich twórczość. Gombrowicz miałby wyraźniejszych, bardziej namacalnych przeciwników – i sprawiałoby mu to wiele satysfakcji. A czy stałby się kimś innym? W prawdziwej historii były to czasy gwałtownych przemian, nawróceń, wolt ideowych. Stąd jak herezja zabrzmiałoby twierdzenie, że jest coś niezmiennego w naturze pisarskiej, coś co sprzyja ciągłości, kontynuacji – w tę drogę również mogą być wpisane zwroty.

Może nie wszyscy wróciliby z emigracji? Andrzej Bobkowski przypuszczałnie i tak by majstrował swoje samolociki w Gwatemali, on przecież zwątpił w Europę, a nie tylko w zniewoloną Polskę. Chyba że zatrzymując Polskę po swojej stronie Europa zrehabilitowała się w jego oczach.

Pytania personalne, czy w kraju czy za granicą, należą oczywiście do najtrudniejszych, najmniej przewidywalnych. Może poza Przybosiem; on z pewnością w niczym by się nie zmienił. A bardziej ogólnie? Sny awangardowe zostałyby dośnione do końca, głęboki, nieprzerywany sen trwałby zapewne krócej. Krócej w ogóle trwałby literacki sen o potędze. Polska literatura niczego już nie musiałaby zastępować, coraz mniej zostałaby do strzeżenia, legitymację dawałyby władzy wybory, a popularność – media. Byłaby tak jak dzisiaj, tylko o wiele wcześniej, bardzo szlachetnym hobby o całkiem sporym, ale też tracącym na znaczeniu kręgu wyznawców. W tym kręgu byłaby zajęciem traktowanym poważnie, choć już może nie tak poważnie jak kiedyś, że świadomością, że czas się kurczy, że kto inny zago-

spodaruje przestrzeń, nazywaną niegdyś przestrzenią duchową.

A co działałoby się w polskim kinie? Od strony tematycznej i problemowej dzieliłoby ono zainteresowania z literaturą, gdyby... Otóż właśnie: gdyby istniało ono w takim wymiarze, jak w realnym czasie historycznym. Niestety, takie założenie trzeba uznać za całkiem fantastyczne. Startując po wojnie na terenie, gdzie stało się „najważniejszą ze sztuk”, podlegało bolesnym ograniczeniom, ale i uzyskało niezwykle możliwości ekonomiczne. Zwłaszcza, że i pieniądź przestał się wkrótce liczyć.

Nie, to nie znaczy, że byłoby jak przed wojną: mała prowincjonalna kinematografia, sprzedająca lokalnej publiczności niskiej próby rozrywkę i popularnych aktorów. Tak się zaczynało po wojnie i tak zapewne byłoby przez kilka lat. Ale już przed wojną rósł w środowisku filmowym opór przeciwko skazującej się na komercyjną miałkość rodzimej kinematografii. Ci, którzy w jej zatęchłą swojskość chcieli wpuścić trochę świeżego powietrza, po wojnie, już z partyjnego upoważnienia, nacjonalizowali kinematografię, a wkrótce stawali się strażnikami jej ideowej czystości. W zmienionym pejzażu politycznym też byliby wśród reformatorów. Może to Aleksander Ford zrealizowałby *Robinsona warszawskiego* według scenariusza Czesława Miłosza i Jerzego Andrzejewskiego i ten film, film, który nigdy nie powstał, byłby pierwszym naprawdę ważnym polskim filmem. Niemiłosiernie okaleczony cenzorskimi zaleceniami (nie tylko cięcia, ale i dokrętki) *Dom na pustkowiu* Rybkowskiego według oryginalnego scenariusza Iwaszkiewicza był-

GDYBY MOGŁO BYĆ BYĆ

by w innych okolicznościach (jeśli znalazłyby się pieniądze na jego produkcję) początkiem fali polskich filmów neorealistycznych. Jeśli znalazłyby się pieniądze – to zastrzeżenie będzie się powtarzać. Trzeba założyć, że przynajmniej przez dość długi czas po wojnie z funduszami na ambitne kino artystyczne byłoby kłopoty. Kwitnąłby natomiast filmowy przemysł rozrywkowy: sukcesy takich filmów jak *Zakazane piosenki* i *Skarb* pokazywały, jak silny był po wojnie głód rozrywki.

W każdym razie wszystko wskazuje na to – i jest to smutne stwierdzenie – że tak ważnych dla całości kultury narodowej zjawisk, jak polska szkoła filmowa –

w szczęśliwszych czasach by nie było i z tego powodu, nie byłyby tak szczęśliwe, jak mogłyby być. I nie wszyscy z plejady świetnych reżyserów stanęliby rzeczywiście za kamerą, może Wajda i Haszalski, a Stanisław Różewicz śladem starszego brata chwyciłby za pióro, podobnie Munk i Kutz? Tylko Kawalerowicz, urodzony jako „zwierzę filmowe”, nie miałby tak wielkiego wyboru.

Chciałbym jeszcze trochę podywagać. Ale tryb warunkowy powykrzywiał mi nie tylko język, pióro i klawiaturę komputera, ale także górne i dolne kończyny. Poddaję się.

Andrzej Werner

ANDRZEJ WERNER ur. w 1940 r., krytyk literacki i filmowy, eseista, autor między innymi tomu szkiców *Krew i atrament* (1997).

Aleksander Pieniek, *Prolog/Epilog, Topos*, 20:02



Bronisław Łagowski

ZYSKI I STRATY

I Piętnaście lat temu na pytanie: co by było bez Jałty?, odpowiedziałbym z większą śmiałością. Od czterestu lat Jałta już „nie działa”, nasuwa się więc odpowiedź, że to, co mamy w kulturze i polityce, mielibyśmy znacznie wcześniej. Fakty podcięły skrzydła fantazji. Z pewnością nie byłoby paryskiej „Kultury”. Jerzy Giedroyc najprawdopodobniej byłby szefem wpływowego dziennika w Warszawie, uczestniczyłby jako minister lub premier w rządach koalicyjnych, może byłby marszałkiem Senatu. Gombrowicz prawdopodobnie pisałby eseje zamiast dziennika, miałby w Warszawie więcej czasu, więcej sił mógłby poświęcić pisarstwu. Żadna istotna zmiana w jego filozofii i sztuce pisarskiej by nie nastąpiła. O innych wybitnych indywidualnościach również można twierdzić, że bez Jałty byłyby tym, czym były z Jałtą. Czesława Miłosza w kraju sobie nie wyobrażam. Nie mając habilitacji, profesorem w Polsce nie mógłby zostać, a trudno sobie wielkiego

pisarza wyobrazić piszącego książkę na stopień. Czekala go kariera dyplomatyczna, ambasadorska. *Zniewolony umysł* mówiłby o pisarzach paryskich, może także włoskich, lecz nie polskich. Bez *Zdobycia władzy* i innych utworów okolicznościowych byłby dla literatury polskiej tym, czym jest. Na Jałcie najwięcej stracił Antoni Słonimski – w warunkach swobody mógłby kontynuować *Kroniki tygodniowe* i zachować pozycję, jaką miał przed wojną. Miałby też tego samego przeciwnika. Filozofia była surowiej kontrolowana przez państwo niż literatura, mimo to Leszek Kołakowski tak samo błyszczał w Polsce jałtańskiej, jak błyszczał w całkiem wolnej (o czym miewamy okazje się przekonać). Nie widzę podstaw do przypuszczeń, że jego zasadnicza orientacja filozoficzna mogła się zmienić, gdyby „Jałty” nie było. Zamiast *Głównych nurtów marksizmu* – wyobrażam sobie – napisałby równie obszerne, równie erudycyjne i błyskotliwe dzieło o antagonizmie (lub próbie pogodzenia) wiary i ro-

zumu w XVII wieku, o triumfie rozumu w wieku następnym i autodestrukcji Oświecenia. Zresztą krytyczna historia marksizmu także bez Jałty byłaby potrzebna. Marksizmu nie wykładano by na uniwersytetach przymusowo, co nie znaczy, że jego wpływ na umysły byłby mniejszy. Przeciwnie, byłby głębszy, ponieważ miałby odniesienie do rzeczywistości – panowałby przecież kapitalizm. Inteligencja przyjmowałaby marksizm przez naśladownictwo i snobowanie się na zachodnioeuropejskie środowiska intelektualne i uniwersytety. Wskutek zmasowanej indoktrynacji marksizm został w Polsce totalnie odrzucony, co by nie nastąpiło w warunkach wolności myśli.

Czego bym najbardziej żałował z tego, co by nie zaistniało bez „Jałty”? Stu czy stu pięćdziesięciu tomów Biblioteki Klasyków Filozofii. Irena Krońska, która ją redagowała, wydaje mi się, podobnie jak jej mąż Tadeusz, była kandydatką na emigrantkę z Polski „beżjałtańskiej”. Kampanii antysemickiej w roku 1968 z pewnością by nie było. Dlaczego? Ponieważ w Polsce zaraz po wojnie antysemityzm był plagą o nasileniu i powszechności, z których mało kto dziś zdaje sobie sprawę. Tylko władza komunistyczna była w stanie dać Żydom skuteczną ochronę. Bez niej emigrowaliby masowo z obawy o życie. Albo z odrazy do stosunków jakie by tu zapanowały. Lechoń i Wierzyński wróciliby do kraju, Tuwim prawdopodobnie by wyemigrował lub długo nie wracał.

2 Zależności między czynnikami politycznymi – władzą, ustrojem – a kulturą duchową są bardziej złożone

i w większym stopniu wzajemnie uzależniające, niż może sądzimy. Cenzura urzędowa nie ma na kulturę wpływu decydującego. Nie istnieje cenzura obejmująca cały świat. Kto chce napisać coś zabronionego i jest odpowiednio przezorny, uda się do kraju, gdzie będzie to dozwolone. Czego dowodzi porównanie z obecną, niecenzurowaną? Która z książek wyróżnionych nagrodą Nike nie mogłaby się ukazać w PRL?

Wybitni twórcy podlegają swego rodzaju wewnętrznemu determinizmowi, który daje im niezależność od zewnętrznych nacisków i miejsc zamieszkania. Pisarzy mniejszego formatu kształtuje sytuacja zewnętrzna, ale oni nie tworzą kultury, lecz korzystają z niej. I świadczą jej usługę popularyzacji. Tytuł książki *Kultura po Jalcie* uderza dziwnością, zestawieniem rzeczy nie mających ze sobą związku.

3 Czego by jeszcze nie było bez „Jałty”? Z okna widzę fragment Nowej Huty. Nie byłoby Nowej Huty. Nie pojawiłoby się więc na świecie większość urodzonych tam ludzi, ponieważ pary małżeńskie inaczej by się pokojarzyły. Nie zaistnieliby też ludzie urodzeni w Szczecinie, Kołobrzegu czy Wrocławiu, ponieważ bez „Jałty” losy ich przodków byłyby inne. Pomorze Zachodnie i Dolny Śląsk nie zostałyby przyłączone do Polski. Naród polski składałby się w dużej części z innych jednostek, niż się składa. Mam propozycję dla instytutu badania opinii społecznej: zapytać ludzi, którzy bez „Jałty” nie zostaliby poczęci, co by wybrali: własne istnienie czy pomyślniejszy los swojej ojczyzny?

Bronisław Łagowski

BRONISŁAW
ŁAGOWSKI
filozof, historyk
filozofii, ostatnio
wydał książkę
Łagodny protest
obywatelski.

Andrzej Zawada

WYOBRAŻAM SOBIE...



Jerzy Bereś, *Wózek*, 1968-69, drewno, kamień, sznurek, farba emulsyjna, 72 x 315 x 64 cm *Fotografia Jacek Stokłosa*

Wyobrażam sobie, że w pierwszym powojennym dziesięcioleciu przede wszystkim nie byłoby socrealizmu. Jednak jakaś odmiana literatury agitacyjnej, czy przynajmniej dydaktycznej, musiałyby się pojawić. Odbudowa zrujnowanego kraju, kreacja nowego państwa, zgodnego z powojennymi normami europejskiej demokracji – bo

jednak nie byłby możliwy dalszy ciąg sanacji – a także nadzieja i naturalny entuzjazm, jakie rodzą się, kiedy po wojnie następuje pokój, musiałyby znaleźć swój wyraz w piśmiennictwie. Jednak podobna służebność literatury miałyby w ówczesnych warunkach charakter obywatelski, a to uratowałyby nas przed neurozą, polegającą na obawie, że poli-

tyka zechce brzydko manipulować literaturą.

Nie byłoby – oczywiście – literatury emigracyjnej. Jerzy Giedroyc wróciłby do kraju. Nie zostałby redaktorem „Kultury”, ale na przykład premierem, a – co jeszcze bardziej prawdopodobne – prezydentem. Iwaszkiewicz z ulgą napisałby wtedy *List do Prezydenta Giedroycia*.

Mieczysław Grydzewski nie musiałby samotnie przesiadywać w czytelnym British Museum, bo w Warszawie miałby swoją Ziemiańską, a przede wszystkim redakcję „Wiadomości Literackich”, w których ukazałyby się wiersze zwracającego uwagę własnym stylem i zduszoną ekspresją młodego poety z Radomska, studiującego w Krakowie historię sztuki. Julian Przyboś, który szukałby wydawcy dla swojego pierwszego powojennego tomiku *Póki my żyjemy*, zwróciłby się o protekcję do Władysława Broniewskiego, który od dawna miał dobre układy z „Wiadomościami Literackimi”, z sanacją i komunistami. Broniewski przywiózł z Jerozolimy znakomity tom poetycki *Drzewo rozpaczające* i miał może ochotę napisać jakiś paszkwilancki poemat o Stalinie. Rozmyślił się jednak i napisał państwotwórczy poemat *Mazowsze*.

Z polskiego Wilna przyjechałby do Warszawy młody, zadziorny literat Tadeusz Konwicki. Miał spory talent i nie małe ambicje, ale w stolicy przez lata dokuczał mu brak perspektywy z monumentalnym „pałacem kultury”, jaki widywał na pocztówkach z Moskwy. Konwicki uważał, że Polska zbyt gorliwie stara się być łacińska, podczas gdy ma całkiem wschodniosłowiańską naturę. Nosił się z pomysłem, aby napisać o tym

parę powieści. Miał już nawet tytuły: *Kompleks polski*, *Mala apokalipsa...* Ostatecznie jednak tych powieści nie napisał. Rzeczywistość nie dawała mu materiału, a Konwicki to jednak z natury realista i nie chciał fantazjować w duchu Orwella. Ostatecznie napisał rzecz podobną i dał jej tytuł *Sennik współczesny*. Opisał w tej powieści przerażający sen, w którym Rosja zabrała Wileńszczyznę, a Polacy, wypędzeni, społecznie zdegradowani, nie umieją pogodzić się z narodowym i ludzkim nieszczęściem.

Do Warszawy wróciłby także Czesław Miłosz, który mieszkał tam do 1944 roku. Wkrótce jednak zaczął karierę dyplomaty i napisał *Rodzinną Europę*, żeby przedstawić nasze historyczne prawa do uczestnictwa w przyszłej wspólnocie europejskiej. Jako człowiek, który zdołał uciec spod sowieckiej okupacji, chciał opisać mechanizmy totalitaryzmu w książce *Zniewolony umysł*, przestrzec Zachód, który nie doceniał niebezpieczeństwa. Ale książka ta ostatecznie nie powstała, poeta uznał, że jego znajomość realiów sowieckich i mechanizmów politycznego konformizmu jest niewystarczająca. Przekraczając z narażeniem życia granicę między strefą okupowaną przez ZSRR a strefą okupowaną przez III Rzeszę, pomyślał, że napisze kiedyś nostalgiczne wiersze, które umieści pod wspólnym tytułem *Miasto bez imienia*. Jednak Rosjanie wycofali się z Wilna i oddali je Litwie, a ta zniosła wizy dla Polaków i pozwoliła im przyjeżdżać, kiedy tylko zechcą. Utrata „małej ojczyzny” okazała się połowiczna, co nie satysfakcjonuje uczciwej literatury.

Zaraz po wojnie wróciłby z Argentyny Witold Gombrowicz. Jego *Ferdydurke*

cieszyła się przecież w kraju stałą poczytnością. Późniejsze powieści, na przykład *Kosmos*, jej nie dorównały. Świetny pomysł na powieść *Trans-Atlantyk* nie został ostatecznie zrealizowany – z perspektywy Warszawy polska enklawa w Ameryce Południowej nie wydawała się wystarczająco interesująca, a zresztą szybko się rozpadła, bo jednak III Rzeczpospolita zachęcała wojennych rozbitków do powrotu i stwarzała im w ojczyźnie jeszcze lepsze warunki bałamucenia się w sarmackim stylu.

Autorem bardziej znanym niż przed wojną stał się Jerzy Andrzejewski. Rozgłos przyniosła mu powieść *Ciemności kryją ziemię*, która była alegorią dyktatury nacjonalistycznego nurtu w polskim katolicyzmie. Andrzejewski chciał napisać wielką współczesną realistyczną panoramę *Miazga*. Jednak książka nie powstała. Plotkowano, iż pisarz bał się, że opisując związki polityków z mafią, może stracić życie. Ostatecznie *Miazga* została środowiskową legendą.

Tak mogło być. Albo inaczej. Inaczej też musiałyby ukształtować się wątek Kresów. Jakkolwiek przebiegałyby nasze granice wschodnie, temat ten musiałby przybrać kształt bardziej realistyczny, niż stało się to naprawdę. Współczesność pogranicza polsko-ukraińskiego, polsko-białoruskiego i polsko-litewskiego przeskadzałaby w mitologizacji.

Inaczej, prawdziwiej musiałby się też wyrazić w literaturze stosunek do wojennej i powojennej Rosji. Książki Czapskiego, Herlinga-Grudzińskiego, Swianiewicza, i inne świadectwa ukazałyby się przecież w kraju.

Možna przypuszczać, iż nie powstałaby literatura „kresów zachodnich”,

nie byłoby opowiadań Henryka Worcella, prozy Stefana Chwina... Może nawet nie byłoby „gdańskiej” prozy Güntera Grassa?

A dramat? Jakie – na przykład – byłoby *Tango* Sławomira Mrożka? A poezja Zbigniewa Herberta, czy byłaby inna? Czy Pan Cogito rozmyślałby o duchowym kanibalizmie supermarketów?

W powojennym dorobku literackim jest spora grupa dzieł wartościowych, w których udało się doświadczenia lokalne przekształcić w uniwersalne metafory tak, że polityczne uwarunkowania straciły swoją moc, albo stały się niespecyficznym składnikiem ogólniejszych prawidłowości. Sądzę, że tak się stało na przykład w poezji Tadeusza Różewicza i nie potrafię sobie wyobrazić, by mogła ona być inna. Podobnie myślę o dramatach poety – *Do piachu*, *Białe małżeństwo* czy *Stara kobieta wysiaduje* chyba byłyby takie same w odmiennej rzeczywistości powojennej.

Sądzę też, że – poza socrealistycznym epizodem – nie inaczej niż to się stało, ukształtowałyby się poezja Wisławy Szymborskiej. A także poezja Mirona Białoszewskiego, wykrawająca swą autonomię z rzeczywistości żarłocznej w daleko szerszym niż polityczny sensie. Możliwe, że inaczej zaczęłaby się poezja Nowej Fali, choć fundament jej buntu był w istocie skierowany przeciw drobno-mieszcząnskiemu uwiądowi wyobraźni, tyle że polityczny wymiar tej ciasnoty był najdokuczliwszy. Byłbym też skłonny pomyśleć, że proza Stanisława Lema podążałaby dotychczasową drogą, choć możliwe, że cenzuralne skrępowanie było dla pisarza dodatkową motywacją. Zapewne niewiele by się zmienił, albo wcale, *Pierw-*

WYOBRAŻAM SOBIE...

szy krok w chmurach Marka Hłaski, ponieważ margines życiowych niepowodzeń w Polsce jest zawsze zbyt szeroki.

Na koniec tych fantazji, które można byłoby snuć długo i coraz bardziej szczegółowo, wyobraźmy sobie los literackich konformistów. Co stałoby się z nimi? O czym pisałby choćby Jerzy Putrament? Czy byłby drugą Wandą Wasilewską, pochyłającą się nad krzywdą małorolnych, wobec których cyniczna Unia Europejska stosuje szczególnie brutalne prawo pierwszej nocy, bowiem

ani nie chce ich konsumować, ani im płacić? Czy może byłby bardem populistycznej prawicy, sławiącym gabinetowe gry partii narodowych w formie, bolszewickich w treści?

Bez Jałty powojenna Polska byłaby innym krajem, niż była. I niż jest obecnie. A literatura, zawsze podążająca za rzeczywistością, także wtedy, kiedy ją wyprzedza, wiernie towarzyszyłaby owej innej, nieznannej nam, niebyłej, długo i bezpowrotnie upragnionej Polsce.

Andrzej Zawada

ANDRZEJ ZAWADA ur. w 1948 r., historyk literatury, krytyk, eseista, zajmuje się głównie literaturą polską XX wieku.

Jerzy Bereś, *Paradoks*, 1991, drewno, płótno, kamienie

Fotografia Marek Gardulski



Jerzy Jarzębski

BEZ SIELANKI



Jerzy Bereś, *Zwidy, wyrocznie*, 1964-1967

Fotografia Wojciech Plewiński

Sielanki tu nie widzę. Zaraz po wojnie powracają do Polski politycy i twórcy kultury, których wojenne wydarzenia zagnały za granicę. I tu mamy zarzewie pierwszego zasadniczego konfliktu: pomiędzy „krajowcami” i „emigrantami”, któ-

rzy w żaden sposób nie potrafią uzgodnić swych wojennych doświadczeń i wywiedzionych z nich poglądów na świat. Jedni i drudzy przyniosą z sobą swoje własne wersje potępieńczych swarów, jedni i drudzy aspirują zarazem do przywództwa

i „rządu dusz”: przybysze na mocy ciągłości władzy, miejscowi – na mocy uczestnictwa w okupacyjnym dramacie narodu. Cierpienia łągrowe – w wydaniu hitlerowskim i stalinowskim – kombatanctwo spod znaku partyzantki lub armii Andersa sytuują się wobec siebie jako swoiście konkurencyjne wersje bohaterstwa czy martyrologii, uzasadniające duchowe czy etyczne tytuły do władzy, stają się tedy już nie tylko zapisem doświadczenia, ale i polityczną monetą.

Towarzyszą temu silne konflikty na linii prawica – lewica. Prawica, potężna już przed wojną, prze do władzy, ale też dąży do ustanowienia zreformowanej hierarchii literackich wartości – z zamordowanymi poetami „Sztuki i Narodu” jako nowymi idolami i męczennikami, legitymizującymi zarazem aspiracje prawicy do zajęcia nareszcie eksponowanych miejsc w literackim Panteonie. Rozpoczyna się niezbyt sympatyczne wygrywanie Trzebińskiego czy Gajcego przeciw Baczyńskiemu, który znów służy za sztandar ugrupowaniom utożsamiającym się bardziej z tradycjami lewicy. Antysemityzm wypędza z Polski resztkę Żydów. Polaryzacja dotyczy także środowisk katolickich: grupa wydająca krakowski „Tygodnik Powszechny” zostaje przez skrajną prawicę obwołana „bandą zdrajców Kościoła i narodowej sprawy”. „Rozrachunki inteligentkie” pisze się nieco inaczej – z przeciwstawnych sobie politycznych pozycji: prawicowych lub lewicowych, obydwu bowiem ugrupowaniom liberalna inteligencja okresu międzywojennego jawi się mięczakowata i ideowo niewyraźna. Najsilniej odczuwają to odnajdujący się

po wojennej epopei Skamandryci. Oni to stają się dla obu stron wygodnym negatywnym punktem odniesienia, symbolami „minionej epoki”, która spotyka się z dość powszechnym potępieniem – podobnym nieco do nastrojów antysanacyjnych, jakie zapanowały na emigracji w początkach wojny.

Czy wymknięcie się Jałcie oznacza więc brak politycznych ugrupowań utożsamiających się z sowieckim komunizmem? Ależ skąd! Lewica polska przechodzi podobną chorobę fascynacji stalinizmem, jak lewica zachodnioeuropejska, tyle że z nieco odmienną, bardziej cyniczną motywacją, jako że „poputczycy” przeszli już wcześniej na Wschodzie szkołę łamania charakterów i powszechnego donosicielstwa. „Finlandyzacja” Polski nie oznacza zniknięcia stalinowskiej potęgi (w Finlandii zresztą ugrupowania prosowieckie były w pierwszej połowie wieku bardzo silne). Są nawet w Polsce autorzy, którzy ćwiczą pióra w swoistej, mniej ortodoksyjnej wersji socrealizmu, kwitnie agencja i próby pozyskiwania pisarzy w drodze różnych stypendiów twórczych czy gratyfikacji ze Wschodu. Na ten lep idą najłatwiej ci, którzy raz już dali się uwieść po wkroczeniu armii sowieckiej do Polski w 1939 roku.

W tej napiętej politycznej sytuacji, w której żąda się od twórców ideowego samookreślenia pojawia się w Polsce po trosze zapomniany pisarz z Argentyny: Witold Gombrowicz. Na początku lat pięćdziesiątych wydaje w małym prywatnym wydawnictwie, które woli nie zamieszczać w książce adresu swej siedziby, powieść *Trans-Atlantyk*. Budzi ona powszechne oburzenie w środowiskach

Jerzy Beres, *Zwid dzwon*, 1963, drewno, kamień, juta, sznurek, 270 cm



Fotografia Wojciech Plewiński

zorientowanych politycznie i gromki śmiech wśród części najmłodszego pokolenia, które ma już dość deklaracji ideologicznych i manifestacji w rytmie wojskowych marszów. W tej grupie prześmiewców Kazimierz Wyka i Czesław Miłosz, który w tamtych latach staje się namiętym eseistą i publicystą, upatrują nadzieję na oczyszczenie atmosfery z ideologicznych trucizn. Co rzeczywiście w pewnej mierze następuje – dziwnym trafem w tym samym

mniej więcej czasie, co w innej, lepiej nam znanej rzeczywistości „polski paździenik”. Bo generacja prześmiewców i buntowników musiała przyjść po generacji czcicieli ideologii niezależnie od politycznych wydarzeń w bloku wschodnim. W takiej niejako biologicznej przemienności pokoleń cała zresztą nadzieja na zachowanie higieny i jasności umysłu, a także – ożywczych dla ducha wartości literatury.

Jerzy Jarzębski

JERZY
JARZĘBSKI
historyk literatury
i krytyk. Ostatnio
wydał studia
*Podglądanie
Gombrowicza*,
(WL, 2000).

Fotografia Giovanni Strada



Inga Iwasiów

ODBIORCA ZAMIAST ŚWIADECTWA

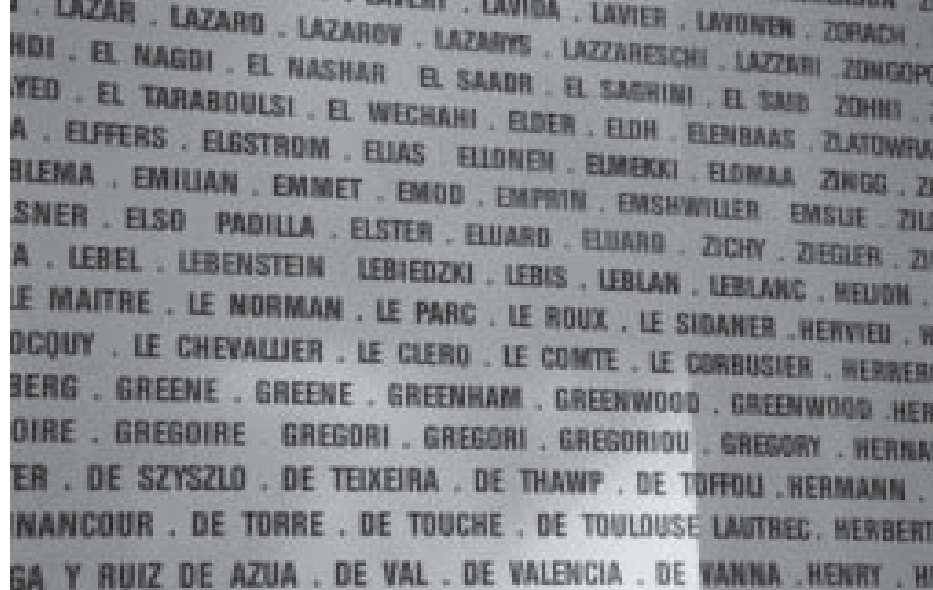
Bez samej Jałty? Czyli że wojna by była? To ważne, przecież od tego zależy, czy mielibyśmy traumę po bogatym w nowe poetyki Dwudziestoleciu, po jego katastrofizmach i błżeństwach (dziś to byłoby już jakieś siedemdziesięciolecie i nie wiadomo, czy międzywojenne...). I kto by żył, a kto by zginął? Założmy jednak, że była wojna, jedni zamilkli na zawsze i może tym bardziej ich cenimy, gdyż nie zdążyli się na naszych oczach artystycznie wypalić; inni przeżyli ideowe, tematyczne i stylistyczne konwersje, wspomóżone osobistym losem.

Dla przykładu: Adolf Rudnicki (czytałam ostatnio nową monografię Anny Wal jemu poświęconą; wobec zmian w historii byłaby to zupełnie inna monografia) jak pisarze z jego formacji (czyli ci, którzy też zupełnie inaczej by się rozwinęli) napisaliby jeszcze *Myszy* i *Koty* – dopełniając do trylogii wczesne *Szczury* – a nie zostałby tragicznym konsekwentem Holocaustu. To on przecież był jednym z pierwszych, którzy opisali Zagładę, lecz właściwie nigdy nie wrócił do świetnie zapowiadającego się nurtu psychologicznego z debiutanckich tekstów. Być może nie mógł, prócz traumy wojennej przydarzyła mu się trauma manipulacji, której obiektem został już wówczas, gdy Bierut wygłosił przemó-

wienie na otwarciu rozgłośni RP we Wrocławiu. Wielu historia wzięła w rękę, zgmiotła i wypuściła.

Bo, przypomnę za książką Jerzego Smulskiego *Od Szczecina do... Października. Studia o literaturze polskiej lat pięćdziesiątych* (Toruń 2002), już wówczas, przed Zjazdem Szczecińskim, wojna wydawała się Nowym Manipulatorom tematem zbyt przygnębiającym, nie odpowiadającym zapotrzebowaniu na optymizm, należący się Dzielnemu Narodowi (czystemu etnicznie i światopoglądowo, tu akurat tradycja Międzywojnia była żywa). Przygnębiającym i nafaszerowanym minami. Tak więc wojna musiała zostać od razu ocenzurowana, a rozważania o naturze ludzkiej wobec Zagłady i o życiu po niej zostały tak dziwnie sprofilowane, że nie wszędzie wyprostowały się nawet dzisiaj. Dlatego mieliśmy quasi-egzystencjalizm i pół-transgresje; filozofię-malego-spotkania (przy małej czarnej, w wywrotowych kolorowych skarpetkach) i lustrację ofiar. Po stronie „ma” wymieniam też socrealizm, bo bawi mnie do dzisiaj i bardzo żałuję, że powieści z tamtych czasów wymiotło z bibliotek.

Mamy także w historii najnowszej podział dwójkowy, zastępujący międzywojenną wielość stylów, poetyk i po-



Fragment pełnej listy artystów-uczestników weneckiego Biennale, umieszczonej przez **Christiana Boltańskiego** na froncie pawilonu włoskiego z okazji 100. rocznicy istnienia tego prestiżowego przeglądu sztuki światowej, XLVI Biennale Sztuki w Wenecji, Giardini di Castello, 1995 *Fotografia Grażyna Borowik*

staw. To dzielenie przez dwa znaczyło, oczywiście, prawie od razu, nową falę emigracji i jej etos. Potem, też prawie zaraz, przekonanie, że każda bibuła jest lepsza od reżimowego wielkiego nakładu. W systemie dwójkowym mieszczą się również: konspiracja i patos; romantyzm i wartości; łagrowość i łagrowość (kto choć raz pytał kandydatów na studia, wie jak to brzmi w niewinnych ustach). Etyczne wysokie loty, zacierające wiele aspektów doświadczenia krańcowego, na przykład cielesność. Dowartościowanie nieskażonego głosu ofiar, których arcyprzewodnikiem jest Gustaw Herling-Grudziński, przeciw immoralistom takim jak Leo Lipski, Marian Pankowski. Ba, do tej podklasy podejrzanych dostał się nawet Tadeusz Borowski, ułaskawiony wyłącznie dlatego, iż przebywał u zbrodniarzy, których potępienie było długo słuszniejsze od potępienia innych zbrodniarzy. To i samobójstwo go uratowało.

Jałta utrzymała obłudę czytelniczą, polegającą na tym, iż Herlinga wielbi się

z dystansu, a dorastając – szuka wsparcia u „kaskaderów literatury”. Zawsze więc wysoko, żadnej rozrywki, tylko dyskurs moralny. Nawet opisy kaców są wzniosłe, szczególnie jeśli się je hołubi wbrew opisom wyrafinowania kulturowego więźniów obozów koncentracyjnych. Młodzież woli relacje z libacji, jeśli taki ma wybór. A prócz krytyków, młodzi i część kobiet są literacką publicznością. Tymczasem kanon i ofertę z niego pączkującą przykrawano nam, jakbyśmy byli wszyscy zapatrzonymi we wzniosłość platońskiej uczyt mężczyznami.

Są przykłady zadziwiających karier, które zakręciły, uległy schizofrenicznemu przeprofilowaniu wskutek wojny i Jałty. Pierwszy z brzegu: Sergiusz Piasecki. Gdyby nie komunistyczne porządki, byłby co najwyżej Dołęgą-Mostowiczem z grupy Przedmieście. Ponieważ miał szczęście być wychowany na Wschodzie, awansował do roli Głosu Sumienia, Sprawiedliwego na Emigracji. Moralista zamiast naturszczyka, sensacji międzywojennej prasy plotkarskiej, dostarczy-

ciela rozrywki? Zamiast. Było to możliwe tylko dzięki historycznym zmianom.

Nie próbuję nawet myśleć, co by było z Gombrowiczem, Witkacym, Schulzem, jak by się rozwinęła poezja. Kto by się uchował z pisarzy drugorzędnych, wzmocnionych dzięki zakazowi zajmowania się zdegenerowaną formą. A z drugiej strony, o czym by pisali ci wszyscy moralisci, ci nudni faceci z kanonu. Z czego by się, aż do dzisiaj, tłumaczyli „ukąszeni”. Nie jestem pewna, ale może mają rację historycy, którzy w zniewoleniu widzą lokomotywę myśli i wskazują na korzyści płynące z posiadania wroga. Korzyści z tęsknoty (tu cały nurt kresowy, nagle wskrzeszone „małe ojczyzny” w ciągłej, aż po skrajne znudzenie, rozbudowie). Z kolei dzisiaj – czy mielibyśmy kolejne pokolenie bez właściwości, gdyby nie było wiadomo, co znaczy mieć właściwości? Gdyby pluralizm postaw trwał od wielu dziesięcioleci? A co z dyskusjami krytyków wokół kultury po roku 1989, dyskusjami mającymi punkt odniesienia w trwałym, stabilnym „kiedyś”, dającym jasne cele?

Przy okazji rekonstruowania dyskusji o dzisiejszej konstelacji ideowej i artystycznej „Wschodu” i „Zachodu” można zobaczyć, czym my, dzieci Jałty, różnimy się od nich, dzieci Marshalla. Niby żyjemy w tej samej Europie, ale... Ciekawie, włączając się w dyskusję o dramaturgii „nowych brutalistów”, sytuację diagnozuje Justyna Golińska w tekście *Wielość beznadziejności* („Dialog” 2002, nr 1-2). Pokazuje, iż uczynienie (wyjściowy gest niezbędny) jednej konstelacji z tekstów pisanych na niedawnym Wschodzie i Zachodzie, zaciera różnice fundamentalne, polityczne i duchowe

między autorami dorastającymi do buntu w różnej sytuacji geopolitycznej.

Na Zachodzie beznadziejnie, bo bez zmian – Golińska przypomina bestseller Florianą Illiësa *Generation Golf*, opisujący „nowy konserwatyzm” symbolizowany przez zabawki playmobil. Tymczasem my, z gorszej części Europy, mamy wciąż nieukończoną budowę z klocków lego. Jakiś wzór, jakąś Portugalię (Zoltán Egressy, *Portugalia*, „Dialog” 2000, nr 4), jakąś transmisję z obcego, może tylko telewizyjnego kraju. Ten wywód mnie przekonuje, z podobną różnicą spotkać możemy się w prozie pisanej po obu stronach dawnych murów. Wystarczy porównać bohaterów Michała Hvorecký’ego (*W misji idealnej czystości*, Bytom 2002), szukających tożsamości i bytu na ulicach wielkich miast zamieszkiwanych przez „neokonserwatywnie” znudzonych właścicieli nowszych modeli volkwagena, z Hlynurem Björnem (H. Helgason, *Reykjavik 101*, Warszawa 2001), klientem opieki socjalnej od urodzenia zażywającym ectasy, żeby przetrzymać kolejną noc w Reykjavíku. Przypomnę jeszcze prozę Jáchyma Topola – kapitalny opis życia w Pradze i na jej przedmieściach, z wątkami konfrontacji z Zachodem (*Anioł*, Bytom 2002; *Siostra*, Warszawa 2002) oraz Wiktora Pielewina (*Generacja X*, Warszawa 2001), którzy pokoleniowe doświadczenie swych bohaterów widzą jako produkt historii i polityki, marginalizującej obywateli ogromnej części Europy, nie zaś jako wynik nudy, nudy, nudy, konsumpcjonistycznego przesytu i braku wartości. Pielewin najbliższy byłby widzeniu, także w Rosji, zmory globalizacji, ale i u niego rynek oraz nowe media działają na podkładzie

ODBIORCA ZAMIAST ŚWIADECTWA

dobrych, starych, posowieckich metod, a więc specyficznych dla historycznego i politycznego losu w skonkretyzowanym geograficznie miejscu. Przypomnę jeszcze polską dyskusję wokół „pokolenia nic”, z książką Doroty Masłowskiej w tle. Pozytywny wpływ Jałty? Na Zachodzie nawet pisanie się przejadło, a u nas... jeszcze z pisaną się nie przeżyje.

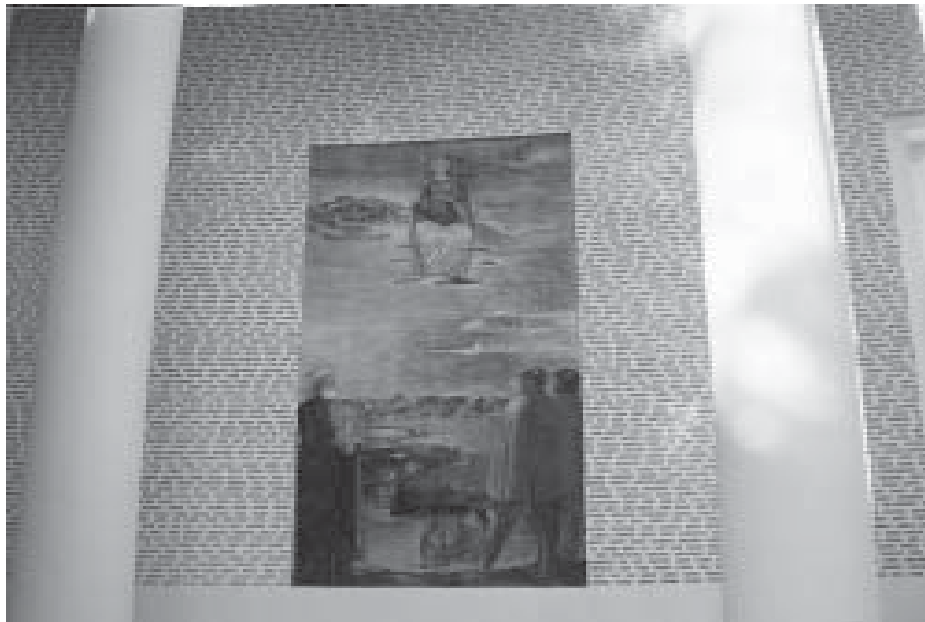
Jest więc beznadziejnie, jednak różnie. Mówiąc krótko: na Wschodzie „nic się nie da zrobić”, na Zachodzie „nie ma nic do zrobienia” – pisze Justyna Golińska. Niepocieszająca konstatacja, wskazująca wagę szerokiego kontekstu politycznego w pisanej dziś literaturze. Wciąż są dwie Europy. My należymy do tej wykluczonej ołówkiem wodzącym po mapie w Jałcie.

Daje to nam poczucie wyjątkowości, każe stawiać na patos, ścisła gardło w pobliżu spisu szkolnych lektur. Lecz zarazem utrwała, zadekretowane już przez Bieruta, dwa braki, dwa deficyty, z jakich niby zdajemy sobie sprawę, nieporadnie walczymy o ich wypełnienie. Na razie te dwa: upośledzenie tematu społecznego, przez ciągły nad nim ideologiczny nadzór; upodrzędzenie dobrej literatury rozrywkowej.

Tu mamy ostre cięcie około roku 1947. Bo literatura wojny i okupacji, z zachowaniem odpowiedniej miary, była przecież literaturą o społeczeństwie, czy właściwie o tym, co z tego pojęcia zostaje, gdy historia uwalnia demony. Byłaby zapewne podniosła się też, po rytualnej żałobie, dobra rozrywka,

Fragment pełnej listy artystów-uczestników weneckiego Biennale, umieszczonej przez **Christiana Boltańskiego** na frontonie pawilonu włoskiego z okazji 100. rocznicy istnienia tego prestiżowego przeglądu sztuki światowej, XLVI Biennale Sztuki w Wenecji, Giardini di Castello, 1995

Fotografia Grażyna Borowik



gdyby nie okazało się, że naród najbardziej lubi czyny społeczne.

Potem, z jednej strony, bawiono się w kamuflaż, parabolę i konspirację. Z drugiej, nie wypuszczano sztuki ze świątyni. Więc i podział na „wysokie” oraz „niskie” z trudem ustępuje przed naporem zmacenia, którego tradycje znalazłibyśmy u mistrzów Dwudziestolecia – Gombrowicza, Witkacego i Schulza... Cóż, kiedy szukaliśmy u nich raczej potwierdzenia słuszności naszych dróg. Jak się udawało, całymi latami, czytać Dwudziestolecie wyłącznie w miejscach wzniosłości i artystycznych wyżyn, jest nietrudną do rozwikłania tajemnicą.

Czas na tle tych różnych, schizofrenicznie zapewne rozstrzelonych uwag przejść na własne podwórko. Otóż jestem przekonana, że Jałta odcięła nas radykalnie od feministycznych, proemancypacyjnych załączków Dwudziestolecia. I od wynalazków prozy psychologicznej, dającej w jednym myśleniu o podmiocie, o „ja” (po co się czyta?) oraz rozrywkę na wysokim poziomie. Na wysokim, czyli według standardów wymuszonych naszymi wiecznymi łzami – na niskim. Tymczasem Dwudziestolecie miało literaturę, która przedstawiając problemy społeczne i psychologiczne swoich współczesnych czyniła to w sposób przystępny. O ile tradycje awangardowe jakoś przetrwały, zaburzane przypadkami politycznymi, hybryda naturalistyczno-społeczno-psychoanalityczna, poczynana w latach 30., nie doczekała rozwiązania.

Upośledzenie tematu człowieka pojmowanego po-freudowsko, miało związek z gwałtownym zmarginalizowaniem twórczości kobiet. To paradoks, bo prze-

cież nigdy wcześniej kobiety nie miały tak dobrego dostępu do edukacji, do zawodów intelektualnych, do rynku książki: tu jako czytelniczki i producentki. Lecz jednocześnie teksty, jakie pisała po wojnie choćby współtwórczyni prozy psychologicznej, Maria Kuncewiczowa, nie mogły być tak doniosłe jak ezopowe roztrząsania narodowych klęsk, podejmowane przez mężczyzn. Miało też miejsce zjawisko, opisane w teorii literatury anglosaskiej, iż nawet gatunki popularne podlegają stratyfikacji: opisy wojny w sensacyjnych fabułach stoją wyżej na półkach w księgarni niż romanse.

Po wojnie literatura zachodnia dostarczała czytelniczkom pokarmu, który wypełniał im świat najpierw zdruzgotany, potem normalizujący się, wreszcie rynkowo ustabilizowany. Książki trafiły do hipermarketów, oczywiście miejsca skądinąd okropnego. W naszych standardach byłaby mowa o „degradacji”, ja mówiłabym raczej o dostępności i ofercie podtrzymującej obyczaj czytania, jaki damy i panny służące posiadały o wiele powszechniej od swych partnerów.

Wędrując na półkę obok prozku do prania, powieść obyczajowo-psychologiczna mutowała także ku lepszej edycji, ku pewnemu środkowi, przywoływanemu przez krytyków dzisiaj zapewne nadaremnie. Nie idzie nawet o to, iż brak nam autorek/autorów (bo pewnie nie), lecz o tradycję, pracującą na korzyść literatury. Gdyby w Polsce przez ostatnich 50 lat pisano dla przeciętnej inteligentki, całość sztuki literackiej wyglądałaby lepiej. To nie paradoks: zadęcie prowadzi do pęknięcia. Lekkostrawny podkład pozwala strawić i wzniosłość.

Gubiąc wątek popularnej, lekko

podrasowanej prozy, zgubiliśmy też właściwie psychoanalizę. Wystarczy zajrzeć do tomu Danuty Danek *Psychoanaliza i literatura*, by przekonać się, że nie nadaliśmy. Psychoanaliza, jedna z najbardziej wpływowych w Dwudziestoleciu koncepcji człowieka, pokutowała na marginesie zarówno literatury, jak i literaturoznawstwa. Nie mieliśmy też odmiany gatunkowej powieści psychoanalitycznej – dziś nadrabiamy i tę stratę.

Oczywiście, wątki te prowadzą mnie nieuchronnie do feminizmu, którego też nie było. Wspomniana już marginalizacja książek do czytania, zastąpionych książkami do celebrowania, była zdobyczą patriarchalnego układu, zakonserwowanego aż do lat ostatnich, kiedy obudziło się nowe pokolenie feministek. Gdyby nie patriotyczne powinności, Zofia Nałkowska napisałaby jeszcze kilka powieści bardziej pro-kobietych niż *Węże i róże*. Jestem też pewna, że wiele innych pisarek poszłoby otwartą przez babki (czyli antenatki, nie „kobiety” w slangu dziadków) drogą do feminizmu; tak przecież stało się na Zachodzie.

Myślenie o społeczeństwie bez prze-myślenia relacji płci wydaje mi się sprzecznością logiczną, a przecież wypełniało pisarskie dni większości polskich literatów. Gdyby kobiety nie wprzęgły się w kolejną epokę patriotycznego obowiązku, gdyby nie wstydziły się, iż nie czują pociągu do opiewania ojczyzny, będącej matką tylko pod warunkiem, że jest się synem... Myślę, że mielibyśmy dziś wszyscy o wiele mniej zdezaktualizowanych fiszek bibliotecznych z adresami tekstów, nie pociągających nikogo. Musiałaby powstać litera-

tura uwodząca, mówiąca o ludziach językiem pragnienia. Może już mielibyśmy ten etap za sobą i powstawałyby właśnie dobrze skonstruowane powieści post-postmodernistyczne, wyglądające na wyplute z pliku *creative writing*, ale byłoby co postawić na półkę z użyteczną tradycją.

Nikt by nie rozumiał, po co młoda kobieta pisze o sobie w rodzaju męskim, chyba że przyniosłoby to istotną zmianę perspektywy. Może byłoby godną odnotowania ekstrawagancją? W *Historii literatury 1945-95* mielibyśmy dział prozy transseksualnej, która opierałaby się na tradycji awangardowej w zakresie form narracyjnych, oraz konfesje tożsamościowe, bliskie fabularnie reportażom z seansów psychoanalitycznych. Wciąż nienapisaną książką byłaby opowieść o pewnym *macho* grasującym podobno w gimnazjum na Śląsku – świetny, oryginalny temat sensacyjny, niepodjęty, gdyż *political fiction* skończyła się w latach 60., kiedy sytuacja globalna została ustabilizowana. Krytyka lat 90. narzekałaby na brak wyobraźni u młodych autorów, niezdolnych właściwie do rozważania sytuacji napięcia damsko-męskiego, przecież mającego miejsce na prowincji.

Tak by było. Bo gdybyśmy dbali o edukację przez dobraną odpowiednio literaturę, nie mając obowiązków patriotycznych, nasza kultura byłaby mniej wysublimowana, za to bardziej skuteczna. Nasze spisy lektur, tak szacowne, przegrywają u młodych ludzi z listą bestsellerów EMPIK-u. Gdyby nie Jałta, patrzylibyśmy na odbiorcę, zamiast dawać świadectwo.

Inga Iwasiów

INGA IWASIOŃ
ur. w 1963 r.,
zajmuje się
krytyką, historią
i teorią literatury,
naczelną
dwumiesięcznika
„Pogranicza”,
pisze wiersze
i prozę, ostatnio
wydała książkę
krytycznoliteracką
*Rewindykacje.
Kobieta czytająca
dzisiaj* (2002).



Plac Paula McCartney'a

Robert Ostaszewski
NIEODROBIONA
LEKCJA

Fotografia Grażyna Borowik

Mysłenie o niezrealizowanych, acz możliwych scenariuszach przeszłości musi – jestem o tym przekonany – wiązać się ściśle z namysłem nad kształtem terażniejszości. Czy właściwie – z tego namysłu brać początek. I nie chodzi w tym przypadku o trywialne w gruncie rzeczy stwierdzenie, że jesteśmy „mądrzejsi” o kilkadziesiąt lat dziejowych doświadczeń, że to, co jawiło się kiedyś jako trudna do rozwikłania plątanina motywacji, uwarunkowań, chaotycznych zdarzeń, znoszących się dążeń, zostało przerobione przez historyków, połączone w logiczne ciągi przyczynowo-skutkowe, uspojnione, opatrzone stosownymi komentarzami i interpretacjami. Rzecz w czym innym. Oglądając przygody terażniejszości, próbując je zrozumieć i wyjaśnić, często dochodzę do pytania (jedynie pomocniczego, ale jednak istotnego): co by było, gdyby... działały nieco inne siły, odmienne były składniki rzeczywistości.

Zanim spróbowałem wyobrazić sobie „kulturę polską bez Jałty”, stworzyć symulację nowego, powojennego porządku (także kulturalnego) w naszym kraju, porządku bez przywiezionych na sowieckich czołgach komunistów, zastanawiałem się nad renesansem modernizmu w nowej prozie (choć „renesans” to chyba zbyt szumne określenie). Szczególnie wyraźnie objawił się w książkach najmłodszych pisarzy: Tomasza Małyszka, Piotra Cegiełki, Błażeja Dzikowskiego czy Macieja Fortuny. Ale przecież modernistyczne problemy zdają się interesować (i inspirować) także pisarzy starszych, takich chociażby jak Włodzimierz Kowalewski czy Stefan Chwin, nie wspominając już o Czesła-

wie Miłoszu, którego dzieło wciąż rozwija się w obszarze wyznaczanym przez wysoki modernizm. Cóż takiego stało się, że w Polsce, gdzie zaledwie kilkanaście lat wcześniej odkryto postmodernizm, powraca się głębiej w kulturową przeszłość? Prawdopodobnie porażka polskiego postmodernizmu, który ani nie zjednał sobie zbyt wielu czytelników, ani nie wydał znaczących tekstów, pozostając na etapie przymiarek i obiecujących, ale niedokończonych projektów, uświadomiła pisarzom, że polska literatura jeszcze nie odrobiła porządnie lekcji modernizmu.

A co by było, gdyby zaczęła odrabiać ją dużo wcześniej? Polska bez Jałty na pewno utrzymywałaby dużo ściślejsze kontakty z Zachodem niż Polska Ludowa. Mamy skłonność do importowania rozmaitych „wynalazków” z zakresu humanistyki, więc zapewne kilkadziesiąt lat wcześniej zaczęto by robić to, do czego w naszych czasach zachęca choćby Ryszard Nycz: przedstawiać modernizm w perspektywie „długiego trwania” tego nurtu, wyznaczającego najbardziej wyrazistą tendencję w literaturze XX wieku. Sprzyjałaby temu sytuacja wokół literatury. W PRL-u pisarze, czy chcieli tego, czy nie, byli mocno uwikłani w politykę. Przemiany literatury w dużym stopniu stymulowane były historyczno-politycznymi zmianami, zaburzeniami występującymi w systemie komunistycznym, co sprawiło, że „poszatkowana” została na niewielkie, kilkuletnie „okresy” (aby się o tym przekonać, wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy podręcznik historii literatury współczesnej). Oczywiście, nie zawsze ingerencje w działania pisarzy, w ich

światopoglądowe czy artystyczne wybory były tak duże, jak w dobie panowania socrealizmu. Jednak ów rwany, zdyszany rytm rozwoju literatury nie sprzyjał na pewno rozwijaniu projektów wymagających czasu i swobody artystycznej, „domyślanii” pewnych problemów, tworzeniu nowych chwytów i formuł tekstowych, a potem cierpliwemu przekonywaniu do nich krytyków i czytelników.

Nie sądzę, aby polityka nie miała wpływu na literaturę w Polsce bez Jałty. Być może wzrosła by siła ugrupowań prawicowych, tym bardziej że prawdopodobnie wciąż – w takiej lub innej formie – istniałoby „zagrożenie ze Wschodu”. Nie jest wykluczone, że i lewica miałaby więcej do powiedzenia niż przed wojną. A to wszystko razem wzięte mogło spowodować sporą kotłownicę pomiędzy różnymi partiami i partijkami. Pisarze nie pozostaliby w tej sytuacji obojętni, tym bardziej że niemal w każdym okresie większość z nich okazywała się jednak „zwierzętami politycznymi”. Literatura musiałaby także – tu niewiele by się zmieniło – oswoić wojenne traumy, a to znowu wrzucałoby ją w polityczne i historyczne rozrachunki. Gdyby jednak nie wygłuszano tak mocno, jak w PRL-u modernistycznej świadomości, pisarze koncentrowaliby się nie tylko na „dawaniu świadectwa” i „zabezpieczaniu śladów”, ale odważniej szukaliby nowatorskich rozwiązań tekstowych, pomysłów formalnych zdolnych udźwignąć bagaż wojennych doświadczeń. Wtedy z większą przychylnością traktowani byłiby pisarze uważani za „trudnych” czy niezrozumiałych, jak na przykład Leopold Buczkowski.

Czy takie rozwiązanie (cierpliwa odbudowa świadomości modernistycznej) było w ogóle możliwe? Czy nie ponosi mnie zbyt fantazja? Myślę, że nie. Wystarczyło przecież, aby wrócili pisarze z emigracji, choćby Witold Gombrowicz, żeby autorzy, którzy debiutowali jeszcze przed wojną, dla przykładu wymienię Jerzego Andrzejewskiego, mogli dokonywać niezależnych wyborów artystycznych, a młodzi, debiutujący już po wojnie mogli swobodnie kontaktować się z Zachodem (ciekawe co i jak pisałby Tadeusz Borowski, gdyby nie uległ zaczadzeniu ideologią komunistyczną). To mogło w znaczącym stopniu zmienić obraz naszej literatury.

Odrabianie lekcji modernizmu doprowadziłyby w konsekwencji do szybszego pojawienia się twórczości postmodernistycznej. Jej początki przypadłyby pewnie na przełom lat 60. i 70. Niektórzy pisarze, pracujący nad projektami modernistycznymi, musieli prędkiej czy później dotrzeć do granic modernizmu i wyjść poza nie. Kogo mam na myśli? Na przykład Andrzejewskiego. Gdyby nie spalał się latami w zmaganiach z „przeklętymi polskimi problemami” i cenzurą, pisząc *Miazgę*, pewnie napisałby jakąś powieść postmodernistyczną; miał przecież niezbędną ciekawość „nowego” i konieczną sprawność warsztatową (inna sprawa, że nie zawsze umiał ją właściwie spożytkować). Może w tym kierunku poszliby także Andrzej Kuśniewicz i Teodor Parnicki. Wszyscy oni mogli stać się ojcami założycielami polskiego postmodernizmu literackiego. A gdyby takowi pojawili się wcześniej, gdyby możliwa była poważna dyskusja

na temat postmodernizmu, inaczej potoczyłyby się losy takich pisarzy jak Marek Stryk czy Anatol Ulman, którzy debiutowali na przełomie lat 70. i 80., w okresie bardzo niesprzyjającym wszelkiej literaturze innowacyjnej, co spowodowało, że wessani zostali w czarnej dziurę niepamięci. Zresztą, również Andrzejewski, Kuśniewicz, Parnicki czy Buczkowski nie są teraz zbyt dobrze obecni, funkcjonują jako historyczne eksponaty, które skrupulatnie bada się jedynie na uniwersyteckich seminariach.

Dlaczego przywołuję nazwiska pisarzy niezbyt znaczących, albo takich, których siła oddziaływania na moich współczesnych wydaje się być nikła? Czemu odmieniam przez wszystkie przypadki słowa „modernizm” i „postmodernizm” w tekście poświęconym problemowi „kultury polskiej bez Jał-

ty”? Na pewno znaleźć można zagadnienia dla kultury istotniejsze. Wydaje mi się jednak, że poniechanie modernizmu (powracającego teraz kuchennymi drzwiami) i odrzucenie postmodernizmu bez próby zrozumienia go, sprawiło, że literatura jest uboższa. Brakuje jej ciekawości „nowego”, skłonności do pewnego hazardu w wyborach artystycznych i poznawczych, wyczulenia na próby awangardowe, wrażliwości na formę tekstów. Szczególnie w prozie wachlarz możliwości wydaje się dość ograniczony: nieśmiertelny realizm w rozmaitych mutacjach, strategię nostalgiczne odżywające wciąż przy okazji kolejnych rozliczeń z przeszłością, albo w końcu groteska aplikowana jako lek przeczyszczający na wszelkie narodowe i społeczne choroby. A gdyby tak Polska bez Jałty odrobiła lekcję modernizmu...

Robert Ostaszewski

ROBERT OSTASZEWSKI ur. 1972 r., krytyk literacki, prozaik, felietonista, wydał zbiór felietonów *Odwieczna, acz nieoficjalna* (2002) oraz powieść *Troję pomścimy* (2002).

Fronton Muzeum Narodowego w Krakowie

Fotografia Grażyna Borowik



Stanisław Piskor
CO BY BYŁO, GDYBY...



Fotografia Wojciech Plewiński

...wojna u swego kresu potoczyła się inaczej (śmierć Stalina, udany zamach na Hitlera itp.) i gdybyśmy nie dostali się w ręce Sowietów, choć ponieśliśmy wszystkie wojenne straty. Jak w takim układzie wyglądałaby polska kultura?

I Spróbujmy wyobrazić sobie tło historyczne: Niemcy hitlerowskie po udanym zamachu na Hitlera podpisują kapitulację, ale alianci wprowadzają na ich teren swoje wojska. Jednak warunki kapitulacji nie umożliwiają tak ostrej denazyfikacji jak to miało miejsce, pozostaje resentyment, urażona duma i zbyt liczne niedobitki nazizmu, aby można było mówić o pełnym przezwyciężeniu totalitaryzmu. Jest więc jakaś odmiana powtórki z historii.

W ZSRR po śmierci Stalina, po krótkiej walce o władzę przejmuje ją – w powojennej atmosferze zwycięstwa – któryś z marszałków. Oczywiście, utrzymuje się dotychczasowy sowiecki system polityczny.

Polska zachowuje przedwojenne granice, ale z poważnymi stratami wskutek sowieckich deportacji Polaków z kresów. A to znaczy, że pod względem demograficznym mamy większy procent mniejszości narodowych aniżeli przed wojną, z wyjątkiem ludności żydowskiej, którą zbrodnicza machina hitlerowska jednak już zdążyła wymordować.

Z Londynu wraca rząd, ale struktury państwowe znajdują się pod silnym wpływem kierownictwa politycznego AK, po udanym wówczas Powstaniu Warszawskim skorelowanym np. z ofen-

sywą aliancką z Południa (była taka koncepcja), która rozcina strefę wpływów, pozostawiając ZSRR za wschodnią granicą Polski. Nie ma wyniszczającej wojny z polskim państwem podziemnym w latach 1945-49, ani stalinizmu, ale jest ostra walka o władzę, w atmosferze oskarżeń i rozliczeń na tle klęski wrzesniowej.

W polityce wewnętrznej mamy konserwację struktury społecznej z okresu przedwojennego, ale po wojennych zniszczeniach z jednej strony budzą się nastroje patriotyczne związane z odbudową kraju, z drugiej – pojawiają się silne impulsy socjalistyczne, ze wskazaniem na najbliższy i jedynie znany model sowiecki. Zwiększone wpływy mniejszości narodowych, wzmocnione świadomością bolesnych ran wojennych, zwłaszcza wśród Ukraińców w Polsce z pewnością byłyby wykorzystywane przez Rosję sowiecką dla celów propagandowych.

W polityce zagranicznej żywa jest ciągle pamięć o nielojalności Francji i Anglii z września 1939. Pozostają przedwojenne zadrażnienia z Czechami na tle Zaolzia, a także ochłodzenie stosunków ze Słowacją i Węgrami jako byłymi sojusznikami Hitlera.

Ta konfiguracja skłania rząd polski do ścisłej współpracy z USA, co zostaje ułatwione zarówno przez pomoc dla Polski wynikającą z planu Marshalla, jak też i przez to, że Stany Zjednoczone znajdują w tym własny interes, widząc w Polsce ekspozyturę wpływów amerykańskich, z jednej strony jako przyczółka w rywalizacji z ZSRR, z drugiej – jako

Obok: **Jerzy Bereś**, *Zwład puławski II*, 1966, drewno, kamień, rzemienie, tkanina, 250 x 400 x 50 cm

kraju kontrolującego proces denazyfikacji Niemiec posthitlerowskich. To daje solidne podstawy do współpracy gospodarczej z USA i powoduje awans cywilizacyjny z niewielkim jedynie opóźnieniem w stosunku do innych krajów. Zimna wojna jest jednak nieunikniona z powodu nasilającej się konkurencji systemów.

W takiej sytuacji społeczeństwo polskie nie musiałoby uciekać w martyrologię. Poczucie zwycięstwa u boku aliantów równoważyłoby gorycz wrześniowej klęski i strat wojennych; w rezultacie więc nie byłoby podstawy do pielęgnowania syndromu ofiary. Nie byłoby też gnilnej sytuacji moralnej z powodu braku rozliczeń za zbrodnie stalinowskie, jak również za okres do roku 1989, która do dziś ma swoje demoralizujące skutki..

Sytuacja Polski bezjałtańskiej, jako specjalnego sprzymierzeńca USA, stopniowo wpisującego się w strukturę zjednoczonej Europy, przynajmniej w pierwszych latach powojennych, dałaby silny impuls rozwoju cywilizacyjnego, z wyraźną świadomością norm prawa, znaczenia państwa i reguł życia gospodarki rynkowej. W przeciwieństwie do naszych doświadczeń pojałtańskich, których rezultatem jest prawie całkowity zanik świadomości wartości cywilizacyjnych, co ujawniło się podczas procesu akcesyjnego do UE, gdzie w dyskusjach nie pojawiał się przecież realny argument o możliwości awansu cywilizacyjnego jako własnego, zbiorowego wysiłku poprzez adaptacje norm ustrojowych Zachodu, ale na plan pierwszy wysuwało się wyobrażenie o UE jako o czymś w rodzaju wielkiej kasy zapomogowo-pożyczkowej.

2 Gdyby nie było pojałtańskiej zależności politycznej – dominanty artystyczne zapewne miałyby swój ciąg dalszy wyznaczony przez te podstawowe osiągnięcia z okresu Dwudziestolecia Międzywojennego, które „wybiły się” na nowoczesną samodzielność i europejskie partnerstwo. Wyrazem takiego partnerstwa na planie sztuki i poezji była Awangarda Krakowska, a szczytowym osiągnięciem był dorobek grupy „a.r.” (Strzemiński, Stażewski, Przyboś, Brzękowski), jako oryginalna formuła przedwojennej nowoczesności z głębokim zakorzeniem w polskiej, a równocześnie i europejskiej tradycji. W prozie z pewnością właściwe miejsce znalazłaby powieść nawiązująca do nowszych technik, np. Tadeusza Kudlińskiego, teoretyka jednej z dwu podstawowych technik powieściowych XX wieku (symultanizmu), na dobrą sprawę wprowadzona ze znacznym opóźnieniem w prozie np. Andrzeja Kuśniewicza czy Piotra Wojciechowskiego. A przecież *tędy poszły dzieje* ewolucji w prozie, do dzisiejszej skrótowości wynikającej z wpływu techniki elektronicznego przekazu, zwłaszcza telewizji na współczesną wrażliwość. Ten kierunek przemian sygnalizował dość wcześnie, choć nieporadnie przecież Dos Passos. W takiej atmosferze z pewnością szybciej upowszechniłaby się druga istotna technika, mianowicie kombinacja montażu czasowego z przestrzennym zastosowana przez Joyce’a.

Nie doszło do tego, ponieważ doświadczenia polityczne odwróciły uwagę od tych nowoczesnych przemian w prozie, poprzez nacisk doktryny socrealizmu, a następnie odreagowanie dale-

kie od pełnej świadomości form literackich XX wieku, co widać choćby w prozie Hłaski. Na plan pierwszy w tej sytuacji wyszły propozycje związane z doświadczeniem katastrofy i nurtu rozliczeniowego.

Gdyby nie było pojałtańskiej zależności politycznej – nie byłoby mroźnicy stalinowskiej, z wieloma połamanymi kręgosłupami i dość przygruntowej odwilży (wystawa „Arsenału” miała jednak silne piętno socrealizmu!), z dominacją gestów nad realną zmianą myślenia. Nie byłoby leczenia rumiankiem z heglowskich ukąszeń, nie byłoby koniunkturalizmu kolejnych mód intelektualnych. Wreszcie uniknęlibyśmy tej charakterystycznej synonimizacji pojęć polityczno-estetycznych, jak to na terenie literatury miało miejsce podczas dyskusji o turpizmie, a na terenie sztuki w postaci swoistej kariery kapizmu.

Spór Stanisława Grochowiaka z Julianem Przybosiem o turpizm pozornie miał charakter estetyczny (o piękno lub jego zaprzeczenie – brzydotę), ale w swej istocie nie chodziło o aksjologię (pojęcia estetyczne), lecz o stosunek do rzeczywistości społecznej: czy miał on być estetyzujący, jak chciał Przyboś, co w rozumieniu Grochowiaka oznaczało – sztucznie upiększający, a więc fałszywy, daleki od realnych problemów, jakimi żyło społeczeństwo; czy też nośniejszy poznawczo, w znaczeniu: realnie przeżywanych form życia – za tym opowiadał się Grochowiak. W tym sensie następowała synonimizacja pojęć należących do zupełnie odmiennych porządków, nie tylko z filozoficznego punktu widzenia, gdyż używając pojęć estetycznych, tak naprawdę rozmawiano o sto-

sunku poety do rzeczywistości społecznej, a więc w gruncie rzeczy o polityce. A działo się tak dlatego, że swobodna rozmowa o polityce była niemożliwa z powodów cenzuralnych.

Nieco inną przygodę przeżyła formacja kapizmu, już anachroniczna artystycznie przed wojną. Wskutek działania młodych aktywistów w krakowskiej ASP i nie tylko – kapiści zostali potępieni przez młodych zwolenników „nowego”, a następnie usunięci z akademii. Po Październiku pojawili się w roli represjonowanych, co oczywiście było prawdą w wymiarze doświadczenia osobistego, ale występując w aureoli męczeńskiej jako ofiara stalinizmu, przez kilka lat zdominowali życie artystyczne, przyczyniając się do utrwalania tego anachronizmu w polskiej sztuce, nie z powodów artystycznych, ale politycznych.

Istotą tej synonimizacji pojęć była więc klasyczna heteronomia kultury, wynikająca wprost z doświadczenia politycznego tamtego czasu. Gdyby tego nie było, kultura polska miałaby bezpośrednią relację z tym, co działo się w sztuce europejskiej.

3 Do tej wirtualnej beczki miodu w wyobrażonej Polsce bejałtańskiej trzeba jednak wpuścić kroplę krytycznego dziegciu.

Polska w granicach z 1939 roku w orbicie Zachodu i pod szczególnymi wpływami USA, ale z Wilnem i Lwowem, zajmowałaby pod względem terytorialnym centrum tradycyjnych interferencji bizantyzmu i kultury łańciskiej (o czym już w paru książkach rzucałem grochem o ścianę). Ten potencjalny kapitał polskiej oryginalności na tle

kultury europejskiej, mimo braku opresyjnego systemu pojałtańskiego, w ówczesnych warunkach – moim zdaniem – nie zostałby jednak zdyskontowany. Dlaczego? Tradycyjny egoizm warstw uprzywilejowanych wzmacniany podświadomym bizantynizmem w stylu myślenia o społeczeństwie, czyli widzeniem go na sposób hierarchiczny, prawdopodobnie nie doprowadziłby do rozwiązania nabrzmiałych problemów warstw upośledzonych. Przekonanie takie potwierdzają doświadczenia lat 90., kiedy to w niepodległej przecież Polsce, z realnego socjalizmu wychodziliśmy w pełni egalitarnie, a mianowicie boso, dziś zaś, zaledwie po 12 latach, do Unii Europejskiej wchodzimy jako modelowy kraj Ameryki Łacińskiej, z jednoprocentową warstwą grup uprzywilejowanych, z 4. procentową klasą średnią i z 95. procentami pariasów; w tym – jedna trzecia społeczeństwa – to skrajne ubóstwo. Można oczywiście spierać się, na ile jest to efekt sowietyzacji (czyli bizantynizmu z czerwoną kokardką na opakowaniu), ale przecież fiasko głębokich reform społecznych w Polsce przedwojennej też o czymś wyraźnie mówi, choć sowietyzacji wówczas nie było.

To rozdwojenie: na bezpośrednie wpływy amerykańskie i pośrednio rosyjskie (za pośrednictwem poważnego liczebnie odsetka mniejszości) i atrakcyjności (bo niedoświadczanej bezpośrednio) systemu realnego socjalizmu, w konsekwencji doprowadzić musiałyby do poważnego osłabienia polskiej tożsamości opartej na konfiguracji wpływów Zachodu i Wschodu. Zagrożenie wynikałoby stąd, że pojawiłyby się warunki polaryzacji czynników składo-

wych polskiej tożsamości kulturowej. Mianowicie, mając w obrębie własnego społeczeństwa zwiększony potencjał kulturowy bizantynizmu (struktura mniejszości narodowych) równocześnie na planie cywilizacyjnym byłibyśmy pod zdecydowanym wpływem mentalności amerykańskiego pragmatyzmu o protestanckimi korzeniami. Taka konfiguracja przeciwstawnych tendencji musiałaby działać polaryzująco, co prowadziłoby zapewne w stronę jakiegoś rodzaju ope-retkowości polskiej kultury, stwarzałoby poczucie jej nieautentyczności, a w niesprzyjających okolicznościach, np. w przypadku konfliktów narodowościowych – mogłoby być także przyczyną jej instrumentalizacji. Społeczeństwo polskie zapewne rozwijałoby się gospodarczo w rytmie krajów Zachodu, może z niewielkim opóźnieniem, jednak – z tego właśnie względu – nie miałoby ważnych i poważnych celów. A to zawsze grozi skarłowaceniem, na dłuższym dystansie społecznej nawigacji.

Jak z tego widać odpowiedź na grzeszne – dla każdego historyka – pytanie: co byłoby gdyby... nie było porządku pojałtańskiego – nie jest jednoznaczna.

Do dziś dają znać o sobie konsekwencje zaszczepiania demoralizacji wpisanej w pojałtańską mutację bizantynizmu, jakiej doświadczaliśmy, ale – paradoksalnie – mamy także i pozytywne konsekwencje wynikające z tej końskiej kuracji: wzmocnienie poczucia rzeczywistości, wiarę w możliwość ludzkiej solidarności, w znaczenie wolności. Co, gdy brać pod uwagę przyszłość, nie jest bez znaczenia.

Czy te doświadczenia spożytkujemy tak, jak to sugerował Krzysztof Zanussi

CO BY BYŁO, GDYBY...

w filmie *Dotknięcie ręki*, czyli – zainspirujemy naszą specyficzną, środkowoeuropejską duchowością zmaterializowaną i dotkniętą erozją kulturę Zachodu, czy przeciwnie – zdominuje nas w tym towarzystwie doświadczenie pojałtańskiej niesamodzielności i dalej będziemy

kompensacyjnie bardziej zachodni od Zachodu – co jest udziałem dzisiejszych trzydziestolatków jako beneficjentów dystrybucyjnego polskiego kapitalizmu lat 90. – to już problem następnego horoskopu.

Stanisław Piskor

STANISŁAW PISKOR historyk sztuki i literatury, autor książek eseistycznych i powieści, ostatnio wydał *Strategie kultury*.



Jerzy Bereś, *Klaskacz*, 1970, drewno, 145 x 175 x 40 cm

Fotografia Wojciech Plewiński

Maciej Urbanowski

WIĘCEJ PRAWICY

Jak wyglądałaby literatura (kultura) polska bez Jałty, a więc bez PRL i bez jałtańskiej Europy? Próbując odpowiedzieć na to pytanie, wkraczamy na obszar fascynujących, acz niemożliwych do weryfikacji hipotez, a nawet igraszek intelektualnych. Jedno jest pewne – i oczywiste: taka literatura (kultura) musiałaby być inna, pod wieloma względami bogatsza, bardziej różnorodna. Zbigniew Herbert debiutowałby pewnie już w 1945 roku na łamach jakiegoś prężnie się rozwijającego lwowskiego tygodnika literackiego. Podobnie byłoby w przypadku Wilna, w którym po zakończeniu wojny prym wiedliby pewnie bracia Mackiewiczowie, a może też Miłosz.

Nie-jałtańska historia literatury polskiej zawierałaby pewnie spory rozdział poświęcony pisarzom związanym mniej lub bardziej z przedwojenną i powojenną, nazwijmy to, prawicą intelektualną, rozmaitym konserwatystom, narodowcom i katolikom, którym w PRL-u odbierano głos metodami policyjnymi. Można więc z dużą dozą pewności domniemywać, że w tej nie-jałtańskiej Polsce doszłoby do reaktywowania pism i środowisk takich jak „Prosto z Mostu”, „Polityka”, „Kultura Jutra”, a może nawet „Sztuka i Naród”. Szybko też nadgoniono by wojenne opóźnienia, wydając powstałe w czasie okupacji książki Jerzego Brauna, Alfreda Łaszowskiego,

Włodzimierza Pietrzaka, Jędrzeja Giertycha, Jerzego Pietrkiewicza, Karola Ludwika Konińskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Tadeusza Gajcego, Wacława Bojarskiego, Wojciecha Wasiułyńskiego, Artura Górskiego, Adama Grzymały-Siedleckiego, Zygmunta Wasilewskiego i wielu innych autorów, których istnienia często możemy się już tylko domyślać. Obecność tych książek, pisarzy i pism z pewnością zaważyłaby na intelektualnym i literackim klimacie Polski powojennej, stanowiąc – jak sądzę – znaczącą przeciwwagę dla tendencji, które w sposób sztuczny zmonopolizowały życie literackie PRL. Inaczej więc wyglądałby i charakter, i – może – wynik porachunków z II RP, z etosem inteligenckim, polskim romantyzmem i mesjanizmem, czy wreszcie z totalitaryzmem niemieckim i rosyjskim. Pewne debaty, na przykład z antysemityzmem przed 1939 rokiem i w czasie wojny, odbyłyby się zapewne dużo wcześniej i byłyby bardziej wiarygodne. Gdy chodzi o samą literaturę, obecność w niej wspomnianego nurtu uwrażliwiłaby ją zapewne w dużo większym stopniu na rolę tradycji narodowej (romantyzm zwłaszcza, zob. J. Braun) i europejskiej (zob. wojenna i powojenna eseistyka Pietrkiewicza), wzmocniłoby w niej wrażliwość na metafizyczny i religijny wymiar rzeczywistości, a także wprowadziłoby elementy sceptycyzmu cywiliza-

cyjnego. Tym samym większe znaczenie zyskać by tu mogła „linia Słowackiego” w naszej literaturze, jak ją nazwał kiedyś Jacek Trznadel.

Z pewnością w takiej literaturze inaczej wyglądałyby dokonania i wybory niektórych przynajmniej pisarzy związanych przed wojną z prawicą. W niejałtańskiej Polsce nie powstałyby naj-

pewniej socrealistyczne utwory Gałczyńskiego i Andrzejewskiego, ktoś inny byłby adresatem kpin *Zielonych Gęsi*, a *Popiół i diament*, jeśli by w ogóle powstał, miałby inne zakończenie. Alfred Łaszowski nie ukrywałby się w klasztorze, ale wydałby swą *Kwaterę główną* i *Psy gończe*, itp. itd.

Maciej Urbanowski

MACIEJ URBANOWSKI
ur. 1965, historyk i krytyk literatury, ostatnio wydał *Oczyszczenie. Szkice o literaturze polskiej XX wieku* (2002).

Fotografia Grażyna Borowik





Fotografia Grażyna Borowik

Jan Prokop

PAN BÓG STRZELA, CZŁOWIEK KULE NOSI...

Za tanią krew sowieckich *sołdatów* na *Ostfroncie*, *sołdatów*, którzy, ginąc milionami, pognębili w końcu Trzecią Rzeszę, zresztą jadąc i walcząc na amerykańskim sprzęcie (układ *lend and lease*), alianci zapłacili niedrogo – dla siebie niedrogo – odstępując Stalinowi w posiadanie dziwaczną, *półcywilizowaną* strefę *Mitteleurop*y. Odpowiedź na pytanie o to, co stałoby się z naszą literaturą, gdyby uzgodnienia jałtańskie nie wpisały *Polski* w ramy sowieckiego imperium, wypadłaby mało pasjonująco: stajemy się częścią Zachodu w sposób niejako naturalny (*Polska zawsze należała do Europy...*), aczkolwiek trzeba by było przeskoczyć spory rów, który nas od wolnorynkowo-kapitalistycznej mentalności naszych przyjaciół dość wyraźnie oddziela, a który obecnie próbujemy niezdarne zasypywać. Ich bowiem ukształtowała, przez Maxa Webera ongiś opisywana, mentalność purytańskiego protestantyzmu, polegająca m.in. na etosie

dobrej, sumiennej, racjonalnie zorganizowanej pracy (*innerweltliche Askese*), nie na *szarzy ulańskiej* i temu podobnych *Somosierrach*.

Zapewne więc, nie całkiem upodobnilibyśmy się do Danii, Holandii, które zawsze były w Europie? Nasza literatura, wolna od cenzury i nacisków politycznych, poszłaby drogą bliższą piarstwu emigracyjnemu, kontynuowałaby może dyskretnie sugerowane wątki patriotyczne z lat okupacji (Baczyński, Gajcy)? Powiązane z doświadczeniami hitlerowskiego totalitaryzmu, Holokautu (*Pożegnanie z Marią* Borowskiego, *Medaliony* Nałkowskiej, Adolf Rudnicki) ale także z doświadczeniem łagrów i Katyńia (Herling-Grudziński)? A może powtórzyłaby okrzyk Skamandra: niech wiosnę, nie Polskę obaczę? Wreszcie (jakaś część?) poszłaby drogą chaotycznego lewactwa sartr'owskiego? Oplótkami amerykańskiej prozy pisarskich mistrzów Hłaski? A może conradowskiego

JAN PROKOP
ur. w 1931 r.,
krytyk i historyk
literatury, poeta,
eseista, autor
m.in. *Pisarzy
w służbie
przemocy* (1995).

etosu, o camusowskim posmaku (Herbert to poniekąd zapowiada)? Aczkolwiek taki etos najlepiej zakwita na glebie użyźnionej krwią i męczeństwem, łagami i obozami? A może zdarzyłoby się to wszystko naraz? Z pewnością oszczędzono by czytelnikowi *inteligentkich obrachunków* i półszczerzej spowiedzi literackich kolaborantów, najpierw bijących pokłony przed Stalinem, aby później bić się (jednym palcem?) w pierś...

Nie zabrakłoby jednak, podejrzewam, rozrachunków z Polską sanacyjną, z endeckim antysemityzmem, czasem zapewne ostrych, ale nie spaczonych prokomunistycznym podlizywactwem...

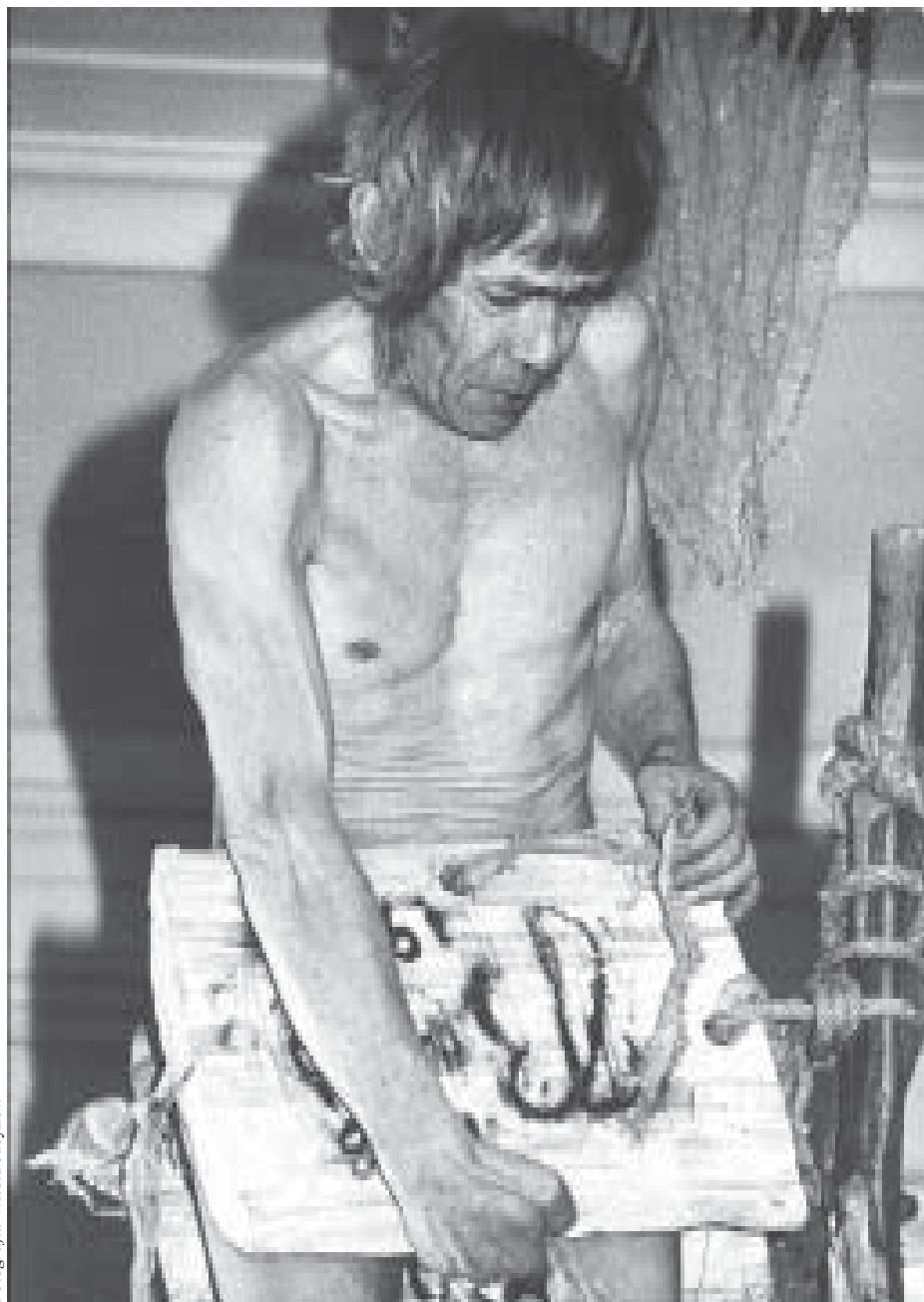
Wszakże bardziej mnie intrygują inne gdybania, dotyczące historii, o wyraźniejszych konsekwencjach w tę lub w tamtą stronę. Na przykład gdyby małopolscy panowie nie byli przymusili Jadwigi do poślubienia poganina i *dzikusa* Jagiełły, gdyby została, jak chciała, żoną Wilhelma i gdyby, zamiast wplątywać się w dość nieszczęsną *misję wschodnią*, Polska pozostała w sferze wyraźnie łacińskiego Zachodu, nie traciła energii na podbój i kolonizację Kresów (albo nazwijmy to wzniośle: nie podejmowała się cywilizowania i europeizowania terenów bizantyjskiego prawosławia, od Kijowa aż po Smoleńsk)? Już stańczycy (inaczej niż Szajnocha) utyskiwali nad marnowaniem sił na Wschodzie, co uwikłało nas w wielowiekowe konflikty z Moskwą, zmieszało z półazjatycką magnaterią litewsko-ruską (Radziwiłłowie, Potoccy, Wiśniowieccy etc.), wytrąciło z europejskiego, zachodniego obiegu, udziwaczało nasze losy (dominanta szlachty i magnatów, paraliż władzy centralnej), osłabiło bowiem rozwój

państwowości, popchniętej w bezkresne stepy Wschodu i w rezultacie wydało na pastwę trzech zaborców, Fryderyka, Katarzyny, Marii-Teresy?

Tymczasem mocna i światła Polska, głęboko zakorzeniona w Europie – ileż to mogło być zmienić w scenerii polityczno-ideowej Zachodu, od Lutra do Hitlera?

Albo jeszcze inne gdybanie: otóż, gdyby Francja (Clemenceau, Poincaré) nie wdeptała w błoto Niemiec powilhelmińskich, upokarzając Republikę Weimarską, przeciążoną kosztami wojennymi, i tym samym moszcząc drogę do władzy austriackiemu feldfeblowi z Braunau? Hitleryzm bowiem czerpał soki z niemieckich frustracji po klęsce roku 1918. Jakże inaczej postąpili Anglosasi i z Niemcami, i z Japonią po roku 1945, pozwalając im rozkwitnąć gospodarczo... Mili naszemu sercu potomkowie Napoleona w dodatku przyglądali się biernie – nie chcąc *umierać za Gdańsk* – jak Hitler miażdży Polskę, ogołociwszy swoją zachodnią granicę: prawie cały *Wehrmacht* zaangażował się nad Wisłą. Być może francuskie uderzenie na prawie pustą Nadrenię, wtedy właśnie, pozwoliłoby zdławić nazistowskie szaleństwo i oszczędzić światu pięciu lat najkrwawszych w historii zmagañ? Pociśmy się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło? Mefistofeles, zdaniem Goethego, to *ein Teil von jener Kraft, die stets das Böse will und stets das Gute schafft...* (część tej siły, która złego pragnie, lecz dobro czyni). Albo jeszcze inne przysłowie: *l'homme propose et Dieu dispose...* Czyli człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

Jan Prokop



JERZY BERES (ur. 1930, Nowy Sącz), jeden z najwybitniejszych artystów polskich. Uczeń Xawerego Dunikowskiego. Rzeźbę uprawia od roku 1956, a po roku 1968 również organizuje akcje artystyczne. Elementy etnograficznego i politycznego kontekstu towarzyszą zwykle jego pracom rzeźbiarskim i akcjom, w których rytualne działania odnoszą się do spraw polskich i kondycji człowieka. Artysta używa surowych materiałów, takich jak: kłody drewna, sznury, szmaty i kamień. Bezkompromisowy kontestator, autor zrealizowanej na plenerze w Osiekach w 1981 roku rzeźby pt. *Taczki wolności*.



Tomasz Gryglewicz
SZTUKA BEZ JAŁTY

Hasło „Jałta” rozumiem jako synonim przymusowej aneksji do obszaru komunistycznego i utratę suwerenności na rzecz Związku Radzieckiego. Bez Jałty Polska znalazłaby się pośród krajów demokratycznych i wolnorynkowych Europy Zachodniej i skorzystałaby z dobrodziejstw planu powojennej odbudowy, zwanego planem Marshalla. Jeśli chodzi o sztukę, nie ulegałaby ona kontroli cenzury politycznej i rozwijałaby się w sposób naturalny w kierunku awangardowym, równoległe do sztuki światowej. Nie byłoby okresu całkowitej izolacji sztuki polskiej od świata, kiedy to forsowano metodami przymusu administracyjnego socrealizm w latach 1949-1955, lub zamknięcia granic podczas stanu wojennego w latach 80. W okresach tych następowało zapóźnienie sztuki polskiej w stosunku do ewolucji sztuki światowej, jej prowincjonalizacja.

Bez Jałty nie byłoby trudności w nawiązywaniu kontaktów między polskimi środowiskami artystycznymi a centrami sztuki międzynarodowej. Wszyscy artyści polscy (a nie tylko ci akceptowani przez władzę komunistyczną) mogliby swobodnie podróżować i tworzyć za granicą, natomiast przebywający podczas wojny na emigracji twórcy (tacy jak np. Józef Czapski, Piotr Potworowski, Józef Jarema) powróciliby do kraju. Artysty awangardowi uzyskaliby należyte uznanie ze strony władz i nie byłoby krzywdzących wykluczeń, z przyczyn politycznych, z posad państwowych, takich jak usunięcie Tadeusza Kantora z krakowskiej Państwowej Wyższej

Szkoły Sztuk Plastycznych lub Władysława Strzemińskiego z łódzkiej, co stało się pośrednią przyczyną jego śmierci. I Wystawa Sztuki Nowoczesnej w Krakowie w 1948 roku, która trwałaby dłużej, rychło znalazłaby swoją kontynuację. Artysty z Grupy Młodych Plastyków (a późniejszej II Grupy Krakowskiej), tacy jak Tadeusz Kantor, Tadeusz Brzozowski, Jerzy Tchórzewski lub Andrzej Wróblewski – podobnie jak artyści innych środowisk – wcześniej o mniej więcej 6 lat włączyliby się do światowego ruchu abstrakcji niegeometrycznej, zwanej gorącą (informel, taszyzm, malarstwo gestu i pochodne). Dzięki temu Szkoła Polska w malarstwie zyskałaby światowy rozgłos, dużo większy niż w okresie po 1956 roku, kiedy nastąpiła odwilż polityczna i znowu pojawiła się możliwość wyjazdów do krajów Europy zachodniej oraz kontaktów, zawsze jednak kontrolowanych i limitowanych, ze światowymi centrami sztuki awangardowej. Wielu artystów młodszego pokolenia, takich jak Aleksander Kobzdej, Andrzej Strumiłło czy Wojciech Fangor nie musiałoby tracić czasu na bezpłodną twórczość socrealistyczną. Również w następnych dekadach polscy artyści byłiby w większym stopniu na bieżąco z aktualnymi tendencjami sztuki światowej, tworząc i wystawiając swoje dzieła wraz z międzynarodową czołówką artystyczną. Nie byłoby charakterystycznych opóźnień w stosunku do międzynarodowego ruchu artystycznego, podyktowanych różnego rodzaju utrudnieniami i szykanami ze strony władzy, na skutek czego polska awangarda artystyczna

Obok: **Tadeusz Kantor**, *Krzeseło*, rzeźba wys. 11 m, 1970-1995, Hucisko, Dom Twórczości Tadeusza Kantora i Marii Stangret-Kantor. *Fotografia* Grażyna Borowik



Reprodukcja album \u2122 Interpress Publishers, Warszawa, 1990

mimo wielu sukces\u00f3w nie wesz\u0142a do kanonu najnowszej historii sztuki \u015bwiatowej, pomimo, \u017ce nie przyj\u0119to w odr\u00f3\u017cnieniu od innych kraj\u00f3w tzw. demokracji ludowej sowieckiego modelu socrealistycznego i starano si\u0119 utrzymywa\u0107 sta\u0142e kontakty ze \u015bredowiskami zachodnimi. Do tego nale\u017cy jeszcze doda\u0107 inne niekorzystne ograniczenia, takie jak brak pe\u0142nego dost\u0119pu do materia\u0142\u00f3w artystycznych wysokiej klasy, trudno\u015bci w docieraniu do fachowej literatury, niemo\u017cno\u015b\u0107 szerszej partycypacji w \u015bwiatowych wydarzeniach wystawienniczych, co prowadzi\u0142o do poznawania nowych kierunk\u00f3w artystycznych nie bezpo\u015brednio w kontakcie z autentycznymi dzie\u0142ami, lecz za pomoc\u0105 nie najlepszych ilustracji katalogowych, docieraj\u0105cych do Polski wybi\u00f3rczo.

Zupe\u0142nie inaczej potoczy\u0142yby si\u0119 tak\u017ce losy powojennej polskiej architektury. Podobnie jak w sztukach plastycznych omin\u0119\u0142yby nas dobrodziejstwa okresu socrealistycznego lat 1949-1955. Nie powsta\u0142yby w\u0105tpliwe dzie\u0142a architektury socrealistycznej, takie jak Nowa Huta lub Pa\u0142ac Kultury i Nauki oraz MDM w Warszawie. Zniszczona Warszawa zosta\u0142aby bardziej systematycznie odbudowana z poszanowaniem przedwojennej tkanki urbanistycznej i w\u0142asno\u015bci dzia\u0142ek oraz grunt\u00f3w. Natomiast rozbudowa nast\u0105pi\u0142aby w nowoczesnej, awangardowej formie architektonicznej. W powstawaniu nowej Warszawy mog\u0142yby partycypowa\u0107 zaproszeni czo\u0142owi architekci nowocze\u015bni polscy i zagraniczni.

Trudno szczeg\u00f3\u0142owo odpowiedzie\u0107 na pytanie o losy sztuki polskiej, gdyby

SZTUKA BEZ JAŁTY

Polska nie znalazła się w orbicie wpływów Związku Radzieckiego i systemu komunistycznego na skutek ustaleń jałtańskich. Powyższe ogólne konstatacje prowadzą do wniosku, że podobnie jak w przypadku innych dziedzin życia: w polityce, gospodarce, nauce, technice czy literaturze, również i w sztuce ograniczenie suwerenności państwowej, narzucenie obcych wzorów politycznych

i gospodarczych, izolacja od świata zachodniego nie mogły przynieść innych skutków niż negatywne. To, że sztuka polska mimo istotnych utrudnień rozwijała się i mimo wszystko miała swoje osiągnięcia, pozostaje zasługą środowisk artystycznych, które aktywnie walczyły o swoje prawo do autentycznej i swobodnej wypowiedzi.

Tomasz Gryglewicz

Fronton Muzeum Narodowego w Krakowie

Fotografia Grażyna Borowik



Fotografia Elzbieta Lempp



Alina Madej NASZA MALEŃKA, KINEMATOGRAFICZNA JAŁTA

W drugiej połowie lat trzydziestych systematycznie narastało powszechne niezadowolenie z niskiej wartości produkowanych w II Rzeczypospolitej filmów. Mniszkówna... i co dalej? – pytano dramatycznie w prasie filmowej, nie licząc znanym na rzeczową odpowiedź, bo po prostu nie miał kto jej wtedy udzielić. Pod względem rozwoju sieci kin i małej infrastruktury przemysłu filmowego przedwojenna Polska zajmowała mało zaszczytne miejsce w europejskich statystykach, lokując się w pobliżu ostatnich miejsc, więc rzeczywiście było się czym martwić. Twórcy filmowi – nawet ci bardziej ambitni – czuli się niewolnikami gustów i upodobań widowni, którą z lekka pogardzali, lecz asekuracyjnie poddawali się presji producentów, uważających się z kolei za najbardziej kompetentnych rzeczników elementarnych praw i interesów bywalców kin. Cenieni przez właścicieli kinoteatrów aktorzy podpisywali z producentami umowy, które nie zmuszały ich do nadmiernej pracy na planie filmowym i pozwalały im powielać na ekranie filmowym sprawdzone gdzie indziej „numery”. Władze (państwowe i lokalne) uwa-

żały kina za jedną z gałęzi przemysłu rozrywkowego, który w tamtych latach obciążony był niemiłosiernie podatkami, więc dbały tylko o fiskalne regulacje oraz „moralne zdrowie narodu”. Tymczasem w ościennych państwach już dawno dostrzeżono i doceniono propagandową siłę sztuki filmowej, którą tuż przed wybuchem wojny i w trakcie jej trwania władze III Rzeszy i ZSRR włączyły w swe ideologiczne instrumentaria. Wtedy też umocniło się w środowisku twórczym przekonanie, iż tylko mądra i dalekowzroczna polityka państwa może wzmocnić rodzimy przemysł filmowy i zmienić jego manufakturowy charakter, który – jak sądzono – jest główną przyczyną niskiej pozycji kina w ówczesnej kulturze. Jakby to nie brzmiało dziś cynicznie, na pięć lat problem rozwiązali Niemcy, likwidując polską kinematografię i podporządkowując repertuar kin własnym gustom.

W 1944 roku linię Bugu przekroczyła, wraz z Armią Czerwoną, Czołówka Filmowa Wojska Polskiego. Skupiała ona tę część przedwojennego środowiska filmowego, która z różnych powodów nie opuściła „gościnnej ziemi radzieckiej”,

jak potem chętnie pisano, wraz z analogiczną jednostką, utworzoną w armii gen. Andersa. Trudno dzisiaj orzec z pełnym przekonaniem, że był to wybór *stricte* polityczny, ale nie da się też całkowicie wykluczyć takich jego znamion. Na wyzwoleńców spod niemieckiej okupacji terenach grupa ta przystąpiła do intensywnych działań, którym sprzyjał wyraźnie już rysujący się pojałtański podział Europy. Celem tych gorączkowych zabiegów była radykalna reforma polskiej kinematografii, mającą ją uchronić przed odrodzeniem się przedwojennych układów i praktyk produkcyjnych, czyli przed prywatną, a nawet społeczną inicjatywą. Jednakże w 1945 roku owym filmowym rewolucjonistom, którzy przecież obserwowali funkcjonowanie znacjonalizowanej w latach trzydziestych kinematografii radzieckiej, zabrakło wyobraźni.

Zaczęto więc od nieformalnego, ale szybko zaakceptowanego przez PPR/PZPR upaństwowienia wszystkich sektorów kinematografii: produkcji, dystrybucji i eksploatacji. Wskutek tak nieoczekiwane obrotu spraw wielu cenionych przed wojną fachowców wybrało emigrację, gdyż etatystyczny system nie gwarantował swobody działań i ich rynkowej weryfikacji. Te pochośnie wtedy podjęte decyzje w istotny sposób zacięły na artystycznym kształcie całej powojennej sztuki filmowej, której katalog składa się głównie z filmów nieoglądanych, niechcianych i nikomu niepotrzebnych. Dobre filmy, o których chętnie pisze się w historycznofilmowych opracowaniach, okazywały się nierzadko przejawem nielogiczności systemu, aberracyjnego charakteru jego mechanizmów, które tłumili prawdziwie twórcze zamie-

rzenia, ale zezwalały na produkcję chybionych, acz preferowanych przez władze projektów.

Wraz z upaństwowieniem kinematografii w 1945 roku – prawdę mówiąc, zupełnie w tych latach zbędnym – zaczęły też rozwijać się groźne w artystycznej działalności procesy autocenzuralne. To właśnie dzięki ich stopniowemu utrwalaniu się widz polski stale obcował z ekranowymi stereotypami, które przez kilka dziesięcioleci wpływały na kształt zbiorowej wyobraźni. Nie można więc było zobaczyć ani Niemca, który nie był zadeklarowanym hitlerowcem, ani barbarzyńskiego czerwonooarmisty, ani prostytutki z upodobania uprawiającej swój zawód, ani przekupnego milicjanta itp. W komediach, które teoretycznie pozwalały twórcom na większą swobodę, widz obcował z nieudacznikami, z którymi miał pełne prawo utożsamić się. W żadnych sondażach opinii publicznej, poświęconych pamięci PRL, które z upodobaniem przeprowadza się w ostatnich latach, nikt nie zapytał respondentów, skąd czerpią swe przeświadczenie na temat tamtych czasów. Gdyby wywodziły się one z filmów – nie byłoby powodu dziwić się tym bulwersującym czasem sentymentom.

Ale mimo wszystko nie dajmy się zwariować. W dziedzinie kinematografii nie jest bowiem wykluczone, że w 1945 roku wszystkie strategie produkcyjne zostałyby spontanicznie podporządkowane aktualnym trendom politycznym, bo sztuka filmowa jest przede wszystkim wielkim przemysłem, który wymaga ciągłych inwestycji. Już przed wojną państwo uchodziło za najhjojniejszego mecenasa i trzeba było tylko znaleźć sposób,

NASZA MALEŃKA, KINEMATOGRAFICZNA JAŁTA

aby czerpać z jego finansowych zasobów. Co prawda, po zakończeniu wojny miast stale przerabianych wersji *Robinsona warszawskiego*, którego scenariuszowy projekt zgłosili Andrzejewski z Miłoszem, ówczesna publiczność mogłaby obejrzeć rzetelny odpowiednik *Pianisty* Romana Polańskiego, ale też łatwo sobie wyobrazić w jaki sposób ówcześni reżyserzy, nawet

nie poddani pojałtańskiej przebudowie mentalności, mogliby potraktować temat, który przerastał filmowe sztampy, stanowiące ich niekwestionowane królestwo. Co więcej: w sferze kinematografii wszystko przebiegłoby tak samo, tyle że z niewielkim opóźnieniem, ale przecież odroczenie wyroku niczego by nie zmieniło.

Alina Madej

ALINA MADEJ historyk filmu, pracuje w Instytucie Nauk o Kulturze UŚ, ostatnio wydała *Kino. Władza. Publiczność. Kinematografia polska w latach 1944-1949* (2002).

Rysunek Aleksander Pieniek





Reprodukcja dzięki uprzejmości Fundacji im. Tadeusza Kantora



LESŁAW i WACŁAW JANICCY, aktorzy teatru T. Kantora Cricot2

Fotografia Elżbieta Lempp

Obok: Odsłonięcie *Rzeźby-Krzesa* Tadeusza Kantora, Hucisko, 8 grudnia 1995

Fotografia Marta Piskorz

Zaginione biografie

... Inny czołowy przed wojną krytyk literacki związany z prawicą, Jan Emil Skiwski (1894-1956), stanął jesienią 1945 roku przed sądem oskarżony o kolaborację z Niemcami. Nie była to wówczas jedyna tego typu sprawa (przypomnijmy proces tzw. grupy „Widnokręgów”, w którym na kary więzienia w zawieszeniu skazano m.in. M. Jastruna, J. Przybosia, A. Ważyka), ale wywołała burzliwą i interesującą dyskusję – wzięli w niej udział m.in. J. Mackiewicz, A. Bobkowski, J. Andrzejewski, G. Herling-Grudziński, Z. Nałkowska

– na temat nie tylko racjonalności postawy Skiwskiego, ale też zachowań inteligencji polskiej w czasie II wojny. Sam Skiwski został w 1947 roku skazany na 5 lat więzienia, które opuścił po ułaskawieniu przez Prezydenta RP w 1950 roku.

Jeszcze w czasie trwania procesu bronił swej postawy w szeregu broszur (m.in. *Między Żydami, Rosją i Niemcami*, 1945; *Przełom, którego nie było*, 1946). Rozgłos przyniosła mu napisana jeszcze w czasie wojny, niewydana wówczas na skutek nacisku władz Polski Podziemnej po-

wieść *Czad* (1947). Jej skandalizująca fabuła, opowiadająca o romansie rodzeństwa, posłużyła Skiowskiemu za pretekst do krytycznej analizy postaw przedwojennej inteligencji oraz wywodzącej się z chrześcijaństwa moralności. Krytyka uznała *Czad* za jedno z reprezentatywnych dzieł nurtu tzw. rozrachunków inteligentkich. Z dzisiejszej perspektywy ważniejsza wydaje się jednak esydyka Skiowskiego, przede wszystkim zbiór *Flaki i marzenie* (1951), poświęcony najnowszej literaturze francuskiej (m.n. Celine'owi, Genetowi, Cioranowi, Camusowi, Drieu la Rochelle, Beckettowi, Sartre'owi) oraz jego książka o Lwie Szestowie z roku 1954, którego zresztą tłuma-

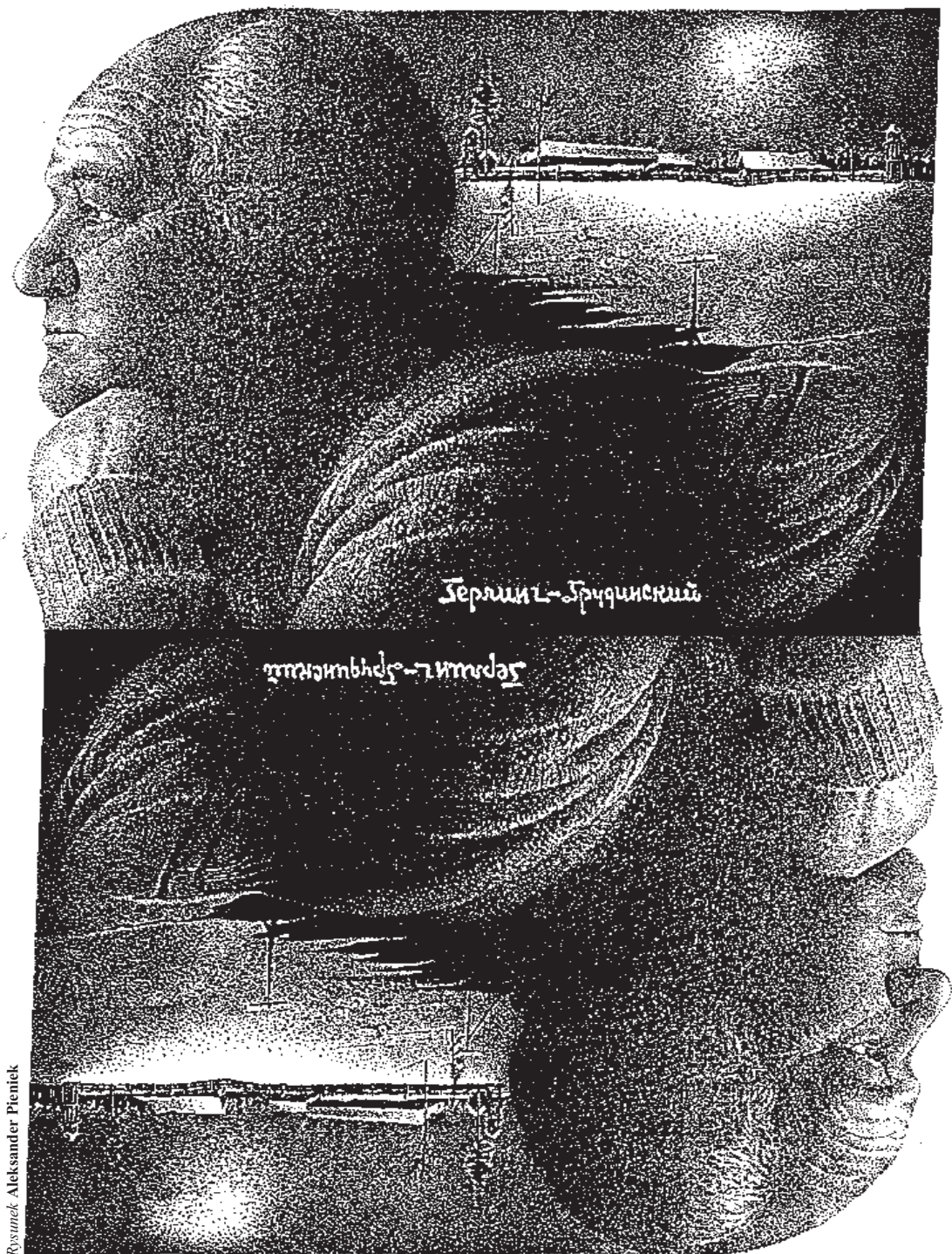
czył. Książki te współtworzyły nurt „egzystencjalistyczny” w literaturze polskiej lat 50. Ważne miejsce w jego dorobku zajął też zbiór szkiców politycznych *Solidaryzm europejski* (1950), w których wspierał ideę zjednoczonej Europy, oraz broszura *Niemiec, mój bliźni* (1945), w której jako pierwszy wystąpił z ideą pojednania polsko-niemieckiego.

W latach 50. Skiowski współpracował przede wszystkim z miesięcznikiem „Twórczość” (powstał w 1945 roku, jego redaktorem był K. Wyka) oraz z reaktywowanym w 1947 roku tygodnikiem „Polityka”, redagowanym przez Jerzego Giedroycia.

MACIEJ URBANOWSKI



Fotografia Grażyna Borowik



Rysunek Aleksander Pieniek

Kilka haseł z encyklopedii LITERATURA POLSKA Wydawnictwa Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa 2010.



Giedroyc Jerzy – redaktor naczelny pisma „Polityka”, ukazującego się od 1947 roku, redagowanego w Magdalence pod Warszawą (edycje w języku litewskim, ukraińskim, rosyjskim i białoruskim), związanego z działającym tamże Instytutem Wschodnim. W latach 1968-1972 minister spraw zagranicznych, ostro krytykowany przez nurt katolicko-narodowy za lansowanie idei federalistycznych. Zdymisjonowany w atmosferze skandalu i wybuchu hysterii antymasońskiej powstałej na skutek prowokacji politycznej (ujawnionej i zdemaskowanej 3 lata później), wycofał się z czynnego życia politycznego.

Miłosz Czesław – poeta, debiutował w dwudziestoleciu międzywojennym, po wojnie początkowo w służbie dyplomatycznej (placówki w USA i Kanadzie), powrócił do Polski w 1951 roku, a następnie, zniesmaczony bogoojczyźnianą atmosferą, brakiem uznania i otwartą krytyką, zarzucającą mu niedostatek uczuć patriotycznych, wyemi-

grował do Kanady. Tam przeżył 30 lat w całkowitej izolacji, chwając ostry klimat sprzyjający precyzji intelektualnej i nie włączając się w życie kulturalne Polonii, które zawsze uważał za odstręczające i karykaturalne. Pracował w banku na podrzędnej posadzie, jednocześnie pisząc poematy mistyczne: *Giordano Bruno* (epicka opowieść teologiczna wierszem 12-zgłoskowym w 7 pieśniach), *Stanze Augustiańskie* i *Traktat teologiczny* (w 12 księgach), a także eseje *Twarze Troglodytów*, będące zjadliwą krytyką różnych postaw polskiej inteligencji a zwłaszcza jej chorobliwej rusofobii. W Polsce jego twórczość stopniowo zaczęła być ceniona w kręgach elity artystycznej począwszy od lat osiemdziesiątych.

Kisielewski Stefan – kompozytor, autor niezbyt cenionych dzieł symfonicznych.

Herbert Zbigniew – poeta, autor prześmiewczych wersji mitów śródziemnomorskich. W swojej twórczości



Rysunek Aleksander Pieniek

przeciwstawiał się skostnieniu kanonu klasycznego, poszukując żywych wersji mitologii, opozycyjnych wobec hierarchicznych zapisów i przekazów tradycji. W cyklu poetyckim *Pan Fugito* przedstawił współczesnego człowieka jako indywidualistę i sceptyka.

Andrzejewski Jerzy – prozaik katolicki. W swoich powieściach z późnych lat czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych stawiał problem odpowiedzialności jednostki, zła, podejmując ocenę II wojny światowej jako kryzysu kultury europejskiej formułował hasło odnowy moralnej i budowy nowej Europy jako Wspólnoty Narodów opartej na wymianie kulturalnej, co w istotny sposób ukształtowało idee Unii Europejskiej. W latach sześćdziesiątych w jego twórczości pojawiają się nuty zwątpienia w szanse utrwalenia wartości wobec rozwoju masowej konsumpcji i ekspansji kultury popularnej. Alarmistycznym ostrzeżeniem towarzyszy poczucie klęski i rozczarowania wobec nastawionej na budowanie dobrobytu powojennej Europy, jednocześnie wzmocnieniu ulegają indywidualne poszukiwania mistyczne (powieść *Wieża Babel* uważana za jeden z pierwszych utworów postmodernistycznych w Polsce). Następnie Andrzejewski przechodzi załamanie nerwowe i kryzys wiary, którą odzyskuje pod koniec życia pod wpływem charyzmatycznego ojca Kołakowskiego. Złożony chorobą, w przeczuciu śmierci pisze swoje największe dzieło, *Lament Mamertyński*, będący wyznaniem człowieka błędzącego a jednocześnie namiętnie poszukującego prawdy, porównywany z Pascallem i św. Augustynem. Od kilku lat ponawia-

ne są próby beatyfikacji pisarza, choć Kongregacja do Spraw Wiary odmawia, powołując się na niewyjaśnione wątki życiorysu i nieakceptowaną przez Kościół działalność Bractwa Kuroniowego, któremu patronował.

Borowski Tadeusz – autor opowiadań oświęcimskich. Po ich sukcesie dręczony niemocą twórczą. W latach pięćdziesiątych główny przedstawiciel powojennego egzystencjalizmu (inspiracje francuskie, zwłaszcza Camus). Następnie, ostro skrytykowany dotychczasową własną twórczość, wraz z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim pisze serię groteskowych szopek warszawskich utrzymanych w tonacji pure-nonsensowego humoru i wykpiwających mistyczne ciągoty pisarzy. Zginął w 1976 roku przejechany przez ciężarówkę z kapustą (co wielu wyznawców potraktowało jako spełnienie się przepowiedni Gałczyńskiego i zapoczątkowało interpretację katastroficzną ostatniej fazy jego twórczości por. katastrofizm absurdałny).

Szyborska Wisława – pisała w młodości wiersze, ale nie zdołała się przebić, przytłumiona duszno-mistyczno-egzystencjalną atmosferą środowiska intelektualnego. Autorka popularnych rebusów (drukowanych w „Szutku” lwowskim) i kupletów (uwaga: niektóre nieprzyzwoite). Obecnie na emeryturze rozwija oryginalny kierunek wycinankarstwa nieludowego.

Co było, nie było, a mogło być inne, i tylko, że nieziszczone, dlatego niewinne.

Anna Nasiłowska

ANNA
NASIŁOWSKA
ur. w 1958 r.,
zajmuje się
krytyką literacką,
historią literatury,
pisze prozę,
ostatnio wydała
tom *Księga
początku* (2002).

Janusz Szuber

Spiskowcy z sanockich gór

Pożerany zachłannym płomieniem sobótkowego ognia,
Wsluchujący się w pasterskie ligawki
N.N. – uczestnik oczyszczającego obrzędu
Na Ostrej Górze albo w dolinie Rzepedki.

No bo kim, na miłość boską, tak naprawdę jestem,
Tu i teraz wysyłając maile do przyjaciół za oceanem,
Kiedy na wszystkich ekranach globu
W tym samym błysku eksplodują wieżowce World Trade Center,
Kończy się historia i zaczyna poczwówiecza era.

Ja on każdy gdziekolwiek,
W połowie dziewiętnastego wieku na przykład,
Kiedy spiski szeptane po szlacheckich gospodach
I *Chrystus na puszczy* Juliana Gosłara
Z sanockiej drukarni Karola Pollaka.

Albo z bezdomnym poetą
W łóżku hojnego mecenasa składając sonet
O włosach upiętych wysoko, ja – N.N. uzurpator
Na śliskim igliwiu z kluczem do oznaczania roślin
Przy królewskiej studni.

JANUSZ SZUBER, ur. 1948, poeta, eseista, autor m.in. tomu *Biedronka na śniegu* (1999).
Wiersz wejdzie do najnowszego wyboru liryki Janusza Szubera pt. *Lekcja Tejrzejjasza i inne
wiersze wybrane*, który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Literackiego.

KRZYSZTOF LISOWSKI, ur. 1954, ostatnio wydał tom *Stróża. Wiersze ze światła*. (2002). Wiersze wejdą do książki pt. *Feng shui dla bezdomnych*, która ukaże się w najbliższych miesiącach w Wydawnictwie Literackim.

W sobotę (poza domem)

cmentarzyska papierów
telefony od nikogo
entuzjizm kosza na śmieci
feng shui dla bezdomnych

czujesz niewygodę takiego życia

tak

listopad 2002

Niż nad Wenecją

z wczorajszego komunikatu meteorologicznego

niż stoi nad Wenecją
niż nad Adriatykiem
niż na świętym Markiem
Boża łza nad kamykiem

niż nad snem listopada
niż nad ogrodami
niż nad ciemnym czasem
nic stoi nad nami

2003



Requiem Mozarta

„Rozpacz Mozarta w Requiem...”
Adam Zagajewski

jeśli własne życie ktoś uczyni ci
obcym
wtedy *Requiem* staje się pogodne

słuchane nocą
odsluchiwane rano
przed wyjściem w
codzienne znużenie
staje się zgodą na odlot anioła

tam przyjaźnią się ciemne głosy wieczornych ptaków
chóry mówiących Nie
zdarzenia które się nie odstaną

i
nigdy
nigdy nie ubywa srebrnych łąk

to ich brzmienia słuchamy

21 listopada 2002



Fotografie Grażyna Borowik

Ballada o szczerym mieście

Jest miejsce zamknięte,
w Warszawie bez wiary,
w szczerj Warszawie
otwartej przez wojny.

Dziedziniec przy ulicy
między kościołem a klasztorem,
ukryty za staromiejskim murem
nowym, powojennym.

Trawa między kamieniami bruku,
pośrodku akacja
starsza od nowych murów,
od uprzątniętych ruin.

Obmurowano dawną przestrzeń.
Co tu było? Kto tu był?
Nowa przestrzeń nie musi wiedzieć –
pomodliła się dawna.

Ten dziedziniec zachował siebie
bez murów – samą pustkę.
Tutaj jest wiara spokojna
cichego powietrza.

Co tu było? Kto tu był?
W podcieniach ksiądz chodzi
brewiarzem znużony. Zakonnice
odcięły dziedziniec domofonem.

Miejsce zamknęło się na swoje szczęście
i nic nie wie o moim nieszczęściu.
Domofon nie rozmawia jak rozmównica.
Domofon gada jak ściana.

Nie mam pretekstu religijnego
do zagadania przez mikrofon
i prośby o wejście. Żeby tam być
mam tylko wiarę, że to tam jest.

Niechby trawa rozsiała młodość
a bruk nierówny niechby prawdę mówił.
Ale to jest miejsce zatrzaśnięte
przed postronnymi włóczęgami.

Byłem tu dawniej kilka razy
i to musi wystarczyć,
skoro Warszawa kiedyś była
i to musi wystarczyć.

Metro

Linie metra rysował przed wojną prezydent Starzyński
Zginął marzyciel
Po wojnie to miał być schron przeciwoatomowy
Dla ofiar stalinowskiej wyspekulowanej wojny
Tunel był i nie był zaczynany i zasypywany
Jak świat od początku do krwawego pokoju

Tam gdzie niedawno nie sięgało miasto
Zgrzyta widmo piachu między obcasem a granitem peronów
Miasto doczekało rzeczywistości
Ani płytko ani głęboko wydrążono tunel
Brak pieniędzy na linie skrzyżowane mieścimy się w jednej linii
Na planie jest piękna w myślach piękniejsza
Linia podziemia otrząsa się z piachu z ulic
Starannym głosem spiker odróżnia identyczne przystanki
Abstrakcja linii ukrywa się w ludziach
Odcinki czasu siedzą w wagonach
To życie patrzy w oczy tamtemu

Każde miasto ma w metrze inny przeciąg
W Warszawie to jest bezbarwny huk czasu
Tampon na długą ranę żeby się zgoiła

* * *

Miałem dojechać autobusem na plac śródmiejski,
zagapiłem się, przepuściłem przystanek
i zjechałem w dół boczną ulicą, wysiadłem daleko.
Wracałem pieszo pod górę, skrótem przez wąwóz.
Ostatnim razem byłem tu w dzieciństwie.

(Podobnie zaczyna się
Poemat dla dorosłych Adama Ważyka, dziwne skamlenie
pięćdziesięcioletniego szczeniaka, który przywłókł się
do miejsc urodzenia, żeby od nowa, lepiej,
dorość... Zawsze to mnie bardziej przejmowało
niż p o w o d y, cała ideologia.)

Ostatnio byłem tu w dzieciństwie –
w prehistorycznym ziemnym raju
wciętym w miasto jak strzała Indianina.
A teraz, póki nie zbudują tu czegoś super,
grzebią się kloszardzi, samych siebie
w tym wąwozie oporządzają
jakby byli wykopaliskiem.

Przy górnym wyjściu minęło mnie dwóch,
właściwie to ja musiałem ich wyminąć,
tak, brzydko się wyrażali,
tak, w mózgach mieli dziurym –
ale nie pod nogami! Tylko oni czują jeszcze
i asfalt tego miasta i jego ziemię.

(Trzy lata po napisaniu tego wiersza
zbudowano tu
a p a r t a m e n t o w c e.)



Rysunek Aleksander Pieniek



CZYTANE
UWAŻNIEJ

Dorota
Wojda

Rymkiewicz encyklopedia „Tego nie ma na świecie”?

Jarosław Marek Rymkiewicz,
Leśmian. Encyklopedia,
Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2001.

Rymkiewicz, *Kilka szczegółów*
Kocham panią,
księżniczko Łucjo,
za pani miłość
do szczegółów.

Barthes, *Fragmenty dyskursu miłosnego*
(Choć wypowiedziane miliardy razy,
kocham-cię jest pozasłownikowe;
jest figurą, której definicja nie może
wykroczyć poza hasło).

W roku 1979 odbyło się sympozjum poświęcone mistycznej twórczości Słowackiego, w którym wziął także udział Jarosław Marek Rymkiewicz. Powiedział on wówczas: „tak być nie może, tego nie ma na świecie” – ustosunkowując się w ten sposób do popieranej przez Marię Janion idei „encyklopedycznego” wydania *Króla-Ducha*. *Roland Barthes* – argumentowała Janion – swoim *Fragments d’un discours amoureux* (...) nadał porządek encyklopedyczno-alfabetyczny po to, by usunąć ukrywającą się w jakimkolwiek innym porządku nie tylko sugestię, ale wręcz przemoc jedności. To właśnie likwidacja „przemocy jedności” wydała się autorowi *Juliusz Słowacki pyta o godzinę* projektem, którego urzeczywistnienia „być nie może” – mogącym prowadzić do semantycznej anarchii, a w gruncie rzeczy niemożliwym do realizacji.

Na etapie pisania monografii o Słowackim zaprowadzanie „ludzkiego porządku” było dla Rymkiewicza tyleż etyczną powinnością, co nieuchronną, a przez to niepokojącą kolejną zdarzeń. Aby zapewnić tożsamość zarówno kulturze, jak i własnej podmiotowości – wskazywał nowoczesny klasycysta – trzeba budować układy porządkujące rzeczywistość, z drugiej zaś strony nie można wyzbyć się obaw spowodowanych świadomością, że „nie ma na świecie” dyskursu wolnego od mechanizmu kategoryzacji. Bohater *Jeśli nie istnieje* dostrzega swoje ograniczenie mnogością znaków i przypuszcza, że „chaos / Oraz porządek są tylko słowami / Których używa chaotyczny umysł / Pragnąc w umyśle wprowadzić porządek”. Uznając zasadność takiej diagnozy, Rymkiewicz postanawia, aby mimo wszystko nadawać słowom sens poprzez ich dialogiczną konfrontację. Bolesława Leśmiana włącza do takich dialogów niezwykle często i niemal od początku swojej twórczości, prowadząc z nim dyskusję jako z personą wiersza (np. *Pamięci B. L.*) czy też zestawiając jego poetycką wypowiedź z głosami innych pisarzy (np. „*Odczłowieczając duszę*”. {„*Topielec*” *Bolesława Leśmiana na tle porównawczym*}). Zwieńczeniem, a zarazem przewartościowaniem „sensotwórczych rozmów” z autorem *Łąki* stała się *Leśmian Encyklopedia*. Sam układ, jakiemu została podporządkowana – budzący kiedyś opór Rymkiewicza – pozwala domyślać się, że poetyka tych „rozmów”, określający ją światopogląd, a i wyłaniający się z nich wizerunek Leśmiana musiały na przestrzeni lat ulec metamorfozie.

Przedstawiając genezę swej ostatniej prozatorskiej książki, Rymkiewicz

stwierdza, że zaczęła się od pomysłu formalnego – że postanowił „jeszcze jako wykorzystać” wypracowaną na użytek *Mickiewicz. Encyklopedii* formę leksykonu, i przy jej pomocy odtworzyć „fragmenty życia Leśmiana”. Gatunek uznawany za syntetyczno-naukowy modyfikował Rymkiewicz, zanim jeszcze wpłynął, jako jeden ze współautorów, na kształt mickiewiczowskiej encyklopedii – w szczególny sposób, projektujący złożoną grę między różnymi porządkami znaczeń, opracował hasła do *Słownika literatury polskiej XIX wieku* oraz rozdziały *Skamander* i *Kwadryga* w syntezie *Literatura polska 1918-1975*. Wyraźniej jeszcze owa gra ujawniła się w tych książkach, które od początku do końca napisane zostały przez Rymkiewicza, a więc w pełni mogły stać się autorskimi encyklopediami. Bo są nimi przecież i *Rozmowy polskie...*, i *Umschlagplatz*, i *Znak niejasny, baśń półżywa*, dalekie od dyskursu naukowego, ale bliskie, choćby poprzez swój drobiazgowy opis, enumeracyjnej formie leksykonu. Późne utwory Rymkiewicza oczywiście różnią się od klasycznych słowników rzeczowych, re-alizujących paradygmat wyznaczony przez Wielką Encyklopedię Francuską, zarazem jednak, co ewidentne jest zwłaszcza w encyklopediach mających układ haseł, poświęconych Mickiewiczowi i Leśmianowi, korzystają z ich formuły, aby poddać ją przetworzeniu oraz wyzyskać do własnych celów. Jednym z tych celów jest krytyka takiego modelu literatury i wiedzy o literaturze, który zakłada możliwość obiektywnego poznania faktów, tożsamego z poddaniem ich władzy Rozumu – autotelicznie ujmowanej Literackości oraz jej Interpre-

tacji, i którego wzorcową figurą jest właśnie encyklopedia. W szczególności zaś – *Słownik rozumowany nauk, sztuk i rzemiosł*, przedsięwzięcie metajęzykowe podnoszące wymiar metajęzyka do rangi jedynej rzeczywistej nieśmiertelności, będące więc totalnym projektem epistemologicznym.

Dla twórcy *Leśmian. Encyklopedii* taka definicja sztuki, jaką sformułował Diderot („zespół i układ techniczny reguł” służący rozumowi do wyrabiania ponadczasowych przedmiotów) zawsze była nie do przyjęcia, przy czym Rymkiewicz z lat 90. to pisarz, dla którego uchylenie władzy kategoryzującego rozumu okazuje się nie tylko pożądane, ale i możliwe. W opublikowanych w „*Twórczości*” (1993) komentarzach do Pisma Świętego, pisząc o nieusuwalnym zanurzeniu Słowa w interpretacjach kulturowej pamięci, wskazuje Rymkiewicz wagę ewangelicznego pocieszenia: *jeśli Bóg chce, żebyśmy byli wolni i żeby nie było dla nas nic niemożliwego, to może chce także, żebyśmy usłyszeli i zobaczyli; bo właśnie to jest niemożliwe*. Kondycję człowieka opisuje teraz autor *Przez zwierciadło* jako „rzucenie” w „tutejszy” świat, *mowa Boga – pisze – przedziera się ku nam przez nasz język: i staje się w nim niejasna, kontradyktoryjna, niepojęta*. Zgodnie z taką wykładnią tekst może zostać przestrzenią, w której rozum, rozpoznając swe ograniczenia, uczyni siebie dostępnym dla tego, co od niego różne.

Takie właśnie „miejsce prześwitu” Rymkiewicz pragnie otrzymać i ofiarować innym w postaci leśmianowskiego leksykonu. A zatem krytyka encyklopedii jako figury epistemologicznego dyskursu dokonuje się tu niejako „przy oka-

zji”, na marginesie pierwszorzędnej intencji pisarskiej. Rymkiewicz pragnie przede wszystkim, abyśmy za pośrednictwem jego kontradyktoryjnej opowieści „usłyszeli i zobaczyli” wszystko to, o czym mówią świadectwa na temat „tutejszej” egzystencji konkretnej osoby – właściciela futra z fokowym kołnierzem, miłośnika ruletki, kochanka i poety – bo tylko w niej objawia się prawdziwa wiedza o autorze *Łąki*. Encyklopedia nie stanowi dla Rymkiewicza porządku, który jako jedyny ma możliwość uchylenia „przemocy jedności”, wręcz przeciwnie – ponieważ aspiruje ona do ogarnięcia „wszystkiego”, bardziej niż jakakolwiek inna forma ujawnia epistemologiczną niemoc tekstu. Nie zamierzam odrzucać *Dzieła Rozumu* – zdaje się mówić wpisane w tę szczególną syntezę „ja” – bo jest to dla mnie niewykonalne, ale w samym jego ukoronowaniu, w hasłach „rozumowanego słownika”, dokumentuję realizację „niemożliwego” – poświadczam istnienie Leśmiana.

Z tej między innymi przyczyny, że Rymkiewicz nie odrzuca klasycznej formuły leksykonu, lecz poddaje ją konstruktywnej rewaloryzacji, tworzy tekst różniący się także od kontr-encyklopedii, jaką jest nowoczesna sylwa. W tekście tym nieobecna jest zarówno epifania transcendencji, jak i przytłaczające lub euforyczne doznanie jej braku – o świecie mówi się tutaj, że istnieje, nie zaś, czy i jak istnieje. Rymkiewicz do minimum ogranicza zatem autotematyczne komentarze, ukazując jedynie swój stosunek do interpretacji, za którą kryje się – jak sądzi – brak przyzwolenia rozumu na istnienie tego, co musi pozostać nieprzedstawialne. Swoistość *Ency-*

klopedii ujawnia się poprzez porównanie jej z sylwicznymi „elementarzami”. Zarówno kolekcję leśmianowską, jak i abecadło Miłosza zamykają, może nieprzypadkowo, hasła o identycznym tytule, *Znikanie*, podejmujące ten sam, zasadniczy dla obu leksykonów temat: relacji łączącej „ja”, pamięć i tekst z ocalanym przed niebytem istnieniem. U Miłosza ludzie i miejsca trwają, dopóki ożywiane są pamięcią „ja”, a więc to ono zajmuje pozycję centralną. Zakończenie książki jest bezpośrednim do niej komentarzem, obrazującym pozytywny wymiar tekstu jako rezultat jego możliwości i ograniczeń. U Rymkiewicza zaś to Leśmian wyznacza porządek pamięci, a więc to jego osoba jest najważniejsza. Końcowe hasło na drugim dopiero planie określa charakter encyklopedii – nie eksponuje znaczenia jej samej, ale wagę utworów Leśmiana; właśnie w tym celu, aby ukazać, że jeśli w tekście dokonuje się ocalenie przed nicością, to nie dzięki jego własnej inwencji.

Leśmian. Encyklopedia – jako oczekiwanie na suwerenną decyzję opisywanego istnienia – to taka więc *varietas* enumeracji, która nie „posługuje się równaniem, aby zbudować szereg”, ale posługuje się szeregiem, aby przewartościować równanie – aby w tym, co zdaje się katalogiem egzemplarzy, dostrzec kolekcję unikatów. Hasła *Alassio*, *Concarneau* czy *Hrubieszów* wyznaczają tego rodzaju zbiór Leśmianowskich miejsc zamieszkania, który nie ma ucieleśniać pamięci „ja”, zwracać uwagi sam na siebie ani też budować ogólnej kategorii, ale tworzyć – mówiąc językiem autora *Łąki* – „umieszczkę dla trwania”: tekst pozwalający odczuwać, że w trakcie lektury

przebywa się w realnej przestrzeni wraz z Leśmianem, jej realnym mieszkańcem. Taki sam układ budują elementy poszczególnych haseł, na przykład w rozdziale *Ubrania Leśmiana* każda część garderoby opisywana jest jako niepowtarzalny świadek konkretnej osoby, właśnie poprzez swe okrycia ukazującej własną indywidualność. Dziewięćdziesiąt osiem haseł *Leśmian. Encyklopedii* składa się na kilka powiązanych ze sobą „katalogów”, pośród których wyróżniają się kolekcje istotnych w życiu Leśmiana miejsc, osób, wydarzeń, instytucji kulturalnych, ponadto rozważanych przez poetę kwestii, jego wizerunków oraz takich Leśmianowskich „rzeczy”, jak parcele budowlane, utwory literackie czy nazwisko. Hasła te następują po sobie w kolejności alfabetycznej – dlatego, by nie uchybić porządkowi egzystencji. Wtórnie tylko układ tekstu służy dyskusji z paradygmatem epistemologicznym – w leksykonie Rymkiewicza arbitralność konstrukcji to ślad istnienia pozbawionego ontologicznej hierarchii, nie zaś, jak w klasycznej encyklopedii, znak równoważności pojęć tworzących zasób ogólnej wiedzy czy też, jak w kontr-encyklopedii, przygodności figur relatywizujących idee poznania i pamięci.

W budowie hasła korzysta Rymkiewicz z wzorców obiektywnego leksykonu, scalając je z figurami subiektywnej kolekcji. Odsyła do materiałów źródłowych, zamieszcza indeksy, przy czym do bibliografii włącza informator komunikacji miejskiej, zaś do *Indeksu nazw geograficznych* kawiarnię Miki. Rezygnuje z interpretacji na rzecz faktografii, nie po to jednak, by odtworzyć istnienie jako spójną i zamkniętą całość, ale, prze-

ciwnie, by uwzględnić to, co w nim sprzeczne, hipotetyczne, wyobrażone, nieznanne. Skrupulatnie wyszczególnia upodobania Leśmiana – i przedstawia go jako człowieka kochającego kwiaty, a zarazem odczuwającego do nich wstręt. Pieczołowicie gromadzi informacje o dzieciństwie poety – i ukazuje małego chłopca nad lekturą „ponurego filozoficznego dzieła”. Podaje ściśle dane topograficzne – i opisuje miejsce, w którym autor *Powrotu* spotyka się z przyjaciółmi w roku 2001. Sporządza dokładną listę Leśmianowskich nakryć głowy – i każe pamiętać o tych, o których nic nie wiadomo. Poetykę relacji łączy zatem Rymkiewicz z poetyką kontradykcji, hipotezy, fikcjonalizacji oraz neantyzacji. Jeśli świadectwa się wykluczają, Leśmian pojawia się jako byt zwielokrotniony i wewnętrznie sprzeczny. Jeśli dostarczają wiedzy, ale jest jej zbyt mało, staje się mieszkańcem świata możliwego lub wymyślnego. Jeśli nie istnieją, on sam istnieje nie przez swój niebyt.

W efekcie wszystkich tych zabiegów z encyklopedii wyłania się postać, jakiej dotąd jeszcze nie było – kontradykcja czy hipoteza służą ukazaniu różnicy między nie zapośredniczonym istnieniem a jego prezentacją, jednocześnie zaś podkreślają, że tylko poprzez prezentację istnienie to może się ujawnić. Jego odsłonięcie – co wskazywał Rymkiewicz we wcześniejszych książkach – zależy od tego, czy „ja” zrezygnuje z władzy tekstowego podmiotu na rzecz miłości. W *Rozmowach polskich...* Egle udziela swemu autorowi rady: „jeżeli będziesz nas bardzo mocno kochał, to może ci się uda i zostaniemy z tobą już na zawsze”. „Kocham was – mówi pan Mareczek. –

Wiem, że niezdarnie, że ułomnie, ale tak jak umiem”, zaś w *Do Snowia i dalej...* świadek uczucia Rdułtowskich zapisuje: „jest coś, co może nas istotnie łączyć z naszym istnieniem; co je przed nami otwiera (...); tym czymś jest miłość”. Miłość, jako podstawa dyskursu, może wedle Rymkiewicza sprawić, że tekst będzie tożsamy z tym co opisywane, z tym kto opisuje i z tym kto czyta. W tym sensie nie ma Leśmiana poza encyklopedią, tak jak nie ma poza nią jej autora i czytelników – każde hasło leksykonu to „kocham-cię”, jednoczące „Heideggera Martina”, „Hierarchię istnień”, „Hrubieszów”, w konsekwencji zaś samego Leśmiana, ze wszystkimi świadkami ich istnienia.

Leśmian. Encyklopedia w innym jeszcze sensie ukazuje twórcę *Łąki* w nowej postaci – jako różniącego się od dotychczasowych, w tym także krytycznoliterackich, wizerunków poety. Rymkiewicz weryfikuje na przykład sądy o „Leśmianowskiej koncepcji natury”, wskazując, że trudno sprowadzić ludzi-jaskry bądź Łąkę do abstrakcyjnego pojęcia, i to z zakresu polskiego modernizmu. Kwestionuje też opinie, zgodnie z którymi zarówno poezja, jak i codzienność były dla autora *Pejzażu współczesnego* światem nierzeczywistym. Leśmian Rymkiewicza – inaczej niż Leśmian Jastruna, Staffa i Miłosza – mówi o tym „co najbardziej i jedynie rzeczywiste: o istnieniu”; wyjątkowo rozsądnie – inaczej niż Leśmian ze wspomnień Beli Hertz – podchodzi do kwestii finansowych. Kluczowa w encyklopedii reinterpretacja łączy się z tymi właśnie zagadnieniami – „natury” oraz „niereczywistości”. Wedle kanonicznych odczytań pisarstwo Le-

śmiana to projekt epistemologiczny – mający na celu poznanie prawdy dzięki wartościom estetycznym, takim jak symbol czy rytm. Podobną *de facto* interpretację proponują nowsze studia, ukazujące modernizm w zmodyfikowanym, szerszym od pierwotnego kształcie. Pośród nowoczesnych tekstowych epifanii umieszcza wiersze Leśmiana Ryszard Nycz, kiedy pisze, iż *Nie dowierzając wyglądom świata widocznym przez «okna» racjonalnego poznania, poeta «poetycko», tzn. swą poezją (...) spogląda w świat z tamtych «okien» niewidoczny*. Odczytanie Rymkiewicza zmierza w innym kierunku: *wszystko było już tylko istnieniem (...), tutaj, dostępne samo sobie i samo z sobą tożsame, a więc «okienko» Miriama nie mogło się już na nic przydać – nie było za nim żadnej istoty*. Leśmian Rymkiewicza to zatem twórca nie epistemologii, lecz ontologii poetyckiej. Jego wiersze dochodzą do miejsca, w którym zyskują wiedzę, że nie przysługuje im wyjątkowa pozycja, bowiem każdy „tutejszy” byt może rozpoznawać suwerenność własnego istnienia; że nie ma podziału na „okna racjonalne” i „okna poetyckie”, podobnie jak nie ma rozróżnienia na „wyglądy słowa” i „postaci świata”.

W świetle hasła o Miriamie tłumacza się tytuły obu encyklopedii, tej o Leśmianie i tej o Mickiewiczu, jednocześnie zaś przyczyny, dla których autor *Kilku szczegółów* wyróżnia tych akurat twórców – za „najważniejszą i najpiękniejszą” książkę współczesności uznaje *Łąkę*, a centralne w literaturze miejsce przyznaje *Panu Tadeuszowi*. Formuły *Leśmian. Encyklopedia* i *Mickiewicz. Encyklopedia* miałyby zatem oznaczać, że tak osoby, jak dzieła obu poetów tożsame są z ca-

łym światem, z istnieniem – z ontologiczną encyklopedią; tym samym również z tekstami, jakie Rymkiewicz im poświęca. Są nimi dlatego, ponieważ i w *Łące*, i w *Panu Tadeuszu* – co twórca encyklopedii uwierzytelnia swoim między innymi doświadczeniem – „rozumowany słownik” całościowej wiedzy staje się tekstową apokatastazą „wszystkiego we wszystkim”, zapisem konkretności pozwalającym czytelnikowi rozpoznać własną tożsamość. Rymkiewicz ceni więc autora *Rozmowy* z tego powodu, że odnalazł w nim samego siebie, że poezja Leśmiana pomogła mu przewartościować kryzys nowoczesnego klasycyzmu. *Leśmian. Encyklopedia* jest miłosnym świadectwem istnienia, ale jest przecież także – jak i wczesne, epistemologiczne teksty Rymkiewicza – ponowieniem wzoru. Poeta-imitator, pogodzony już z władzą „ludzkiego porządku”, odtwarza w niej, niczym w lustrzanym odbiciu, ten pisarski gest, jaki odnajduje w wierszach *Łąki*: pragnie utożsamić się z encyklopedią, aby Leśmian mógł zyskać taki „przewodnik” po własnym istnieniu, jaki sam stworzył dla innych.

„Moja następna książka – mówi Rymkiewicz – będzie się może nazywać trochę inaczej – *Słowacki – fragmenty życia*”. W zapowiedzi tej mieści się projekt kolejnej repetycji, mającej ponowić nie tylko tekstowy porządek innego poety, ale też własne pisarskie doświadczenie, zapisane w *Juliusz Słowacki pyta o godzinę* i zawarte w słowach „tak być nie może, tego nie ma na świecie” – doświadczenie tego Rymkiewicza, który jeszcze przeciwstawiał „ludzki porządek” „fragmentom dyskursu miłosnego”.

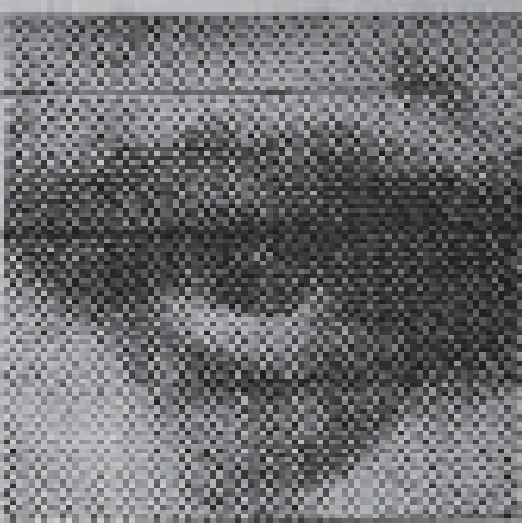
Dorota Wojda

DOROTA WOJDA
pracuje
w Katedrze Teorii
Literatury UJ,
autorka książki
*Milczenie słowa.
O poezji Wisławy
Szymborskiej*.



OKIEM KRYTYKA

Jakub
Momro



Nasłuchiwanie

Dariusz Sośnicki, *Symetria*
Biuro Literackie „Port Legnica” 2002.

Wojciech Bonowicz w omówieniu twórczości autora *Marlewa* przekonywał: *Myszę, że kusi Sośnickiego «ciemniejsza strona» najnowszej poezji, to umieszczenie wiersza w przestrzeni niepokojącej autonomii* („Tygodnik Powszechny” 1999 nr 25). Istotnie, najnowsza propozycja poznańskiego autora świadczy o tym, że intuicje krytyka były jak najbardziej słuszne. Sośnicki bowiem zdaje relację w *Symetrii* z podstawowego dylematu: jak równocześnie pokazać życie w wierszu i życie wiersza, w jaki sposób pisać, tematyzując sam proces pisania, i jednocześnie zabezpieczyć się przed komunikacyjnym bezwładem, przy okazji nie popadając w autotematyczny schemat. Innymi słowy: jak i gdzie znaleźć odpowiedni rejestr poetyckiej mowy, która zaświadczyłaby zarówno światu, jak i językowi. Te dylematy, które w poprzednich tomach autor delikatnie sugerował, uczynił teraz centrum swojego pisania. I trzeba od razu powiedzieć: udały mu się wiersze arcyciekawe.

Utwory pomieszczone w *Symetrii* układają się w opowieść o przygodach podmiotu, który usiłuje poradzić sobie z hałasem własnych myśli, z kakofonią atakujących zewsząd tajemniczych dźwięków. Poeta pokazuje pojedyncze istnienie w stanie dręczącej izolacji, zamknięcia w przestrzeni nienazwanych przeczuć, oczywistych na pozór sensów. Jak czytamy w drugim z *Wierszy akustycznych*: „-Lewandowskiemu podrzucili

wnuka./ -A ja już myślałam, że śmierć do nas puka". Rodzące się niespodziewanie znaczenia, powstałe z niejasnych zderzeń myśli, wewnętrzne komplikacje klarownych obrazów umysłu wyznaczają granice postrzegania. Sośnicki pokazuje tę rzeczywistość w chwili powstawania: obserwacja jest każdorazowym aktem kreacji, ale i ironicznym podważeniem świata; porządkowi tworzenia odpowiada wewnętrzny rygor degeneracji, zewnętrznej tajemnicy rzeczy zostaje przyporządkowana ich uwewnętrzniona oczywistość, trywialność. Pozostaje nieznośna, nieredukowalna niepewność pojedynczego trwania, którą poeta umieszcza w rejonach rozpisanego na wersy solilokwium. Ten projekt wewnętrznej rozmowy niepokoi chaosem rozsadzającym spójność wiersza, ale jest zarazem niesłychany w swojej humorystycznej tymczasowości ustaleń:

*Z opuchniętą kostką prawej nogi
gubią rytm – od miesiąca
nie zrobiłem porządnego kroku (...)
Drwal?
Na zlecenie
zarządcy ogrodu?*

Drwal

Pozostaje gra wewnątrz umysłu i wyobraźni, których projekcje i reguły nimi rządzące poeta pragnie zanotować w tekście i pokazać czytelnikowi. Z perspektywy izolowanej egzystencji, zamkniętej w kręgu hermetycznych fantazmatów, wiersz przynosi bowiem ukojenie, stanowi lustro, w którym odbija się, lub wykoślawia obraz przeżyć, odczuć i obsesji. Mowa tu o spojrzeniu jak najbardziej prywatnym, ustanawianym

podług własnego głosu i idiomatycznego stylu, ale także podług własnego ciała. Ciało, którego nie można porównać do niczego innego, które w odruchach nieustannie potwierdza wyjątkowość osobowego istnienia, ale i umieszcza to istnienie w przestrzeni rozpadającej się, korodującej materii. Sośnicki namiętnie zapisuje przejawy somatycznego uwiąznięcia, które przy pierwszym spojrzeniu wydają się oznaką czystego, nieskażonego niczym trwania; notuje skrawki sensu świata, które umieszczone w wierszu nabierają znamienia nieusuwalnej przeszkody, objawiającej tyleż grozę, co śmieszność. Niesłychanie ciekawy jest sposób w jaki poeta rysuje napięcie pomiędzy nieprzeniknionym, enigmatycznym światem wewnętrznego bełkotu a tym, co znajduje się na zewnątrz i czego w żaden sposób nie można przyporządkować. Obydwie sfery: wewnętrzna i zewnętrzna przenikają się, uzupełniają, zaprzeczają immanentnej, czy też narzuconej gramatyce symetrycznych układów, przewidywanych przemieszczeń elementów świata. U Sośnickiego słowa zostały oznaczone ironicznymi nawiasami, tekstowymi cudzysłowami, które spektakularnie rozbijają porządek rzeczywistości; zatrzymują go w migawkowej umowności. Poeta stawia w pisaniu na strategię przypadku kontrolowanego. Oznacza to, że pozwala zaistnieć słowom, poświadczającym umowność bycia; zdaje się na dobrodziejstwo mowy związanej, która pozwoli wychwycić paradoksy nieoczekiwanych poruszeń umysłu i odruchów ciała. Oznacza to także, że usiłuje dokonać w wierszu przewrotnego zabiegu podważenia ostateczności ustaleń, wykonuje gest dwu-

znacznego wykorzystywania (tzn. równoczesnego zaufania i zdyskredytowania) poetyckiej formy (rymu i rytmu na przykład); gest z jednej strony scalający, obiecujący pewność sensu, z drugiej, ilustrujący ulotność takiego projektu. Mówiąc inaczej: poeta rozgrywa w swoich tekstach grę, w której po jednej stronie znajduje się absolutna nieprzenikniona prywatność, niekończący się ruch enigmatycznych (bądź tylko na pozór znanych) nazw, imion, przedmiotów, po drugiej, to, co nie mieści się w przestrzeni umysłu i wyobraźni, zakotwiczonej w świecie fantasmagorii. Nieporządek podmiotu, owego zamknięcia w obszarze natrętnie powracających zakłóceń indywidualnego języka, którego nie sposób przełożyć na język otaczającego świata, koresponduje (na prawach tymczasowej symetrii) z pustką świata, z brakiem nazwy, z całkowitym jego milczeniem, z ciszą, zalegającą po każdej wypowiedzianej frazie:

*Seria zabiegów
przeciw chaotycznym
podpowiedziom świata.
Zatyczki do uszu,
fałszywa pulsacja
wewnętrznych organów
i półświatek myśli.*

Trzy wiersze akustyczne

W *Symetrii* dominuje przedziwny imperatyw patrzenia; jakby dzięki obserwacji można było stworzyć prowizoryczną mapę przygodności świata, jakby można było w pojedynczym, błyskawicznym spojrzeniu, bądź w systematycznym „studium przedmiotu” prze-

świetlić istotę rzeczy, jakby na bałagan rzeczywistości można było odpowiedzieć rygiorem wiersza. W porównaniu z poprzednimi tomami Sośnicki próbuje utrzymać płynność granic, swobodny przepływ powstających obrazów, kształtów. Oprócz pokazania mechanizmu języka, niwelującego poprzez swoją arbitralność przypadki ciała i umysłu, ale także umożliwiającego zachowanie dystansu, poeta rozpisuje pracę wyobraźni i snu, rejonów cudów i nieoczywistych zderzeń słów. Najlepiej widać to w utworach, które przy nieuważnej lekturze wydawać się mogą kopią dawnych wierszy poznańskiego autora; w minimalistycznych studiach sytuacji i przedmiotów, w obrazach, stanowiących wynik poszukiwania i ponownego zapisywania śladów, tropów niedocieczonego, bądź zapoznanego przeżycia albo onirycznego marzenia (*Szafa, Czajnik, Robotnik na rusztowaniu, drobny raster siatki, Senne godziny*). Sośnicki znakomicie operuje tutaj skrótem, kondensując frazę nadaje wierszom wrażenie niepokojącej lekkości; wrywając je ze spodziewanego kontekstu odrealnia opisywane przedmioty, opatrując je pozorem trwałego zabezpieczenia w konkrezie. Te proste zabiegi wskazują na jedną jeszcze prawidłowość. Świat nie znajduje tutaj poświadczenia w wierszu, słowa zaklinają rzeczywistość, a nie nazywają, istnieją na własny rachunek. Idzie tutaj o rzecz całkiem dramatyczną i pozostawianą przez poetę bez rozstrzygnięcia. O to właśnie, że Sośnicki poważnie chce coś o świecie powiedzieć, pragnie poprzez tekst rozbić onieśmielającą „dyscyplinę życia” i równocześnie natrząsa się z powagi własnego tonu. Poszukuje

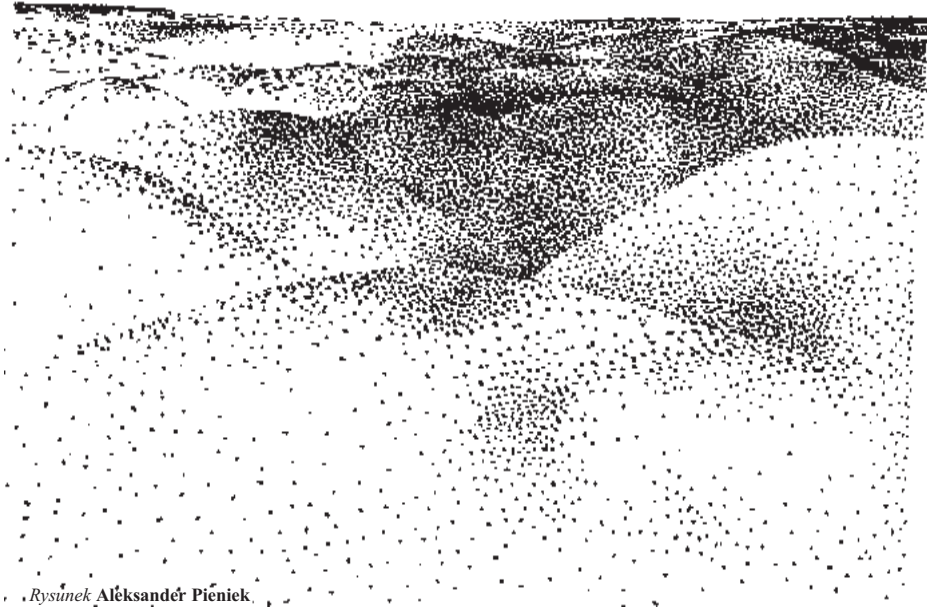
takiego rejestru mowy, który umożliwiłby opowiedzenie historii o sobie, bez utraty uroku i bez wahań języka.

Gubić formę (frazy, rymu, rytmu, aliteracji) i momentalnie ją odnajdywać, konstruować domknięty obraz i wykpić się przypadkowymi kolizjami znaczeń, grać na domysłach i zaufać dosłowności...

Gdyby się przyjrzeć strukturze wierszy, składających się na *Symetrię*, to okazałoby się, że ironia, nicująca każdy poetycki gest zaufania do świata, jest tylko wielostronnym skomplikowaniem samego języka. Autor *Ikarusa* przedkłada nam rozmaite dykteryjki o codzienności, opowiadki o powszednich doświad-

czeniu, buduje niby-homologiczne struktury pomiędzy światem dziecięcej i dorosłej wrażliwości, po to tylko, by przedstawić ucieczki języka, jego nieskrępowany ruch, całkowitą autonomię. Sośnicki wymiguje się od ostatecznej odpowiedzi, woli raczej zadawać pytania; zacierać granice pomiędzy rejonami wyobraźni, niezrozumiałym światem, wrogim uniwersum znaków, którego nie sposób opanować. Ale jak się rzekło, chodzi w tym tomie o problematyzację samego aktu pisania: nadawania imion i kształtów przedmiotom, przybliżania języka do świata, do utrzymania, umownej chociażby, symetrii pomiędzy przestrzenią słów i rzeczy. Sośnicki ucie-

tu i terror



Rysunek Aleksander Pieniek

ka od klarownych dychotomii, diagnozując raczej ambiwalencje, rządzące obydwoma sferami. W tych wierszach język jest niedopasowany do świata, słowa „odklejają” się od rzeczy, tak, że nic nie mieści się w imieniu, albo inaczej, że przestrzeń poetyckiego nazywania (nadawania znaczeń) funkcjonuje w całkowitej izolacji od świata. Ale Sośnicki oprócz „poślizgów języka” inscenizuje także bolesną nieprzenikliwość rzeczywistości; świat rozpada się, nie sposób uchwycić jego polifonicznej sygnatury. Stąd w tych tekstach paradoksalna „nostalgia bez nostalgii”; regresywna tęsknota za scaleniem, doskonałą metaforą i równoczesna fascynacja wieloimiennością. Zamknięta w wierszu chwila namysłu stanowi zapis próby poszukiwania utraconego głosu, ale jest również nasłuchiwanym nowym, nieznanym jeszcze tonu, który – być może – usprawiedliwiłby liryczne „zagadywanie bytu”. Sośnicki zdaje się poszukiwać rejestru zasadniczego; mimo zapewnień o miłości do wielu głosów: poetyckiego gadulstwa, parnasistowskich uników, poluje na głos utracony, poszukuje centralnego, mitycznego tonu, w którym mógłby pomieścić wszystkie (i mowę dziecka, i melodię tekstu, i (dys)harmonię świata). Jest w tych utworach jakaś przewrotna elegijność, która decyduje o tym, że nawet (a może – jak powiada Karol Maliszewski – przede wszystkim) brzmienie, archaiczny gest powrotu do podstawowego wydźwięku wiersza jest fascynującym i niepokojącym niedopełnieniem, z jakim pozostawia nas autor.

Sośnicki maluje nam obraz świata, dzięki któremu obcujemy z palimpsestowym szaleństwem. Szaleństwem, ponie-

waż ów obraz jest efektem kontaminacji sensu i bezsensu, szczegółu i abstrakcji, tego, co konieczne, i tego, co przypadkowe, podporządkowany strukturze wiersza i co rusz też zaprzeczający. Palimpsestowy, gdyż każdy (lub prawie każdy) z utworów pomieszczonych w *Symetrii*, odsłania w lekturze kolejne językowe warianty afirmowania pierwotnej niezrozumiałości świata. Jest ten tom także świadectwem swobody na każdym poziomie: poetyckiego warsztatu, wyobraźni, ale również swobody, rozumianej dużo szerzej, jako przeświadczenia o utopijnej bezinteresowności pisania.

W jednej z rozmów autor wyznał, że jego najnowsza książka jest „raczej zbiorem wierszy niż poetycką opowieścią w odcinkach” (*Dobrze złapane fragmenty. Z Dariuszem Sośnickim rozmawia Karol Francuzik*, „Dziennik Portowy” 2002). Wypowiedź niezwykle symptomatyczna, jako że poznański poeta różnorodności kształtów i głosów świata przeciwstawia rozmaitość poetyk oraz wielość lirycznych brzmień, choć nasłuchuje i oczekuje czystego tonu i jasnego obrazu:

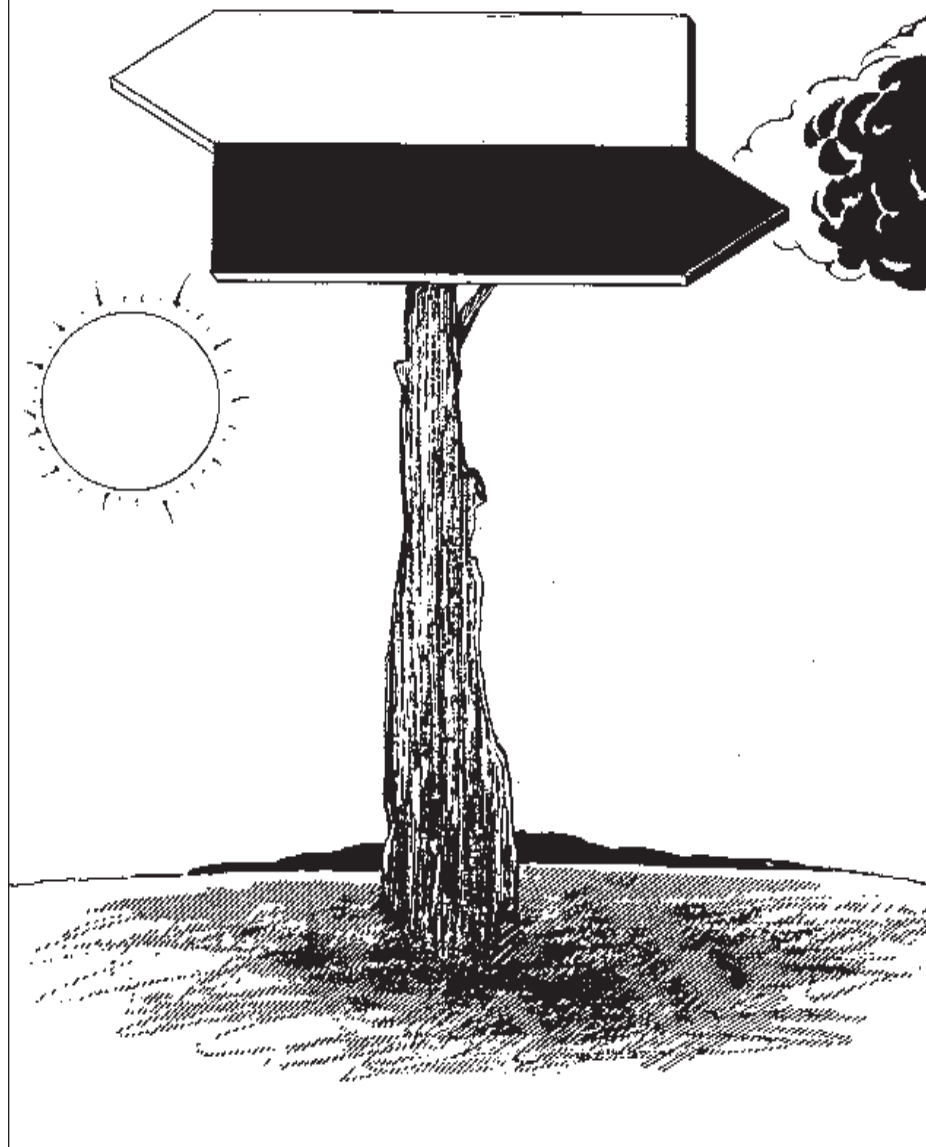
*Powinno się zamknąć oczy, które
przestały widzieć
i otworzyć nowe*

*Gdzie indziej
Kiedy indziej*

*Lekko przymrużone
oczy dalekowidza.*

*Widzenia na prerii Midwestu
(2. Mostly clear)*

Jakub Momro





Maria
Kolenda

OKNO NA ŚWIAT

Niemcy bez Jałty

Gdyby nie było Jałty, powiedział Gunther H. – to nie zostałbym piosenkarzem. Zdumienie ogarnęło grupę piwoszów skupionych przy okrągłym stole w knajpie dla artystów Terzo Mondo. Kultura niemiecka bez Gunthera, aż strach pomyśleć – bez „artysty małej formy”: raz bo małego wzrostu, po drugie, tak nazywa się w żargonie piosenkarzy kabaretowych. Gunther H. zamówił następne piwo, duże jasne i objaśnił: gdyby po wojnie nie nastąpił podział Niemiec, to jego ojciec nie zostałby szpiegiem dla Zachodu, wiódłby spokojne życie, poświęcając się wychowaniu syna i wybijając mu z głowy mrzonki o gitarze. Ale ponieważ szpiegował i to chyba dość niezręcznie, został uprowadzony i spędził bez procesu siedem lat w więzieniach w NRD, przetrucany na różne krańce państwa. Wyszedł jako inny człowiek i pozostał już w strefie wschodniej, gdyż w międzyczasie wpojono mu miłość do nowej ideologii. Gunther H. z matką mieszkał po zachodniej stronie muru i swoje rodzinne tragedie wyśpiewywał przy dźwiękach gitary. „W normalnej rodzinie zostałbym spokojnym człowiekiem, a potem urzędnikiem albo nauczycielem”, dodaje Gunther i raczy nas wyrosłym na bazie polityczno-rodzinnych tragedii utworem o astronautce. Nie o kosmonaucie, jak Gagarin. Na Zachodzie astronauta, na Wschodzie kosmonauta, marzenia o podboju świata były takie same, różnice tylko w nazewnictwie.

Przy stole rozpoczęła się nieśmiała dyskusja na zadany przeze mnie temat: co by było, gdyby nie było Jałty. Pisarz kryminalów zamówił dla lepszego oświetlenia problemu piwo czeskie, tłumaczka z francuskiego siorbała z dużej szklanicy pszenicznego, poeta pokolenia '68 preferował mocne, ciemne z okolic Poczdamu, malarka conceptualna piła wódkę. Dyskusja nabrała rumieńców. Ja tam, rzecz jasna, byłam, piwo piłam, i rozmowy skrzętnie zapisałam.

Zatem od początku. Gdyby nie było Jałty...

Niemcy po przegranej wojnie były gospodarczo zniszczonym i politycznie zdewaluowanym państwem. W uproszczeniu możliwe były dwie drogi rozwoju politycznego: w kierunku demokracji albo dyktatury. W pierwszym przypadku istnieją historyczne przesłanki, że kształtowanie się ustroju mogło przebiegać między modelem francuskim i angielskim, które już wcześniej silnie oddziaływały na Niemcy. Możliwe są też wpływy polityczne z północnej Europy. Powrót po wojnie wielu emigrantów z krajów skandynawskich, znaczących polityków np. Willy Brandta, mógł wpłynąć na formę państwowości przez odwołanie się do wzoru tzw. modelu szwedzkiego: państwa liberalnego i opiekuńczego. Druga droga miałaby postać bardziej zatrważającą i takie właśnie wizje malują pesymiści, a może po prostu realiści, którzy są zdania, że rozwój przebiegałby w kierunku nacjonalistycznym i konserwatywnym np. dyktatury wojskowej. Dwa rozbieżne modele ustroju politycznego wytyczyłyby dwie

skrajne tendencje rozwoju kultury. Pierwszy optymistyczny model, ukształtowany na podłożu ustroju demokratycznego: Niemcy przekształcają się w państwo liberalne i opiekuńcze. Gospodarka powoli nabiera rozpędu, ale przez długi czas Niemcy pozostają krajem biedniejszego kapitalizmu, co paradoksalnie ma korzystny wpływ na kulturę. Ostro i krytycznie prowadzone są dyskusje polityczne, w oficjalnych mediach mówi się o błędach przeszłości, potępia się nazistowską, rasistowską ideologię itd... Brak schematycznych podziałów ideowych na dobrych wschodnich i złych zachodnich Niemców, albo odwrotnie, jest gwarancją wysokiej kultury wewnątrzniemieckiej dyskusji. Niemcy są krajem biednym i zdanym tylko na siebie, bez arogancji butnego kapitalizmu. Stosunki z sąsiadami cechuje skromność i chęć naprawienia błędów przeszłości. Intensywne są kontakty z polskim sąsiadem. Nie ma mowy o polaryzacji Zachód – Wschód i demonizacji wschodniej kultury, co ułatwia rzeczowe i prawdziwe zainteresowanie oraz szacunek dla równorzędnych, demokratycznych systemów i ich kultur.

Model drugi – pesymistyczny. Nacjonalistyczny i konserwatywny. Po przegranej wojnie władzę obejmuje generalicja. Dyktatura wojskowa ogranicza wszystkie prawa demokracji obywatelskiej. Cenzura zbiera obfite żniwo. Faworyzowana forma kultury to: pseudo-ludowa, korzeniami sięgająca do germańskiej tradycji, czyli znane legendarne oszalałowanie dusz i umysłów. Jej formy: piosenka ludowa opiewająca szarotkę alpejską jako symbol hardej, odpornej na szturmy i mrozy duszy niemiec-

kiej, epickie dzieła czczące niezniszczalne zdrowie i fanatyczną wierność kobiety niemieckiej, i monumentalne filmy utrwalające momenty uniesień niemieckiej duszy podczas zawodów sportowych – w promieniach nadziei na zwycięskie jutro prężą się atletyczne torsy niemieckich młodzianków.

Masowa emigracja krytycznych intelektualistów niemieckich. Między polską granicą przeciągnięta jest żelazna kurtyna, chroniąca przed wpływami słowiańskiej, „niższej” kultury. Mrożąca wizja, i dlatego po jej roztoczeniu mój rozmówca, pisarz pokolenia '68, którego koledzy są obecnie u steru władzy w Niemczech, dodaje szybko: „Ale na szczęście nas podzielili”.

Jałta jako szansa dla kultury niemieckiej?

Podział Niemiec wzbogacił niepomniernie kulturę niemiecką. Obcownie z tak różnymi ideologiami zmusiło intelektualistów do zajęcia ideowych pozycji. Obydwie Strefy musiały się na nowo w twórczym procesie zdefiniować. Pisarze wracający z emigracji opowiadali się często otwarcie za jednym z systemów, deklarowali się politycznie. Świadomie wybrali miejsce zamieszkania i ustrój Niemiec Wschodnich: Bertold Brecht, Anna Seghers, Johannes R. Becher, późniejszy minister kultury NRD. Ideologia Niemiec Wschodnich wytworzyła priorytet kontaktów z kulturami krajów socjalistycznych. Nigdy tak dużo nie tłumaczono na niemiecki z polskiego, rosyjskiego i innych języków. Czytanie literatury obcej było „oknem na świat”, niestety z szybko pancerną.

Intelektualiści z NRD odznaczali się, tak twierdzą niektórzy, większą świadomością historyczną, czytaniem, zainteresowaniem światem, zaangażowaniem społecznym. Natomiast brak wolności słowa, dyktatura nie tylko proletariatu, ale i cenzury, miały paradoksalnie znakomity wpływ na teatr i literaturę w NRD. Wytworzyła się „wyższa szkoła czytania między wierszami”, teatr polityczny np. H. Müllera. Z tego okresu pochodzi powiedzonko „na Zachodzie można wszystko powiedzieć, ale nikt tego nie słucha, na Wschodzie nie można co prawda wszystkiego mówić, ale jeśli coś powiesz, wszyscy to usłyszą”. Książka kiepskiego pisarza, który w drugim rozdziale napisał „Na śniadanie Margot usmażyła mężowi dwa jajka na boczku i posypała je czerwoną palacą papryką w proszku”, sprzedawała się znakomicie. Skołowany i żądny konspiracyjnej opozycji obywatel NRD odczytywał w tej obrazoburczej informacji polityczne aluzje: Margot (Honecker), czerwone Węgry itd. Szeroka skala interpretacji.

I gdyby nie podział Niemiec, to już dawno zniknęłaby niepowtarzalna kultura łużycka, która zachowała się i rozkwitła tylko dzięki poparciu i pielegnacji w NRD.

Jałta przyniosła zło

Gdyby nie Jałta, to wpływy kultury amerykańskiej na niemiecką byłyby dużo mniejsze. Po wojnie fala amerykańskich najgorszego gatunku załała Niemcy Zachodnie.

Zbyt szybko niemieckie szukanie własnej drogi odnowy politycznej i kul-

turalnej zakrzyżane zostało w zapyzia-
łym, tłustym dobrobycie. Na wzór ame-
rykański nastąpiła ucieczka w prywat-
ność, odpolitycznienie, trywialne psy-
chologizowanie, grupowe upupianie
w indiańskich wigwamach, w szamań-
skich terapeutycznych rytuałach, rozwój
pełnej osobowości, kobiecości, poznanie
siebie metodą terapeutycznych spotkań
z żywiołem ognia, albo wody, jak co
komu pasowało. Naród poetów i myśli-
cieli stał się następną amerykańską pro-
wincją ze słabścią do masowo produk-
owanych i konsumowanych na szybko
powieści i oper mydlanych.

Podział Niemiec i wynikająca z nie-
go polaryzacja polityczna spowodowały,
że nie przeprowadzono dyskusji na te-
mat polityki, która doprowadziła do naj-

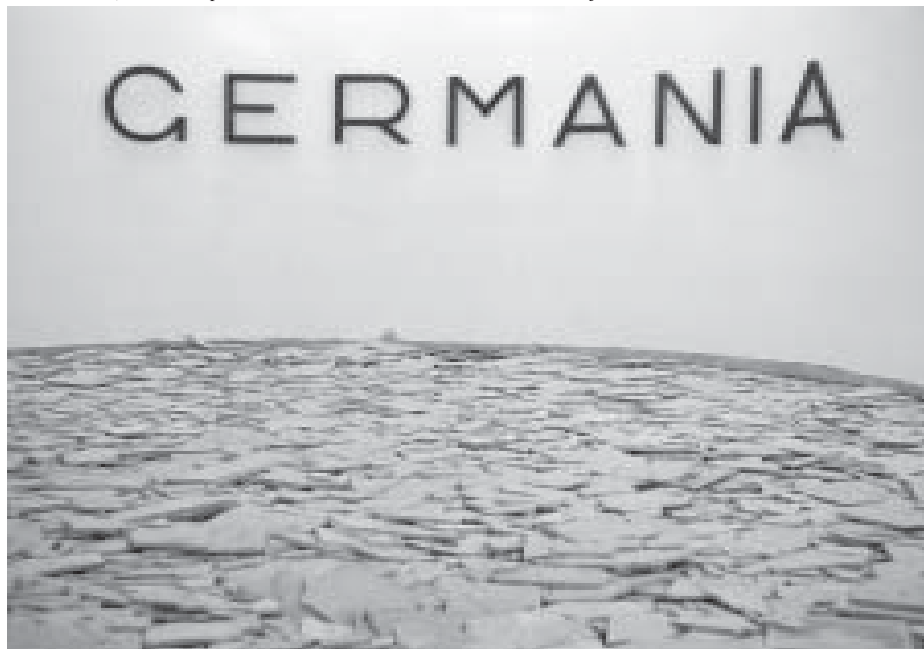
większej katastrofy XX wieku na konty-
nencie europejskim. Niemiecki rozra-
chunek z przeszłością, *Vergangenheits-
bewältigung*, nie miał dużego znaczenia,
a nawet stał się niepotrzebny wobec na-
tychmiastowych przetasowań politycz-
nych. Niemcy Zachodnie w objęciach
aliantów i Wschodnie w mocnym uści-
sku radzieckiego wyzwoliciela i brata
nie miały czasu, żeby dojść do siebie
i bez baczного oka opiekunów, bez przy-
musu, krytycznie i uczciwie skonfronto-
wać się ze swoją przeszłością. Konse-
kwencją tego niedokończonego rozra-
chunku są, być może, niewygasłe i na-
dal często wybuchające radykalne i na-
zistowskie tendencje w społeczeństwie.

Z Berlina (Zachodniego)

Maria Kolenda

MARIA
KOLENDA
ur. w 1956 r.,
prozaiczka,
tłumaczka,
w Niemczech
wydała powieść
*Der zweite
Sommer* (2000),
mieszka
w Berlinie.

Hans Haacke, *Germania*, pawilon niemiecki, XLV Biennale Sztuki w Wenecji, 1995



Fotografia Grażyna Borowik



FILM

Wigilia może być codziennie

Edi, reż. Piotr Trzaskalski
scen. P. Trzaskalski, Wojciech Lepianka,
muz. Wojciech Lemański,
zdjęcia Krzysztof Ptak.

Zalew pozytywnych recenzji, które ukazały się po premierze *Ediego* – debiutu fabularnego Piotra Trzaskalskiego i zarazem polskiego kandydata do Oscara – prowokuje do skrytykowania tego filmu. Problem polega jednak na tym, że nawet najbardziej zjadliwy krytyk – pod warunkiem, że jest krytykiem dobrym i wrażliwym – nie jest w stanie znaleźć w tym filmie niczego, co uzasadniałoby negatywną ocenę.

Edi nie pachnie żelem pod prysznic ani wodą po goleniu. Nie strzyże się u fryzjera, nie je na śniadanie zdrowego jogurtu z płatkami, jedyny alkohol, jaki pija, to tanie wino (2,5 zł szklanka) kupowane od czasu do czasu w ramach krótkich chwil relaksu w pobliskim, dość obskurnym barze. Edi nie wyjeżdża na wakacje. Nie nosi drogich, nowych ubrań, choć zawsze bardzo stara się, aby te, które ma, wyglądały czysto i porządnie. Nie budzi respektu swoim wyglądem, nawet chyba niekoniecznie sympatię – jest brzydki i niezręczny, nie zawsze mówi wyraźnie, uśmiecha się nieśmiało i zbyt rzadko. Jego dom to zrujnowana hala fabryczna, ponura, szara i brudna, umeblowana jedynie starą, ogromną lodówką i starym małżeńskim łóżem. To ostatnie Edi dzieli razem z jąkającym się Jureczkiem, który codziennie rano pomaga mu w przeczesywaniu willowych dzielnic w poszuki-

Joanna
Pazyra

waniu złomu, starych ubrań i książek. Złom oddaje się do skupu – właściciel płaci za niego jakieś grosze, które pozwalają przeżyć kolejny dzień (może starczy na konserwę „Turystyczną” albo na ruskie w barze mlecznym?). Ubrania – ubrania się nosi, albo mości nimi leże – wtedy jest ciepłej. Książki... Edi nie odnosi książek do antykwariatu, choć zdaje sobie sprawę z wartości wielu z nich. Edi je czyta, powoli, spokojnie, uważnie. Tak, żeby wszystko zrozumieć. Wchłonąć. Przeżyć. Zachować. Dotyka ich z czułością, z jaką pochyła się nad potrzebującymi tego ludźmi. Delikatnie wygładza pomięte kartki, ostrożnie wyciera zabrudzone okładki. To jego azyl, prawdziwy dom, spokój i bezpieczeństwo. To coś, co daje świadomość własnej wartości, która nijak się ma do codziennej nędzy. To w dużej mierze dzięki nim zaczyna rozumieć znaczenie takich słów jak Prawda, Godność, Dobro, Sprawiedliwość. Wreszcie – Miłość i Poświęcenie.

Jest w filmie moment, kiedy brzydki, kanciasty złomiarz próbuje wytłumaczyć przyjacielowi swoją fascynację.

Jureczek: Jakie życie może być piękne! Jakbym był bogaty, tobym miał ze trzy telewizory. Jeden w jadalni, drugi w sypialni, a trzeci w kuchni.

Edi: Ale ty jesteś bogaty, Jureczek!

Jureczek: Co ty gadasz?

Edi: Jesteś! Tylko tego nie widzisz, Jureczek. Widzisz tylko to, co inni mają. A nie widzisz tego, co ty sam masz.

Jureczek: A co ja mam! Gównno mam. We łbie ci się miesza od tych twoich książek. Co one ci dały? Pieniądze ci dały?

Edi: Nie.

Jureczek: No to co?

Edi: Spokój.

Jureczek: Jaki spokój?

Edi: Otwierasz, czytasz, nie rozumiesz, czytasz jeszcze raz. Tu nic się nie zmienia. Chyba, że ty. Bo życie, Jureczek, pędzi, a do tej książki zawsze możesz wrócić.

Jureczek: A te telewizory grałyby ciągle... Dzień i noc.

Edi: A po co?

Jureczek: Żeby zobaczyć, jak prawdziwi ludzie żyją.

Edi: A my to co, Jureczek? Nieprawdziwi?

Oczytanie Ediego powoduje, że znani lokalnemu światkowi przestępczemu handlarze alkoholem – potocznie nazywani Braćmi – proponują mu udzielanie korepetycji ich młodszej siostrze, matu-rzystce miejscowego technikum. Rozpieszczonej pannie grozi na półroczu niedostateczny, jedynym ratunkiem jest więc ktoś, kto w krótkim tempie skutecznie wbije ślicznej dziewczynie do głowy minimum potrzebnych wiadomości. Edi jest idealnym kandydatem – sporo wie, jest łagodny i cierpliwy, a jego mało zachęcająca powierzchowność daje wystarczającą gwarancję tego, że dziewczyna nie zainteresuje się nim bliżej – czego jak ognia obawiają się Bracia. Zgodnie z ich przewidywaniami Edi nie budzi zachwytu Księżniczki. Budzi go jednak ktoś inny – młody, przystojny Cygan, wspólnik Braci. Wkrótce okazuje się, że mimo opieki, licznych przyzwrotek i ciąglej kontroli dziewczyna jest w ciąży. Chcąc chronić ukochanego przed gwałtowną i okrutną zemstą rodziny, oskarża o gwałt brzydkiego korepetytora. Związane z tym konsekwencje Edi ponosi z dojrzałością i spokojem, o jakie zazwyczaj trudno posądzić chuderławego złomiarza – pijaczka. Nie-

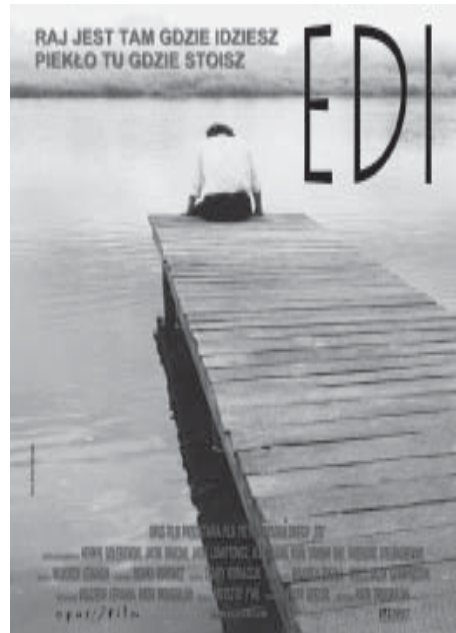
JOANNA
PAZYRA
doktorantka
II roku filmoznaw-
stwa, absolwentka
filologii polskiej
i filmoznawstwa
UJ.

odwracalne, straszne kalectwo, które na niego spada, dziecko, którym musi się opiekować, wreszcie potworny zawód i rozpacz – przyjmuje z pełną godności, głęboko humanistyczną pokorą i poświęceniem dla ludzi, z których strony nie spotyka go nic poza złem. *Istotą działania Ediego jest bezinteresowna dobroć* – powiedział Piotr Trzaskalski na jednej z konferencji prasowych – *Jest to zarazem tajemnica motywacji jego działania*. Trudno się z tym nie zgodzić. „Wigilia może być codziennie” – często mawia bohater jego filmu – „To tylko od nas zależy”. Więc nie wolno nikogo skrzywdzić. Nie wolno uderzyć, okłamać, oszukać. Nie wolno być słabym – ale nie jest to równoznaczne z brakiem pokory – ta akurat jest bardzo potrzebna. Nie wolno odejść od potrzebującego. Nie wolno się poddać. Nie wolno się mścić.

Na autentyzm Ediego ogromnie wpływa odtwórca tej roli – Henryk Golebiewski, znany z doskonałych ról dziecięcych w serialach telewizyjnych kręconych na początku lat siedemdziesiątych. Potem zniknął z ekranów. Nie miał żadnego wykształcenia poza zawodowym, zajmował się prostymi pracami budowlanymi, traktując okres pracy w filmie jako krótkotrwałą przygodę. Teraz zresztą podchodzi do tego podobnie – „Jestem ochroniarz. Pracuję na parkingu: 24 na 48 godzin” – nie licząc na szczyty i honory związane z życiem gwiazdy, na którą ani myśli się kreować. Jego credo życiowe jest zaskakująco podobne do tego, jakim legitymował się stworzony przez niego bohater – *Jestem zadowolony ze swojego życia. Bez zastanawiania to mówię. Nie chciałbym niczego zmieniać, ani jednej minuty. Co prawda śmierci nie biorę pod uwagę, bo to jest nieodwracalne, ale swego życia nie żałuję nic, a nic*.

Edi to bardzo piękne, dobre kino. Dobre nie tylko w sensie wysokiej jakości artystycznej – choć film Trzaskalskiego potrafi doskonale sprostać wymogom tej ostatniej. To kino pełne ciepła, spokoju, wsłuchania się w siebie, szacunku dla ludzi, którzy – patrząc kategoriami wartości utrwalanymi przez telewizyjne reklamy – pozornie na niego nie zasługują. Kino pełne nadziei i uśmiechu – wbrew tragedii, która spotyka głównego bohatera. I pełne dobra – takiego bez wielkich słów, zakrojonych na szeroką skalę akcji charytatywnych, krzykliwych happenin-gów urządzanych na ulicach wielkich miast. Bo – jak powiedział reżyser – *Ważne jest, aby mówić szczerze, całkowicie od siebie. Bez zbędnych szybkich samochodów i wybuchów. Takie kino znika z mapy świata. Kino, w którym ważny jest obraz, a nie dialog, wielkie duchowe przeżycia, a nie szybkie przeżycia*.

Joanna Pazyra





Fotografia Elżbieta Lemp

CAMERA OBSCURA

■ Coś się pokręciło Magdalenie Kursie i Krzysztofowi Fijałkowi („Gazeta Wyborcza” – Kraków z 2 VIII), gdy napisali, że w czasie restauracji Sukiennic w latach 1875-1879 ustawiono tam dwa maszkarony złośliwie portretujące ówczesnych ojców miasta – Juliusza Lea i Mikołaja Zyblikiewicza. W tym czasie Leo był niespełna dwudziestoletnim wyrostkiem. Wiceprezydentem Krakowa został dopiero w r. 1901, a prezydentem – w r. 1904. (hm)

Cały felieton, dosadnie zatytułowany *O głupich paniach od polskiego* („Rzeczpospolita” nr 126) poświęca Urszula Koziół polonistce, która – charakteryzując współczesną poezję w czasopiśmie „Język Polski” (Matura 2002, nr 11) – pominęła wielu znakomitych twórców. Dlaczego jednak nie podaje nazwiska autorki artykułu, określając ją tylko jako „panią Chrząszczbrzmistrzciną”? Czytelnik nie wie, czy to tylko abstrakcyjny dowcip onomastyczny, czy też aluzja do pewnego rzeczywistego nazwiska. A jeśli aluzja, warto może przypomnieć starą zasadę, że z nazwisk osób krytykowanych się nie żartuje. (hm)

„Dławi mnie radość przekraczania granicy słowem, co rośnie w zdaniu jak chuj w portkach parobka” – cytuje Michał Cichy Mariana Pankowskiego w „Gazecie Wyborczej” z 5. VI. W następnym zdaniu komentuje: „Poetyckość tej prozy nie polega tylko na misternym użytku z polszczyzny”. Rzeczywiście. (hm)

Danuta Ulicka („Nowe Książki” nr 10, s. 81) upomina się o wznowienie utworu Jana Lama *Z pamiętnika młodej mężatki*, którego – jak pisze – nie notuje nawet encyklopedyczna *Literatura polska*. Nie notuje nawet „Nowy Korbust” – i nic dziwnego, że nie notuje, bo utwór pod tym tytułem napisał nie Lam, lecz Gabriela Zapolska. (hm)

Krzysztof Zanussi („Polityka” nr 44), zastrzegając się, że być może pamięć go zawodzi, cytuje „list pewnego szlachcica”, który pisze, iż uczestniczył w spotkaniu towarzyskim, na którym „Mickiewicz oraz Chopin improwizowali i było nudno”. Rzeczywiście, Zanussi zapamiętał niedokładnie. Ów szlachcic to ni mniej, ni więcej tylko Juliusz Słowacki, a w liście swoim do matki z 3 września 1832 r. pisze on o dwóch wieczorach towarzyskich; na jednym „Mickie-

wicz improwizował – ale dość słabo”, potem Chopin grał na fortepianie – w rezultacie „dobrze nam zszedł wieczór”; na drugim wieczorze – „nudziliśmy się śmiertelnie od 10 do drugiej w nocy – pod koniec jednak Szopen upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepianie”. (hm)

Trudno zgodzić się z Agnieszką Kuciak („Wysokie Obcasy” nr 41), gdy twierdzi, że źródłem tytułu powieści Gogola *Martwe dusze* jest takie samo wyrażenie występujące w *Piekle* Dantego. U Dantego są to dusze potępione, u Gogola – figurujący w urzędowych spisach, a zmarli już chłopci pańszczyźniani, którymi bohater powieści chce spekulować. (hm)

W zarysie dziejów recepcji literatury węgierskiej w Polsce Tadeusz Olszański („Książki w Dużym Formacie” nr 22) sporo przeoczył. Nie wspomina o pierwszej węgierskiej powieści przełożonej na język polski – *Notariuszu* Józefa Eötvösa z r. 1855, o trzech kolejnych przekładach *Tragedii człowieka* Madacha (Juliusza Hena-Wójcikiewicza, Teresy Prażmowskiej i Lwa Kaltenbergha), o fundamentalnej *Antologii poezji węgierskiej* z r. 1975 wydanej pod redakcją merytoryczną Gracji Kerényi, a poetycką Mieczysława Jastruna. Trudno się z Olszańskim zgodzić, gdy na „niestrudzonego popularyzatora” powieści Jokáia w Polsce pasuje Antoniego Langego. Kilkanaście powieści Jokáia ukazało się w przekładach polskich począwszy od r. 1875, 3-tomowy wybór pism w przekładzie Langego – dopiero w r. 1927, kiedy Jokáiem mało kto się już interesował. Warto też dodać, że w okresie międzywojennym często grywano sztuki F. Molnara, a dużą poczytnością cieszyły się powieści Körmendiego i Jolán Földes (*Ulica kota rybołówcy*). (hm)

W artykule Leopolda Ungera („Gazeta Wyborcza” nr 274) czytamy: „Bez złudzeń, panowie, jak mawiał jeden z poprzedników Katarzyny”. W rzeczywistości mawiał tak (*Point de rêveries, messieurs*) nie poprzednik Katarzyny II, lecz jej prawnik – car Aleksander II. (hm)

Michał Markiewicz zwraca uwagę na błąd w podpisie pod fotografią na s. 201 książki Henryka Markiewicza *Mój życiorys polonistyczny z historia w tle*. Ogrywa on tu dziadka nie w „chińczyka”, lecz w grę zwaną „labirynt”. (hm)

■ **Henryk Markiewicz: *Mój życiorys polonistyczny z historią w tle*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002.**

Autobiografia Henryka Markiewicza, opublikowana przez WL na 80. rocznicę urodzin Profesora. Uzupełniona rozmową z autorem Barbary N. Łopieńskiej.

Henryk Markiewicz (ur. 1922) – jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich badaczy literatury. Emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, redaktor naczelny *Polskiego Słownika Biograficznego*, członek PAN i PAU.

Autor licznych prac z teorii literatury, historii literatury polskiej i dziejów wiedzy o literaturze, edytor, współautor antologii cytatów *Skrzydlate słowa*. Erudyta, mistrz kilku pokoleń polonistów, posiadacz jednej z największych prywatnych bibliotek w Polsce. Mieszka w Krakowie.

Dylan Evans: *Emocje. Naukowo o uczuciach*, przeł. Radosław Kot, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

Tom pierwszy nowej serii Rebisu - Biblioteczki Człowieka Myślącego. Autor podejmuje wiele intrygujących kwestii związanych z wszelkimi emocjami, odwołując się nie tylko do powszechnych odczuć, ale i do aktualnych badań z dziedziny antropologii kulturowej, psychologii i neurologii. Przekonuje, że podróż w głąb ludzkiego serca jest zarówno fascynującą, jak i zaskakującą przygodą.

Dylan Evans jest pracownikiem naukowym Wydziału Filozofii King's College w Londynie. Uczestniczy w projekcie badawczym podejmującym temat ewolucji ludzkich emocji. Pisuje regularnie do „Guardiana”, a w wolnym czasie bywa didżejem.

Simon Blackburn: *Myśl. Zaproszenie do filozofii*, przeł. Jan Karłowski, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

Kim jestem? Czym jest świadomość? Czy istnienie świata zakłada także istnienie stwórcy? Autor próbuje określić naturę tych pytań i wyjaśnić, na czym polega ich doniosłość. Namawia czytelnika do studiowania filozofii i pokazuje, w jaki sposób wielcy myśliciele – Kartezjusz, Hume, Kant, Wittgenstein – mierzyli się z jej problemami.

Postępując się żywym i przystępnym językiem, porusza zagadnienia sceptycyzmu, podmiotowości, związków między duszą i ciałem, wolności, etyki i istnienia Boga. Tom drugi Biblioteczki Człowieka Myślącego.

Simon Blackburn: *Sens dobra. Wprowadzenie do etyki*, przeł. Tadeusz Chawziuk, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

Czym jest szczęście? Na czym polega obowiązek? Czy istnieją normy moralne? Simon Blackburn, wychodząc od tych pytań i wątpliwości, wiedzie czytelnika przez gąszcz rozważań, w których niejednemu zdarzyło się zbłądzić. Podejmując najważniejsze problemy moralne, pokazuje, jak powinno się myśleć o sensie życia i dobra.

Simon Blackburn jest profesorem filozofii na Uniwersytecie w Cambridge; wcześniej wykładał w Pembroke College w Oksfordzie. Przez wiele lat był redaktorem naczelnym czasopisma „Mind”.

Trzeci tom Biblioteczki Człowieka Myślącego.

Alexandra Lapierre: *Artemizja*, przeł. Stanisław Kroszczyński, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań, 2002.

Artemizja to barwna, zbeletryzowana biografia jednej z pierwszych wielkich malarzek w historii. Kobiety, która pokonała wszelkie społeczne bariery, zdobyła niezależność i sławę. Artemisia Gentileschi była pierwszą kobietą przyjętą w poczet prestiżowej florenckiej siedemnastowiecznej Accademia del Disegno, córką znanego artysty z kręgu caravaggionistów. Przyjaciółka i protegowana ówczesnych osobistości, otrzymywała zamówienia od najznamienitszych rodów Rzymu, Florencji, Neapolu, a nawet od koronowanych głów.

Salman Rushdie: *Furia*, przeł. Jerzy Kozłowski, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

Furia to dzieło kipiące energią – bezlitosna, bardzo czarna komedia, a zarazem głębokie studium najciemniejszej strony ludzkiej natury i historia miłosna o hipnotycznej sile. To także zaskakujący portret Nowego Jorku.

V. S. Naipaul: *Dom pana Biswasa*, przeł. Krzysztof Obłucki, Noir sur Blanc, Warszawa 2002.

Ta dwutomowa powieść jest ukoronowaniem pierwszego okresu twórczości niedawnego noblisty, poświęconego życiu trynidadzkiej ulicy. Motywy znane z takich dzieł jak *Masażysta cudotwórca*, *Wybory w Elwirze* i *Nasza ulica*, tu znajdują najpełniejszy i najdoskonalszy wyraz artystyczny. Powieść, opisująca życie człowieka od narodzin aż do śmierci, odznacza się rozmachem właściwym dziełom wielkich mistrzów i z pewnością zasługuje na miejsce wśród najznakomitszych

KSIĄŻKI NADEŚLANE

szych dokonań prozy XX wieku. Doskonale scharakteryzował ją Anthony Burgess: „Książka o ogromnej sile komicznej, a przy tym napisana z silnym, pozbawionym sentymentalizmu współczuciem”.

Max Gallo: *Nieśmiertelny ze Świętej Heleny, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.*

Czwarty tom zbeletryzowanej biografii Napoleona. Obejmuje lata 1812-1821. Na jej kanwie powstał już czteroczęściowy serial z Christianem Clavierem, Gerardem Depardieu, Johnem Malkovichem i Isabellą Rossellini w rolach głównych. Prawdopodobnie w styczniu 2003 roku wyemituje go Polsat.

Patrice Bret: *Egipt w czasach Napoleona, przeł. Renata Wilgosiewicz-Skutecka, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.*

Wyprawa Napoleona do Egiptu była przedsięwzięciem nie tylko militarnym – Bonaparte postanowił połączyć ją z bardzo dobrze przygotowaną ekspedycją naukową. Do wciąż tajemniczego i nie zbadanego wówczas Egiptu wraz z Naczelnym Wodzem ruszyły zatem całe zastępy naukowców i artystów. Z opisów ich wrażeń, przeżyć i spostrzeżeń wyłania się barwny obraz przedstawiający zderzenie dwóch jakże odmiennych kultur i obyczajowości.

Jerzy Juliusz Stadnicki: *Wiersze wybrane, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2002.*

Obszerny, pięknie wydany wybór wierszy poety i pieśniarza, a także autora tekstów piosenek i przewodnik górski, który związany był wiele lat z klubami i teatrami studenckimi Krakowa. Otrzymał nagrodę Miasta Krakowa dla młodych twórców w roku 1983. Wydał trzy tomiki wierszy: *W końcu żyjemy* (1994), *Inne wiersze* (1997), *Wolność słowa* (1999). Mieszka i pracuje w Katowicach.

Signe Toksvig: *Emanuel Swedenborg – uczony i mistyk, przeł. Ireneusz Kania, Universitas, Kraków 2002.*

Mimo iż od śmierci Swedenborga (1688-1772) upłynęło już ponad dwieście lat, postać ta nadal intryguje nas i fascynuje z niezmienną siłą.

Książkę, napisaną żywo i barwnie, poprzedza obszerna rozmowa Czesława Miłosza i Ireneusza Kani. Obaj rozmówcy podkreślają wielki wpływ Swedenborga na literaturę XIX wieku, jego rolę prekursora w próbach pojednania nauki z religią,

a także zbieżność jego koncepcji z ideami buddyjskimi – tak wyraźną, że D. T. Suzuki nazwał go „Buddą Zachodu”.

Izabela Filipiak: *Madame Intuita, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2002.*

Autorka *Niebieskiej menażerii* i *Absolutnej amnezji* tym razem objawia się jako interesująca poetka. Mówi o tym zbiorku: „Nie traktuję poezji jako osobistego głosu. Interesuje mnie poezja jako zakładanie masek”.

John Fowles: *Kanały czasoprzestrzeni. Eseje i inne pisma, wybór i wstęp Jan Rolf, przeł. W. Łyś, T. Chwaziuk, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.*

Reprezentatywny zbiór niepowieściowych pism Fowlesa: esejów, pism krytycznoliterackich, komentarzy, wypowiedzi autobiograficznych. Pisane zajmująco, z pasją, stanowią swoistą mapę umysłu jednego z największych powieściopisarzy XX wieku. Seria Konstatacje.

Stanisław Stabro: *Literatura polska 1944-2000 w zarysie, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2002.*

„Celem moim było raczej porządkowanie oraz syntetyczny opis konkretnego historycznoliterackiego procesu w – z góry zakreślonych przeze mnie – periodyzacyjnych ramach, jak również dążenie do obiektywizmu, wyrażające się w uwzględnieniu wielu nazwisk, tytułów i szczegółowych dat. Był to świadomy z mojej strony wybór określonej, historycznoliterackiej konwencji” (*Od Autora*).

Stanisław Stabro – poeta, krytyk, historyk literatury, urodzony w roku 1948, profesor w Instytucie Polonistyki UJ, jest jednym z programotwórców i współtwórców pokolenia „Nowej Fali”, współzałożycielem krakowskiej grupy „Teraz”.

Imre Kertész: *Los utracony, przeł. Krystyna Pisarska, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2002.*

Powieść laureata Literackiej Nagrody Nobla 2002. Opowieść młodego chłopca, Żyda z Budapesztu, który spędził rok w niemieckich obozach koncentracyjnych, Oświęcimiu i Buchenwaldzie. Pozbawiona patosu relacja piętnastolatka, który z naiwnością stara się przystosować do wymagań swych ciemniejszych, odsłania mechanizmy kryjące się za zbrodniami ubiegłego stulecia.

■ Najchętniej przepisałbym tutaj dwie pierwsze strony „**Twórczości**” (11-12/2002), przytaczając cały wydrukowany tam wiersz. Francis Jammes nie nadał swemu utworowi tytułu, przeznaczając go „dla Andre Gide'a”. Kilka pierwszych wersów doskonale wprowadza w nastrój wiersza: „Stara wioska tonęła w różach / a ja szedłem najpierw w wielkim upale / a później w wielkim chłdzie / starych ścieżek gdzie liście butwiały / Potem wzdłuż długiego zniszczonego muru / to był park a w nim wielkie drzewa / i poczułem zapach przeszłości / w tych wielkich drzewach i białych różach.” Podmiot wiersza opisuje świat z przeszłości, w którego istnieniu wątpi. A może wątpienie jest tutaj tylko środkiem poetyckim podkreślającym nierealność parku z hebanowymi drzewami, w którym czytano wiersze? Egzotyczne rośliny, wuj powracający z podróży do Indii, zdarzenia jak ze starych powieści. Czy istniała kiedyś ta rodzina? Pusto, liście błyszczą na egzotycznych drzewach, jakby zatrutych – zatrutych przez czas. Stońce nie wydobywa życia, nie przynosi radości. Wszystko zasypia w wielkim upale. W tym numerze „**Twórczości**” można znaleźć również kilka innych wierszy dwudziestowiecznych poetów francuskich w tłumaczeniu Jerzego Lisowskiego. Tekst Leona-Paula Fargue rozpoczynający się od zdań: „– Niedobre serce... szepnął jakiś głos z głębi nocy dziecka, które pobitem kiedyś w jesiennym ogrodzie, całym w złotej klatce. – Był to istotnie dziwny dzień” warto przeczytać chociażby dla samego zakończenia. A właściwie jednej frazy: „moje biedne, stare wyrzuty sumienia nie sięgają mu nawet do ramion...” Tekst można odczytać jako studium wspomnienia powodującego te wyrzuty. Natomiast jasny, słoneczny i wiosenny wiersz Charlesa Fardinanda Ramuzya mówi o planowaniu ślubu z optymizmem, swoistą naiwnością, zarezerwowaną chyba tylko dla takich chwil. Bez kiczu i patosu: „(...) nasze głosy będą trochę drżące / i speszone obecnością gapiów, / bo takie rzeczy należy sobie mówić / tylko cichutko do ucha.”

Przypomnijmy sobie skład apteczki domowej: „1. grzyby solone, 2. sól kuchenna, 3. wody mineralne, 4. widelec, 5. woda, 6. antidotum, 7. koniaczek, 8. wódka zwykła słodka, 9. wódka zwykła gorzka, 10. wódka pomarańczowa, 11. jody-

na, 12. opilki żelazne, 13. bielizna zapasowa, 14. pasy ruptyrowe, bandaże.” Ten fragment „*Pracowitej pszczołki*”. *Kalendarzyka Encyklopedyczno-Informacyjnego na rok 1921* przywołuje Tomasz Stępień, pisząc o nonsensie i purnonsensie w twórczości Skamandrytów (*Absurd, nonsens, poezja...*, „**Opcje**” 3/2002). Jan jest synem bezdzietnej matki – to zdanie według słownika jest absurdem. Róża lub leży – to nonsens (tym różniący się od absurdu, że jest bezładny semantycznie). Od zdań typu: „cebula pachnie niebiesko” blisko już do poezji i literatury – konstataje Stępień. Opisując absurd i nonsens w literaturze polskiej, należałoby sięgnąć do nonsensownych wylizczanek dziecięcych, twórczości so-wizdrzalskiej, Witkacego, Gombrowicza, Gałczyńskiego, Mrożka, Zielińskiego, Themersona, Barańczaka. Dwudziestowieczną historię polskiego absurdu literackiego zacząć należy jednakże od kawiarni i kabaretu Picador („Wielkiej Kwatery Głównej Armii Zbawienia Polski od całej współczesnej literatury ojczystej”). Stępień analizuje drobniaczkowo nonsensy i absurdy z odezwy wydanej w dniu otwarcia kawiarni poetów „Pod Picadorem” (29 listopada 1918 r.) – pisze m.in.: „Wydaje się, iż sam tekst poprzez swoją wewnętrzzną budowę uchyla powagę kodu, w którym zdawał się być wyartykułowany [odezwa polityczna, rewolucyjna], ujmując sam siebie w 'ludyczny nawias', sugerując zarazem niepoważny, ludyczny sposób odbioru. (...) Reklamowa kampania, wykorzystująca elementy nonsensu, odniosła powodzenie – kawiarnia poetów stała się sensacją artystyczną w stolicy odrodzonego państwa polskiego”. Skamandryci absurd i nonsens wprowadzali również do życia okołoliterackiego. Kiedyś na imieniny kupili Kornelowi Makuszyńskiemu: dwanaście gipsowych bustów Kościuszki, cztery balie, osiem desek do prasowania, dwanaście szafflików, dwa tysiące gliz do papierosów, dwadzieścia tuzinów kamieni do białych butów, sto kilo buraków i tonę węgla. „Wiedzieliśmy, że Kornel ma centralne ogrzewanie, nie pali papierosów, nie lubi buraków, nie ma białych butów i nie prowadzi gospodarstwa” – napisał Słonimski. Całe to przedsięwzięcie Stępień nazwał spektaklem purnonsensu. Z tekstów „nonsensownych” w „Opcjach” polecam jeszcze *Nonsens w świecie zwierząt* Łukasza Adamczyka –

PRZEGLĄD PRASY

artykuł o „niepoważnej” twórczości Stanisława Barańczaka. Warta uwagi jest również próba refleksji nad prezentacją dzieł sztuki w Internecie i funkcjonowaniem wirtualnych galerii (Barbara Białowąs *Fragment prawdy o wirtualnych galeriach*). Ten numer „Opcji” w znacznej mierze ilustrowany jest zdjęciami z nietypowych działań artystycznych Cezarego Bodzianowskiego, którego „prace” łatwiej zobaczyć na skwerach czy w zagajnikach niż w galeriach. W piśmie zamieszczono również krótki wywiad z Bodzianowskim i dwa teksty poświęcone jego twórczości: *Zatrzymać się – to poruszyć Ziemię* Joanny Mytkowskiej i *Popołudnie Fauna* Macieja Cholewińskiego.

Ostatni numer czasopisma „**Portret**” (14/2002) został wydany w ciekawej szacie graficznej: jak stary brulion szkolny w szeroką linię, z tekturową okładką i grzbietem oklejonym paskiem płótna. Na dole pierwszej strony okładki, jak zwykle, informacja producenta: „OLSZTYŃSKIE ZAKŁADY WYROBÓW LITERACKICH, Brulion szkolny 81 k. z pap. kl. V, odm. L. gat. I.” Domyślałam się, że odm. L. to literacka odmiana papieru, oczywiście gatunek pierwszy. Gatunki i klasy to nadal dobry temat dla socjologa i literata, których nie powinno zwieść twierdzenie kapitalizmu, że teraz rynek oferuje wszystko w pierwszym gatunku. Wystarczy zaglądnąć do jakiegoś państwowego tartaku – są jeszcze takie (od zeszytu do tartaku, lub odwrotnie, droga niedaleka), żeby dowiedzieć się, że klepki parkietowe produkowane są w trzech klasach: pierwszej, drugiej i krajowej. Nie bez kozery napisano więc, że papier wprawdzie klasy piątej, ale odmiana specjalna, bo literacka i to w pierwszym gatunku, mimo że krajowa. (Jeszcze o brulionach: jako uczeń zużyłem takich mnóstwo, kilka na zapisywanie cytatów z lektur). Jest to numer specjalny nie tylko ze względu na stronę edytorską – poświęcono go w znacznej mierze starości, numer nazywa się „Portret – old. Starość do nieskończoności.” Brulion był nie tylko zeszytem np. „do polskiego”, ale mógł być pamiętnikiem. Na początku old portretu, zamiast artykułu wstępnego, znajdziemy wyznanie osiemnastolatki – przewrotne wprowadzenie do zeszytu o starości. „Kochany [przekreślone] Drogi zeszycie! Mam osiemnaście lat i już sam ten fakt nie nastraja mnie optymistycz-

nie.” (Kolejna uwaga na marginesie: cały brulion wydrukowany jest w szeroką linię, a tekst maszynowy nie wstrzela się między linie; przekreślenia zaznaczane są tak jak w maszynopisie, za pomocą znaku xxxxxxxx. Maszynopis z charakterystycznymi przekreśleniami i podkreśleniami, jakby robionymi piórem, wyjustowany do lewej – z prawej zostaje charakterystyczna „chorągiewka”, nakłada na brulion graficzną i znaczeniową warstwę maszynopisu. Otrzymujemy więc złożone w jedno dwie warstwy pośrednie, niegotowe, poddawane obróbce: 1. brulion, w którym chcielibyśmy znaleźć luźne zapiski piórem, bązgroły, przekreślenia, autografy; 2. maszynopis jako stadium bardziej gotowe od brulionu, wersja pośrednia przed drukiem, coś przygotowane do zredagowania przez specjalistę z zewnątrz, np. z wydawnictwa. Odpowiedź na pytanie, jak ta rama modalna wpływa na poszczególne teksty, jak one je współbudują, zostawiam czytelnikom. Oczywiście, zapis osiemnastolatki z pierwszej strony jest niezgrabny stylistycznie – zeszyt wszystko znieśie.) I jeszcze kilka zdań z zapisu młodej – starej kobiety: „Gdyby nie okres, który się opóźnił – Waldek nie rozmawiał ze mną przez tydzień – mogłabym być wzorcowym przykładem kobiety z menopauzą. (...) Babcia ma na pewno nieświeży oddech. Uczucie, kiedy zaczyna się śmierdzieć, oznacza, że to finał”.

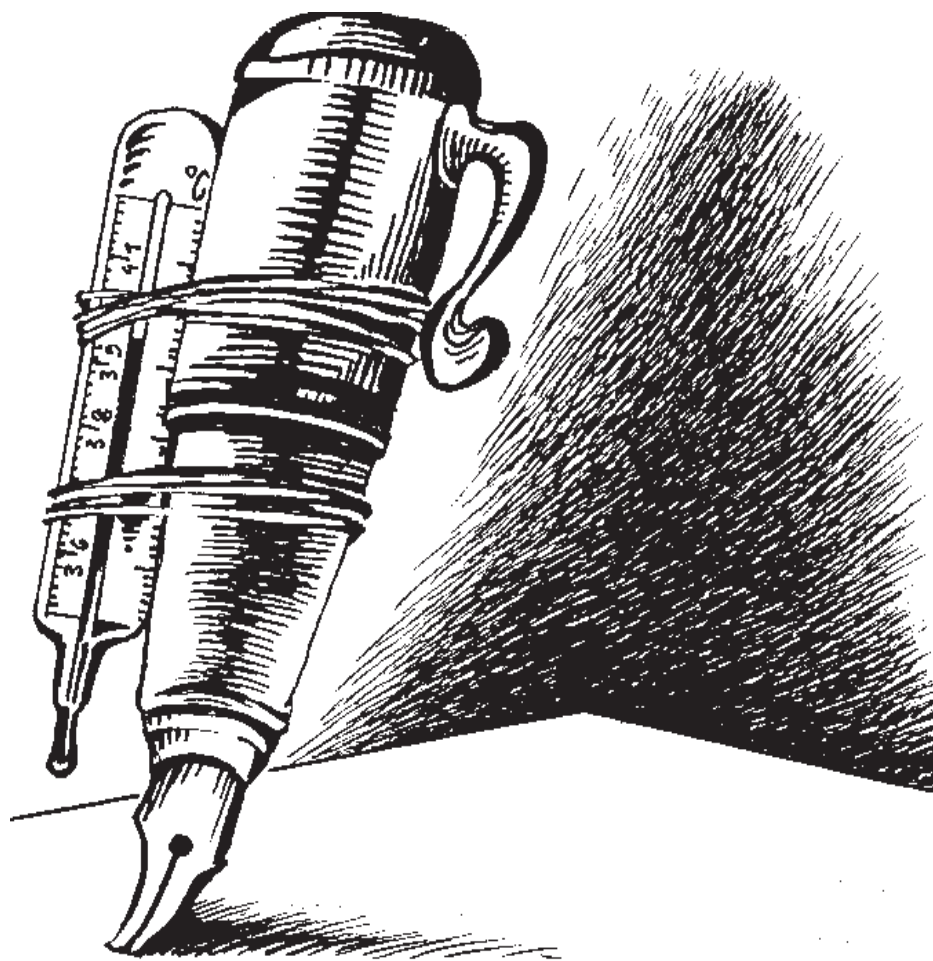
W tym brulionie pełno różnych zapisków, tekstów, również cytatów – o starości. Jeden nawiązuje do znanego powiedzenia: „Starość nie radość, bo przypomina. Więc zapomnieć.” (N. Gonerke, *Księża paszтетów*).

Zachęcam do sięgnięcia po „**Dialog**” sprzed kilku miesięcy (10/2002), żeby przeczytać ciekawy debiut dramatyczny autorki, która w prasie literackiej publikowała już opowiadania. *Justyna, siostra mojej* to sztuka Małgorzaty Mroczkowskiej, nagrodzona w Konkursie Dramaturgicznym zorganizowanym przez Teatr Polski we Wrocławiu i redakcję „Dialogu”. Rzecz jest o chorobie psychicznej. Z pierwszego dialogu między siostrami, Justyna i Kingą, dowiadujemy się, że to ta starsza, Justyna jest chora. Szuka ona swego synka Filipa, który według Kingi jest kotem – znieprawdopodobnym, paskudnym zwierzęciem, spalonym przez nią mściwie w piekarniku. W akcie drugim

Justyna rozmawia z doktorem Brockiem o swojej chorej siostrze, Kindze. W kolejnym – Kinga z doktorem o chorej siostrze. Justyna okazuje się urojeniem chorej Kingi, która nie wytrzymała psychicznie samotnego porodu i wydaje się jej, że urodziła paskudnego kota. Jej mąż, doktor Brock bezskutecznie usiłuje jej pomóc. W czwartym akcie pojawia się siostra Justyna, pielęgniarka. Żeby sugestywniej, niż przy lekturze, odczuć naturalistyczne obrazowanie, wyol-

brzymiające chorobę, należałoby zobaczyć tę sztukę w teatrze. I jeszcze jedna sztuka nagrodzona w tym samym Konkursie Dramaturgicznym: *Cicho* Mariusza Bielińskiego. Tekst swobodnie operuje czasem i przestrzenią, skłaniając do refleksji nad osadzeniem w jakimś miejscu, powrotami, znakami istotnymi dla więzi międzyludzkich. A akcja koncentruje się wokół pogrzebu i umierania.

Robert Kozela



Rysunek Aleksander Pieniek

GIEŁDA TALENTÓW (8)

■ W szóstej *Gieldzie talentów* pisaliśmy o pozycji państwa **Jolanty i Stanisława Szwarców**. O tych twórcach dowiadujemy się więcej z nowego listu do nas i nadesłanego debiutancckiego wspólnego tomu poezji *Na skrzyżowaniu myśli*. Pani Jolanta jest polonistką, pan Stanisław chemikiem.

Dlaczego znów zajmujemy się twórczością państwa Szwarców? Bo jest ona widowym dowodem, że wartościowa twórczość powstaje w dialogu, że pisanie poezji zajmować się mogą ludzie o różnych, niekiedy bardzo odrębnych zainteresowaniach, że dialog pozwala poznać słabsze miejsca utworu, wyeliminować nuty fałszywe, piękno na pokaz. W posłowie Ryszarda K. Przybylskiego do tego zbiorku przeczytać możemy m.in.: „Ale to dialog szczególnie. Nie spotykają się w nim bowiem tylko poetka i poeta. Na przeciw siebie stoją także mąż i żona. Każda z tych ról wydaje się jednakowo ważna. Zapewne czytają sobie wiersze. Opowiadają o wrażeniach i doznaniach”. Dialog pozwala zatrzymać się na chwilę w biegu, „odpocząć choć na jedną myśl” – jak pisze pan Stanisław.

Z tej lekcji płynie nauka dla innych naszych korespondentów, niewidocznych rozmówców.

Chociażby dla **Lidii S.** z Gdańska, której zestaw wydał nam się godny zauważenia, czysty i dramatyczny przez zapis wzruszeń elementarnych, bez udziwnień i erudycyjnych popisów. Zwróciliśmy uwagę na fragment wiersza *Byłam...*:

*Byłam Anią z zielonego
wzgórza,
tą Anią,
co bywała natchnieniem
poetów.
Bywałam Anią dla
innych,
dla siebie byłam
tym, czym byłam,
wszystkim po trochu.
Dziewczyną,
idącą
pod górę do mężczyzny
na cmentarz.
Niosłam mu
świece i kwiaty*

*– pierwsze kwiaty,
nowe i świeże. /.../*

Ujęła nas jakaś głęboka prawda tego fragmentu. Ale też zobaczyliśmy nawet w nim ogólniki, „złe”, bo przypadkowe rozczłonkowanie tekstu na wersy. W innych wierszach panuje też spora dowolność, widać brak wykończenia wiersza, pracy nad ostatecznym i precyzyjnym ukształtowaniem formy, nawet – błędy ortograficzne. Nic nas, pani Lidio, nie zwalnia przed dalszą pracą, przed daniem przyszłemu czytelnikowi jak najlepszego świadectwa naszych starań.

Nie przypadły nam do gustu metafory **Zygmunta G.** z Jelcza-Laskowic w rodzaju „ucho czasu” czy „włosy wrażliwości”, ale spodobała się bez zastrzeżeń gnoma z zestawu pt. *Cień myśli*:

Łzy, w areszcie powiek.

Otrzymaliśmy też garść wierszy od **Sławka K.** z Olesna. I przy okazji lektury jego tekstów znotowaliśmy następujące wrażenia: sporo dostajemy tekstów od ludzi młodych i zdolnych, po wyższych studiach, często doktorantów. Okazuje się, że wykształcenie niekiedy „paraliżuje” zmysł naturalnej selekcji tematów, utrwała negatywne postawy młodych twórców: popisują się swoją erudycją, pokazują swoistą nonszalancję, puszczają do nas oko, zniżają się do odbiorcy, siłąc się na dowcip zrozumiały najczęściej tylko dla autora. Tak jest, niestety, w tym przypadku. Są wypisy z podróży po gazetach i tematach politycznych, z Eco i Foucaulta, erotyzm i prowokacja, każdy pomysł z innej parafii. Wreszcie utwór *Hiperrealność* (sic!):

*w Tatrach wieje halny
pierwszy tej jesieni
znowu górale będą się
wieszać*

*jedynym ratunkiem
jest dla nich telewizja*

*bo jeśli dostatecznie długo
będą ją oglądać przestaną*

*istnieć a wtedy nie będzie już
potrzeby żeby się wieszać*

I po co to, pytamy? Ta ironia jest mało subtelna, ta obserwacja niezbyt drapieżna. Cierpliwy papier przyjmie i tych górali, i Pański halny. Ra-

dzimy obrać inny kierunek poszukiwań...

Nie wydrukujemy utworów następujących autorów: Marka Cz. z Łodzi, Małgorzaty S. z Grodziska Mazowieckiego, Krystyny M. z Puszczykowa, Adama M. z Zabrze („zakrętu łona” jakoś nie potrafimy sobie zwizualizować!).



Rysunek Aleksander Pieniek

Wydawca:
KRAKOWSKA
FUNDACJA KULTURY
ul. Kanonicza 7
31-002 Kraków
tel./fax 422-47-73

Przygotowanie do druku:
Jan Szczurek

Druk: Drukarnia DEKA
ul. Golikówka 7
30-723 Kraków
tel. 653-12-70
tel./fax 653-29-06

ISSN 0867-4094
Nr indeksu 356-875

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna krajowa
wynosi 52,00 PLN
półroczna – 26,00 PLN
Prenumerata roczna
zagraniczna wynosi 30 USD
półroczna – 15 USD
cena egzemplarza
Dekady Literackiej
w prenumeracie krajowej
wynosi: 6,50 PLN
Cena egzemplarza
„Dekady Literackiej”
w prenumeracie zagranicznej
wynosi: 3,5 USD*
Cena za egzemplarz archiwalny
wraz z wysyłką wynosi:
6 PLN z roku 2001, 3 PLN z roku 2000,
2 PLN z lat poprzednich
Płatników VAT-u prosimy
o podawanie NIP-u.
Potwierdzeniem
przyjęcia prenumeraty
jest wystawienie przez KFK
faktury VAT.

*w przypadku wpłaty w PLN
– wg aktualnego kursu NBP

Prenumeratę prosimy wpłacać
na konto Krakowskiej
Fundacji Kultury
BPH IV O/Kraków
10601389-320000473722

XI KONKURS POETYCKI
O LAUR STOWARZYSZENIA ŻYWYCH POETÓW BRZEG 2003

1. Klub Integracji Twórczych „Stowarzyszenie Żywych Poetów” z Brzegu ogłasza XI KONKURS POETYCKI „O LAUR STOWARZYSZENIA ŻYWYCH POETÓW”. Konkurs ma charakter otwarty i może wziąć w nim udział każdy, kto zastosuje się do regulaminu.
2. Uczestnicy winni nadsyłać zestawy 3 utworów poetyckich w 5 kopiach do dnia 20 marca 2003 na adres:

Klub Integracji Twórczych „Stowarzyszenie Żywych Poetów”
Galeria Brzeskiego Centrum Kultury
Rynek – Ratusz, 49-300 Brzeg
Z DOPISKIEM „XI RAZ O LAUR SŻP”

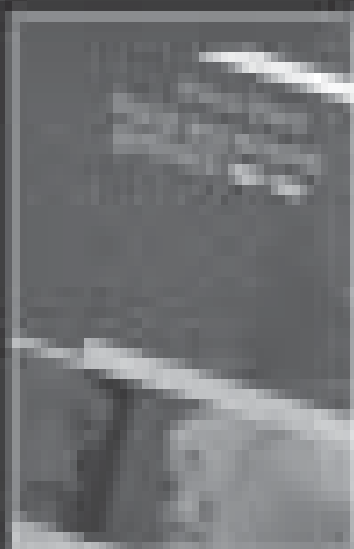
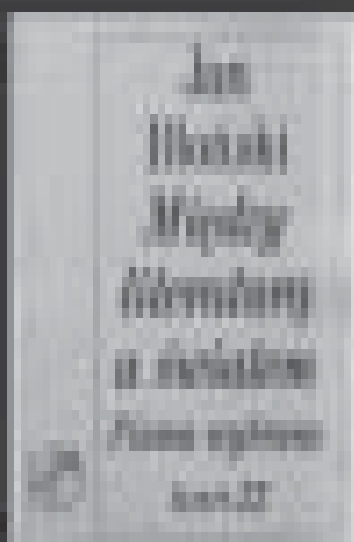
Zestawy prosimy opatrzyć godłem autora, a w osobnej kopercie oznaczonej tym samym godłem, przesłać szczegółowe dane autora.

3. Przez godło rozumie się jakikolwiek znak graficzny, słowo, logo lub alfanumeryczny maskujący właściwą tożsamość autora.
4. Utwory nadsyłane na konkurs nie mogą być wcześniej nagradzane w innych konkursach lub publikowane w prasie literackiej, drukach zwartych, prasie ogólnopolskiej. Mogą być publikowane w drukach ulotnych, internecie, prasie lokalnej, radio i telewizji.
5. Nadesłane zestawy wierszy oceni jury, złożone tradycyjnie z laureatów poprzednich edycji konkursu posiłkowanych przez członków Stowarzyszenia Żywych Poetów, w razie potrzeby.
6. Wiersze nie spełniające regulaminowych wymogów, będą dyskwalifikowane.
7. O wynikach konkursu laureaci zostaną powiadomieni listownie, internetowo, telefonicznie, lub w jakikolwiek inny skuteczny sposób.
8. Wręczenie nagród, pod postacią „Złotych Syfonów” oraz wkładów pieniężnych do skarbonek-świnek, odbędzie się w trakcie V KONFRONTACJI LITERACKICH „SYFON CZYLI OFF FESTIWAL, BIBUŁA I DRUGI OBIEG”, które odbędą się w Brzegu w dniach 24 – 26 kwietnia 2003 roku.
9. Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie internetowej Stowarzyszenia: <http://free.art.pl/szp/>, pod adresem e-mail: szp@free.art.pl, oraz pod numerami telefonów: (077) 416-32-34 (w godzinach 10-18, od wtorku do niedzieli) i (077) 416 – 22 – 77 (po 19-tej).
10. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do nieodpłatnej publikacji nagrodzonych i wyróżnionych wierszy

■ Laureatką **Nagrody im. L. Frydego** przyznawanej młodym krytykom przez jury Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Literackich została w roku 2002 **Marta Miziuro**. Gratulujemy!

■ Laureatką **Ogólnopolskiego Konkursu Małych Form Literackich im. St. Żeromskiego** została krakowska autorka, **Katarzyna Turaj-Kalińska**. Jury nagrodziło esej Turaj-Kalińskiej *Stan nieważności*. Gratulujemy!

NOWOŚCI WYDAWNICTWA LITERACyjNEGO



Wydawnictwo Literackie, ul. Krakowska 10, 31-114 Kraków, tel. (012) 251-10-10, e-mail: wydawnictwo@wydawnictwo-literackie.pl
Wydawnictwo Literackie, ul. Krakowska 10, 31-114 Kraków, tel. (012) 251-10-10, e-mail: wydawnictwo@wydawnictwo-literackie.pl



DEKADA LITERACKA

MIESIĘCZNIK KULTURALNY

ISSN 0867-4094

Nr indeksu 356-875

Redaguje zespół:

Marta Wyka *redaktor naczelny*
Teresa Walas *zastępca redaktora naczelnego*
Andrzej Zawadzki *sekretarz redakcji*
Bogdan Rogatko
Agnieszka Kosińska
Krzysztof Lisowski
Robert Ostaszewski
odpowiedzialny za korektę
Aleksander Pieniek *redaktor graficzny*

Współpracują:

Stanisław Balbus
Piotr Bukowski
Jarosław Fazan
Julian Kornhauser
Włodzimierz Maciąg
Henryk Markiewicz
Stanisław Rodziński
Małgorzata Ruda
Rafał Solewski

Adres redakcji:

ul. Kanonicza 7
31-002 Kraków
tel./ fax 422-47-73
e-mail: brogatko@kin.org.pl

*Redakcja nie zwraca
materiałów nie zamówionych
i zastrzega sobie
prawo skrótów.*

Numer zamknięto

10 stycznia 2003 roku.

Projekt okładki:

Aleksander Pieniek

Niniejszy numer „Dekady Literackiej”
ukazuje się przy udziale finansowym
Fundacji Stefana Batorego
i Ministerstwa Kultury.

**Laureatem Nagrody
im. Kazimierza Wyki
za rok 2002 został
JAN PROKOP**

Gratulujemy